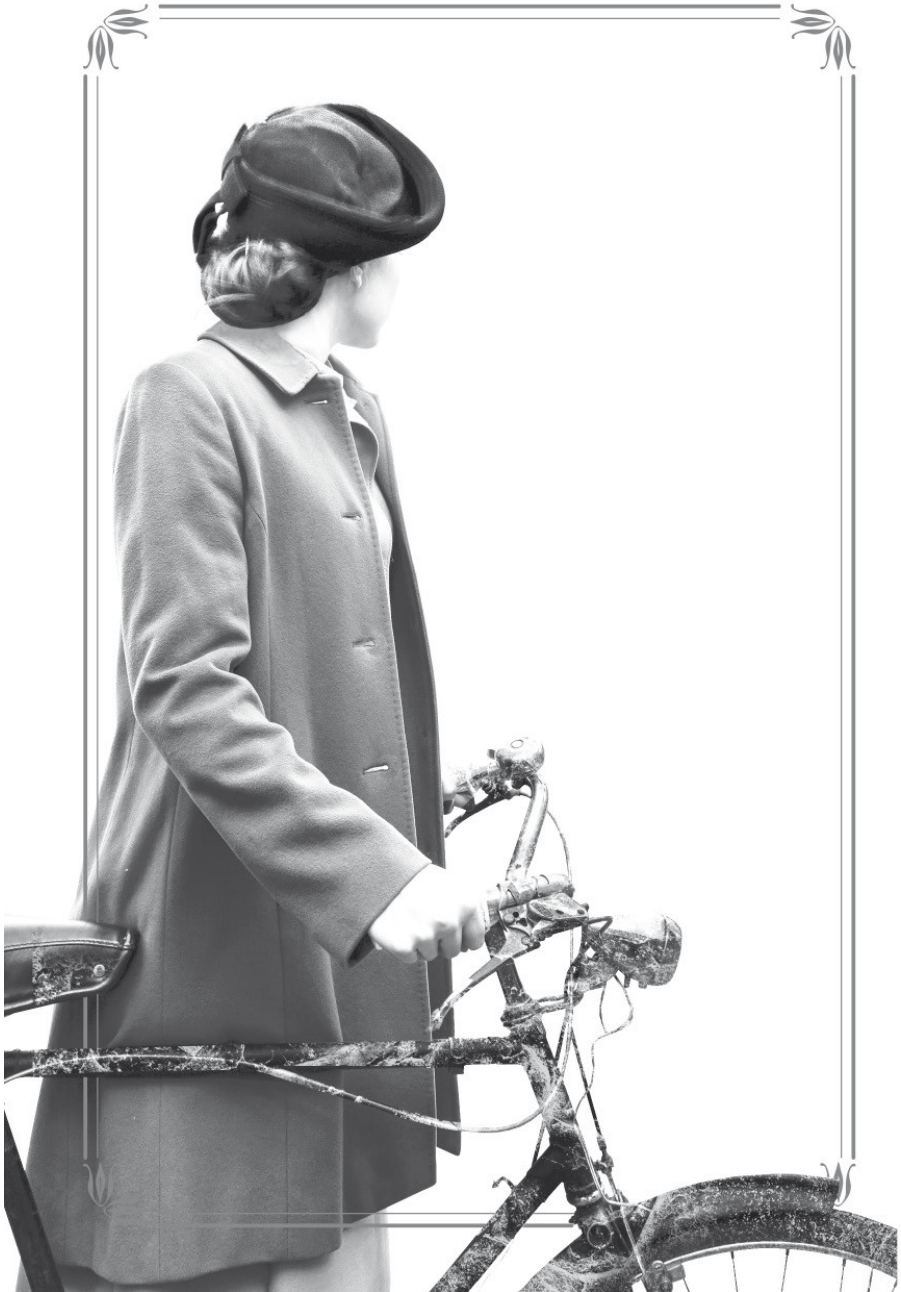


A woman in a teal coat and hat is seen from the side, riding a bicycle. The background is a grayscale image of a war-torn city with damaged buildings and debris. The text is overlaid on the right side of the image.

ANETA
KRASIŃSKA

NAUCZYCIELKA
Z
GETTA

WYBRAŁA MIŁOŚĆ
i poszła tam, skąd
każdy pragnął się
wydostać.



ANETA
KRASIŃSKA

NAUCZYCIELKA
Z
GETTA



Redakcja: Justyna Techmańska
Korekta: Renata Kuk
Konsultacja historyczna: dr Adam Sitarek
Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright © Aneta Kraszińska 2022

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart
Fotografie wykorzystane na okładce: © leolintang/Shutterstock.com, © Stephen Mulcahey / Trevillion Images
Zdjęcie łódzkiego getta umieszczone na skrzydełku pochodzi ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łodzi.

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-097-5

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)
twitter.com/WydJaguar
tel:691962519

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

SPIIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I. W MIŁOSNYM RYTMIE

ROZDZIAŁ II. W SŁOŃCU I WE MGLI

ROZDZIAŁ III. NA DOBRE I NA ZŁE

ROZDZIAŁ IV. PO DRUGIEJ STRONIE

ROZDZIAŁ V. O KROK OD PRZEPAŚCI

ROZDZIAŁ VI. TANECZNY TRANS

ROZDZIAŁ VII. NIEDOMÓWIENIA

ROZDZIAŁ VIII. KROK DO PRZODU I DWA KROKI W TYŁ

ROZDZIAŁ IX. POMOCNA DŁOŃ

ROZDZIAŁ X. WIOSENNE PRZEBUDZENIE

ROZDZIAŁ XI. W BREW SOBIE

ROZDZIAŁ XII. POMYŁKA

DRODZY CZYTELNICY,

Powieść ukazuje bohaterów fikcyjnych. Jedyną postacią historyczną jest Mordechaj Chaim Rumkowski – przywódca łódzkiego getta.
Wydarzenia fikcyjne rozgrywają się na tle historycznym.

Tym, którzy wciąż marzą o wolności.

ROZDZIAŁ I

W MIŁOSNYM RYTMIE

Blask zachodzącego słońca otulał wysokie kamienice fantazyjnie zdobione głowami dzikich zwierząt, których większość mieszkańców Łodzi nigdy nie widziała na oczy. Otwarte okno na drugim piętrze budynku przy alei Kościuszki, w którym mieszkała Laura, było jawną zachętą do odwiedzin dla namolnych komarów. Był to jednak tak gorący i obfitujący w emocje dzień, że nikomu ze zgromadzonych w niewielkim saloniku nie przyszło do głowy, aby walczyć z uciążliwymi krwio pijcami.

Laura odniosła do kuchni ostatnią partię naczyń. Marysia, która zajmowała się gospodarstwem, rano przygotowała prawdziwą ucztę: pieczone mięso, sosy, kasza, a na deser jabłecznik z odrobiną bitej śmietany. Obiad w gronie najbliższej rodziny planowano od kilku tygodni. Ten wyjątkowy dzień miał otworzyć nowy etap w życiu Laury Kozłowskiej i Dawida Lewiatana.

– Jeszcze tylko cztery miesiące – mruzczała pod nosem Laura, odstawiając naczynia na kredens obok niewielkiego zlewu.

– Panienska taka zakochana, że aż miło patrzeć – odparła Maria i zgarnęła resztki z talerzy do dużego wiadra na zlewki, które wcześniej rano odbierał spod kamienicy hodowca drobiu.

– Już nie mogę się doczekać. – Laura poprawiła niesforny kosmyk, który wciąż się wysuwał z upiętego koka. Później wyprostowała niewielkie zagniecenia materiału na uszytej specjalnie na tę okazję sukience i uśmiechnięta wróciła do saloniku.

Na stole pozostał wazon z kwiatami przyniesionymi przez Dawida dla jej matki. Ona dostała coś o wiele cenniejszego. Spojrzała na błyszczący na palcu pierścionek z rubinem i uśmiechnęła się do siebie.

– Jestem zmęczona. Idę się położyć – oznajmiła Anna Kozłowska i podniosła się z fotela ustawionego przy niewielkim stoliku tuż pod oknem. – To był wyczerpujący dzień, ale bardzo się cieszę, że mogliśmy poznać twoich rodziców i ustalić datę ślubu – zwróciła się do Dawida.

– To będzie wyjątkowe Boże Narodzenie – przyznał Leopold i ucałował dłoń mijającej go żony, która mimo upływu lat nadal była szczupłą, a jej hebanowe włosy tylko gdzieś tam poprzetykane były białymi pasemkami.

Nie mógł, jak żona, iść jeszcze do łóżka, bo choć inni goście już poszli, to świeżo upieczony narzeczony jego córki nie kwapił się do wyjścia. Leopold był zbyt dobrze wychowany, by dać po sobie poznać znużenie. Po cichu jednak liczył na to, że młodzi szybko się pożegnają. W końcu jutro Laura miała wrócić do szkoły. Już trzeci rok pracowała jako nauczycielka w szkole powszechnej. Wiedział, że bardzo to kochała i choć lubiła czas wakacji, nie mogła się doczekać początku roku szkolnego. Tak było również teraz. Z niecierpliwością odliczała dni do pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku.

Leopold uwielbiał słuchać swojej córki, gdy w wypiekami na twarzy opowiadała o pracy z dziećmi. Dużo im czytała, bawiła się z nimi w teatr lalek. Uczniowie ją uwielbiali, a jego rozpieierała duma.

– Jeszcze trochę poczytam – powiedział do żony, po czym sięgnął po gazetę i odszukał rubrykę z wieściami z zagranicy.

Trochę irytował go ton, w jakim utrzymany był artykuł o zadziwiającej mobilizacji wojsk niemieckich. Miał dość straszenia kolejną wojną. Każdy kraj się rozwijał i w związku z tym kładł nacisk na zbrojenia. Polacy też nie próżnowali. Leopold, jako urzędnik w Magistracie, wiedział, ile pieniędzy jest przeznaczanych na wojsko, ale daleki był od panikowania. Takie czasy, że każde państwo stroszyło piórka. Przewrócił stronę i spojrzął na kilka nowych nekrologów. Śmierć nie zwracała uwagi ani na porę roku, ani na zasobność portfela. Zerknął na zamknięte drzwi do pokoju córki. Powoli wstał, by je uchylić.

– O co chodzi, tatusiu? – spytała Laura, spojrzawszy na ojca dużymi, bursztynowymi oczyma.

– Drzwi się jakoś tak przymknęły – skłamała i cała trójka doskonale o tym wiedziała.

– Przepraszam, nie zauważyłem. – Dawid uśmiechnął się przeproszająco.

– Nic nie szkodzi. – Leopold wrócił na kanapę w saloniku. Włączył małą lampkę i zatopił się w lekturze gazety.

– Tatuś bywa przewrażliwiony – szepnęła Laura.

– Też bym był, gdybym miał taką piękną córkę, jak ty – odparł Dawid i cmoknął jej dłoń pachnącą różami. – Nie mogę się doczekać, kiedy razem zamieszkamy i nikt nie będzie nam przeszkadzał. Będę cię całował do upadłego.

– Ciii. – Nakryła palcem jego wąskie usta i również się uśmiechnęła. – Też o tym marzę, choć nie powinnam – wyszeptała, z obawą spoglądając w stronę uchylonych drzwi.

– Te cztery miesiące to jak wieczność.

– Ale za to nagroda będzie wyjątkowa – oświadczyła, zalotnie przeciągając ostatnie słowo.

– Kochanie, ty jesteś wyjątkowa i tak się cieszę, że zostaniesz moją żoną. – Znowu pocałował jej rękę. Tym razem pocałunek trwał dłużej, a jego ciepłe usta błędziły po wnętrzu jej drobnej dłoni. – Wiesz, że jesteś wyjątkowa?

Przymrużyła oczy i nieznacznie przechyliła głowę. Światło lampki oświetliło jej opaloną twarz, na której wciąż utrzymywały się rumieńce. Jej niemal czarne włosy i równie ciemne oczy doskonale harmonizowały z jasnoróżowymi ustami. Biała sukienka w różowe groszki z dopasowaną górą podkreślała jej wąską talię.

– Nie wiem, czy jestem aż tak wyjątkowa. Przecież takich dziewczyn jak ja jest w Łodzi wiele. A taki mężczyzna jak ty na pewno spotkał niejedną.

– Żadna nie dorasta ci do pięt, dlatego zdecydowałem się dla ciebie zmienić wyznanie – zauważył.

– To dużo dla mnie znaczy. – Spoważniała nagle i cofnęła dłoń, którą wciąż obejmował. – Wiem, że gdybyś chciał pozostać przy judaizmie, znacznie trudniej byłoby nam wziąć ślub.

– W takiej wierze zostałem wychowany, ale to nie znaczy, że ją w pełni akceptuję. Po prostu nie miałem na to żadnego wpływu. Na szczęście ojciec to rozumie, sam też rzadko zagląda do synagogi. Mama nie może się z tym pogodzić, ale wierzę, że po dzisiejszym spotkaniu pokocha cię tak mocno jak ja i zrozumie, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

– Kocham cię – powiedziała niemal bezgłośnie.

Przytulił jej dłoń do swojej piersi i przymknął powieki. Czula jego ciepło pod wykrochmaloną koszulą, która pomimo upału wciąż pozostała zapięta na ostatni guzik.

– Lepiej już pójść – stwierdził, choć jego ciało nawet nie drgnęło. Przez chwilę patrzył na nią, jakby łudził się, że pozwoli mu zostać na noc. Szybko jednak odegnał od siebie tę pokusę. Nie mieli szans na samotną noc przed ślubem. Westchnął więc głośno i wstał z fotela. Obszedł stolik i pomógł wstać ukochanej.

Odprowadziła go do drzwi i czule pocałowała w policzek na dobranoc. Miała nadzieję, że ojciec wykaże się wyrozumiałością.

Wróciwszy do salonu, ucałowała ojca w czoło i bez słowa wróciła do swojego pokoju, w którym wciąż unosił się zapach narzeczonego. Rozebrała się i wsunęła pod prześcieradło. Nauczyły ją tego letnie upały.

Jutro wracała do szkoły. Może tam będzie na tyle zajęta, by nie myśleć nieustannie o Dawidzie, który niespodziewanie pojawił się w jej życiu i wszystko wskazywało na to, że pozostanie w nim na zawsze.

* * *

Laura otworzyła oczy i natychmiast wyskoczyła z łóżka. Pobiegła do znajdującej się na korytarzu wspólnej toalety. Później w kuchni umyła się w zagranej przez Marię wodzie i wróciła do pokoju, by się przygotować do pierwszego po wakacyjnej przerwie spotkania z uczniami.

Włożyła granatową, sięgającą łydek rozkloszowaną spódnicę i białą bluzkę z samodzielnie wyhaftowanym kołnierzykiem. Spojrzała na swoje dzieło. Bluzkę uszyła dla niej Maria, a ona długo miała dylemat, jakim wzorem ją przyzdobić. Wreszcie zdecydowała się na kwiaty z polskich łąk. Spojrzała w lustro na barwne chabry, maki i stokrotki pstrzące się wokół jej szyi. Uczesała sięgające pasa włosy i upięła je na czubku głowy. Uśmiechnęła się do swojego odbicia i wyszła do kuchni, by jak co rano wypić kubek ciepłego mleka i zjeść kawałek ciasta drożdżowego lub jeszcze ciepłe placuszki z jabłkami.

– Panienska od rana taka uśmiechnięta – zauważyła gosposia.

– Już nie mogę się doczekać spotkania z dziećmi. Ciekawa jestem, czy bardzo urosły w czasie wakacji. – Zamyśliła się, siadając przy stole nakrytym dla trzech osób. – Rodzice jeszcze nie wstali?

– Nie, dzisiaj panienska jest pierwsza.

Dziewczyna powiedziała wzrokiem po suto zastawionym stole i natychmiast przypomniała sobie wczorajsze uroczyste zaręczyny. Upewniła się, że na jej palcu wciąż tkwi podarowany przez Dawida klejnot, po czym wzięła kromkę chleba i nałożyła na nią pasztet z gęsi.

Kiedy kończyła śniadanie, do kuchni weszli Anna i Leopold. Pocałowali córkę w czoło, po czym zasiedli przy stole. Laura słuchała rozmowy rodziców z umiarkowanym zainteresowaniem. Kwestie polityczne oraz gospodarcze, które tak chętnie poruszał ojciec, były jej zupełnie obce.

– Po południu wybiorę się na spacer z Wiesią, żeby jej o wszystkim opowiedzieć – oświadczyła z uśmiechem na twarzy i dumą w głosie Laura, po czym podniosła się od stołu.

– Jeszcze nie skończyliśmy – zauważyła matka i pokręciła głową z dezaprobatą.

– Przepraszam, ale muszę być dzisiaj wcześniej w pracy. Chcę się przywitać z innymi nauczycielami.

– Czyli nie pojedziesz z nami? – Matka się zachmurzyła.

– Pójdę pieszo. Jest tak pięknie, że siedzenie w dorożce to grzech.

Ojciec pogroził jej palcem. Może i nie należał do zagorzałych katolików, ale z kwestii religijnych wolał nie żartować.

– Też cię kocham, tatku – przekomarzała się, wychodząc z kuchni.

Wróciła do pokoju po torbę z książkami, choć wiedziała, że przydadzą jej się dopiero jutro. Dzisiaj chciała się nacieszyć dziećmi.

– Do zobaczenia wieczorem – dodała, zaglądając do kuchni przed wyjściem z mieszkania.

Wybiegła na przestronne podwórko, z trzech stron zabudowane dwupiętrowymi kamienicami, do którego prowadziła kuta z żelaza brama. Wygodne mieszkania zajmowali łodzianie na co dzień zatrudnieni w urzędach czy szkołach. Podwórko był zadbane, czego skrzętnie pilnował stróż zajmujący suterенę w jednym z budynków. Pomiędzy dwoma z czterech drzew rozciągnięte były sznury do suszenia bielizny. Dwa kolejne konary mieszkańcy wykorzystali do zawieszenia hamaka utkanego ze sznurków. Laura wiele razy w ciągu tego lata wykorzystwała hamak do odpoczynku i czytania książek swojej ulubionej autorki Jane Austen. Dumę i uprzedzenie czytała już dwukrotnie, jednak jej ulubioną powieścią pozostała Emma, której główna bohaterka szuka miłości, ale uczy się, że niełatwo ją odnaleźć.

Laura pomknęła przez podwórko i ruszyła w stronę ulicy Przyszkołe, przy której od kilku lat mieściła się szkoła nosząca imię Stanisława Staszica. Trzypiętrowy gmach mógł pomieścić kilkuset uczniów, a na przyległym do szkoły pachnącym nowością boisku dzieciaki gimnastykowały się nader chętnie.

Wschodzące słońce zapowiadało ciepły dzień. Laura uśmiechała się do mijających ją dorożkarzy powożących pojazdami, którymi jechali zamożni mieszkańcy Łodzi, spieszący do licznych zakładów pracy. Może kiedyś Dawid awansuje z księgowego na kierownika albo nawet dyrektora takiej fabryki. On miał umysł ścisły, skoncentrowany na cyferkach, ona wprost przeciwnie. Często zastanawiała się, jak to się stało, że się w sobie zakochali, przecież tak wiele ich dzieliło. Westchnęła głośno i skręciła w stronę budynku szkoły.

Natychmiast dostrzegła zgromadzonych na placu nauczycieli, którzy żywo gestykulowali.

– Dzień dobry, nareszcie w komplecie – powitała zgromadzonych.

– Tylko nie wiadomo, jak długo – zauważyła Leokadia, starsza kobieta ucząca śpiewu i rysunku. Zwykle była uśmiechnięta, ale tym razem Laura dostrzegła w jej oczach strach.

– Pani Leokadio, bądźmy dobrej myśli – odezwał się kierownik Gąsowski i poprawił opadające na nos okulary. Laura dobrze знаła ten gest, był u Gąsowskiego oznaką zdenerwowania.

– O czym oni mówią? – spytała Laura, nachyliwszy się do przyjaciółki, która tak jak ona uczyła w szkole języka polskiego.

– Podobno wybuchła wojna – odpowiedziała cicho Wiesia. – Niemcy napadli na wybrzeże.

– Co?! Jak to?

– Ponoć w radiu podali.

– To niemożliwe.

– Też tak myślę. Lepiej opowiadaj, jak udała się wczorajsza uroczystość?

Kobiety przez chwilę szedziotały, gdy nagle kierownik podniósł dłonie, by uciszyć wszystkich. Nauczyciele i gromadzący się grupkami uczniowie spojrzeli w jego stronę.

– Informacje o rozpoczęciu wojny są już właściwie potwierdzone, ale wołę działać ostrożnie i poczekać jeszcze z podjęciem dalszych kroków. Tymczasem zapraszam państwa do budynku, żeby przedyskutować ewentualne scenariusze. Proszę, żeby pani Laura i pani Wiesia pozostały na zewnątrz i informowały uczniów o odwołaniu dzisiejszego rozpoczęcia roku. Gdyby wieść o wojnie okazała się bujną, jak najszybciej poinformujemy o wznowieniu zajęć.

– Raczej kiepski żart ktoś sobie zrobił – zauważyła Wiesia, patrząc na Laurę. – Pięknie wyglądasz jako narzeczona – dodała, mierząc przyjaciółkę od stóp do głów. – Zazdroszczę ci – przyznała rozmarzonym głosem.

Wiesia pochodziła z Brzezin, niewielkiego miasteczka pod Łodzią. Tam przyszła na świat, ale dzięki ojcu chrzestnemu, który od wielu lat był proboszczem w jednej z łódzkich parafii, jako dziesięcioletnia dziewczynka trafiła do większego miasta. To tu wuj otoczył ją opieką iłożył na jej utrzymanie. Od początku trafiła pod skrzydła pani Edzi, wdowy po pewnym bankierze, który zmarł zbyt młodo, by pozostawić po sobie duży majątek. Pani Edzia szybko zrobiła użytek z kupionego przez męża trzypokojowego mieszkania i przeniosła się do najmniejszego pomieszczenia. Dwa większe wynajmowała dzieciom i młodzieży przyjeżdżającej do Łodzi w poszukiwaniu lepszego bytu. I tak, choć Wiesia z dziecka przystoczyła się w niezbyt urodziwą, ale sympatyczną młodą kobietę, pozostała w mieszkaniu wdowy, marząc o prawdziwej miłości, którą dotychczas znała z kartek powieści Jane Austen.

– Też znajdziesz swojego Dawida i się zakochasz – pocieszyła ją przyjaciółka.

Gdy tak chichotały, pozostali nauczyciele ruszyli za kierownikiem w stronę budynku.

Przez kolejną godzinę młode kobiety usiłowały wytłumaczyć niezadowolonym dzieciom, że dzisiaj zajęcia się nie odbędą. Obydwie jednak szybko się zorientowały, że plotki o wybuchu wojny rozchodziły się po mieście w zaskakującym tempie. Starsi uczniowie chętnie opowiadali o podsłuchanych rozmowach rodziców, z których wynikało, że wojska niemieckie rzeczywiście próbują podbić Pomorze. Niektórzy wspominali o zasłyszanych w radiu ostrzeżeniach o napaści na Polskę. Nikt jednak nie miał pojęcia, co to oznacza dla tysięcy polskich dzieci, które chciały jak co roku rozpocząć naukę.

Kiedy plac przed szkołą opustoszał, a ostatni maruderzy powlekli się do domów, nauczycielki weszły do budynku. Z jednej z sal dobiegał donośny głos kierownika szkoły.

– Szanowni państwo, czekamy na rozwój sytuacji. Tymczasem wracajcie do domów i czekajcie na sygnał, czy w poniedziałek rozpoczniemy pracę. Jutro lub pojutrze woźny zawiadomi wszystkich o mojej decyzji. Do zobaczenia. Mam nadzieję – dodał kierownik, poprawił okulary na nosie, po czym wyszedł z sali.

Szmer narastał. Niektórzy nauczyciele zaczęli opuszczać pomieszczenie. Inni nie kwapili się z wyjściem na zewnątrz, jakby nie chcieli dopuścić do siebie myśli, że mogą tu przez jakiś czas nie wrócić. Laura rozejrzała się po sali. Pamiętała, jak weszła tu po raz pierwszy. Było to dwa lata temu, w dzień tak samo słoneczny jak dzisiaj. Wtedy nie sądziła, że tak bardzo pokocha to miejsce. Nauczyciele szybko przyjęli ją do swojego grona. Najlepiej rozumiała się z Wiesią. Czasem wspólnie chodzili do kina i do kawiarni na lody. Laura pewnie zagładałaby do obydwu miejsc znacznie częściej, ale przyjaciółka nie mogła sobie na to pozwolić. Większą część

nauczycielskiej pensji przekazywała na utrzymanie młodszych siostr, które teraz, tak jak ona kiedyś, kształciły się w mieście.

Za to często chodziły z Wiesią na spacery po miejskim parku nieopodal szkoły. Wtedy całymi godzinami rozmawiały o poczynaniach bohaterki swojej ulubionej pisarki. Teraz też, kiedy wyszły ze szkoły, udały się do pobliskiego parku przy ulicy Pabianickiej. Przez całą drogę Wiesia z zapartym tchem słuchała opowieści o zaręczynach, od czasu do czasu pytając o plany związane ze ślubem i weselem. Dotychczas nie była na uroczystości zaślubin Żyda z katoliczką.

– A rabin też będzie? – dopytywała Wiesia.

– Mówiłam ci, że Dawid przyjmie chrzest i przejdzie na katolicyzm. Nigdy nie był zbyt religijny, więc nie jest to dla niego żaden problem.

– A co na to jego rodzice?

– Ojciec ma nowoczesne podejście do życia i nie utożsamia się z judaizmem. Matka trochę marudzi, ale Dawid obiecał, że przekona ją do naszego pomysłu. Zresztą wczoraj wcale nie wyglądała na rozgniewaną.

– Będziesz pięknie wyglądała w białej sukni – stwierdziła Wiesia z zachwytem, gdy weszły do parku. – U kogo ją zamówisz?

– Przy Piotrkowskiej jest najlepsza krawcowa w mieście, która jest jednocześnie projektantką sukien ślubnych. Mamusia umówiła mnie z nią na sobotę. Mam już parę pomysłów z koronką w roli głównej.

– Koronki szykują na noc poślubną – roześmiała się Wiesia i niemal natychmiast zakryła usta, po czym rozejrzała się na boki, by upewnić się, że nikt nie słyszał jej odważnych słów.

Na szczęście nieliczni spacerujący wokół ludzie nie zwrócili na nią uwagi.

– Gdyby moja mamusia cię usłyszała, musiałabyś iść spać bez kolacji. – Laura pogroziła jej palcem, ale jej oczy śmiały się z żartu przyjaciółki.

Marzyła o chwili, gdy będzie mogła zasnąć w ramionach ukochanego. Odliczała dni do ślubu i ich pierwszej wspólnej nocy. Skłamałaby, twierdząc, że się tego nie boi. Nigdy nie była z mężczyzną i choć pragnęła tego całą sobą, to jednocześnie czuła obawę przed nieznanym. Wiedziała, że w tej kwestii nie ma co liczyć na przyjaciółkę, bo ta miała niewiele doświadczeń z mężczyznami. Laura zupełnie tego nie rozumiała. W jej oczach Wiesia była śliczną młodą kobietą, której obfite kształty niejednemu mężczyźnie mogłyby zawrócić w głowie. Sama Wiesia miała jednak inne zdanie o swoim wyglądzie. Chcąc uniknąć rozczarowania, wolała nie kusić losu, a właściwie mężczyzn, i trzymała się od nich jak najdalej. Na każdą oznakę zainteresowania ze strony płci przeciwnej reagowała wręcz panicznie, chowając się w najmniejszą dziurę. Przez to w wieku dwudziestu trzech wiosen wciąż była panną na wydaniu.

– Jeśli chcesz, pójdę razem z tobą do tej krawcowej.

– Do słynnej projektantki sukien ślubnych! – poprawiła ją Laura.

– Gdzie chcesz, jeśli tylko zechcesz – zaśmiała się szczerze, a jej delikatny głos, który zupełnie nie pasował do postury, odbił się echem wśród zieleniących się starych dębów i kasztanowców.

Dziewczęta pożegnały się i każda ruszyła w swoją stronę.

Laura dotarła do domu w porze obiadowej. Wiedziała, że pozostało sporo jedzenia z wczoraj, więc liczyła, że Maria podgrzeje jej jakieś przysmaki i nie będzie musiała czekać na powrót rodziców, jak to miała w zwyczaju. Wspólne posiłki stanowiły ich rytuał, z którego nikt nie chciał zrezygnować.

Kiedy weszła do mieszkania, natychmiast zauważyła ślady obecności rodziców. Torebka mamy leżała na szafce w przedpokoju. Pod nią stały jej czółenka i pantofle ojca. Laura zrzuciła buty i na palcach weszła do salonu.

– A co to? Poszliście na wagusy! – zachichotała, widząc zmieszanie na twarzy rodziców, świadczące o tym, że właśnie ich przyłapała na czymś, czego nigdy wcześniej nie robili.

– Chciałbym, żeby to było takie proste – odrzekł ojciec, a jego twarz spochmurniała.

Laura natychmiast wyczuła jego zły nastrój. Już tak miała, że czytała emocje z twarzy ojca niczym z otwartej książki. Może dlatego, że była jedynaczką, a on kochał ją do szaleństwa i nie bacząc na utyskiwania żony, która często podkreślała, że takie zachowanie nie przystoi

statecznemu mężczyźnie, chodził na czworakach i woził ją na swoich plecach, gdy była dzieckiem. Laura wtedy poganiała go jak konia, o którym zawsze marzyła. Matka patrzyła na nich z dezaprobatą, ale szybko zrozumiała, że tych dwoje łączy wyjątkowa więź, której ona nie jest w stanie zrozumieć.

– W sumie to ja też jestem wagusem – przyznała Laura, ale jej głos już nie był tak radosny. – Czy istnieje możliwość, że to, co mówią o wojnie, jest prawdą? – spytała, nie spuszczając wzroku z ojca.

Nriek musiał wypowiadać żadnych słów. Wyraz jego twarzy wystarczył jej za odpowiedź.

– I co teraz będzie? – zapytała.

Ojciec wstał i objął ją. Przywarła do jego gładko ogolonego policzka. Uwielbiała tulić się do jego szerokich ramion. To w nich czuła się bezpieczna nawet wtedy, gdy zachorowała na ospę wietrzną, a pojawiające się na jej ciele krosty swędziały i bolały.

Po chwili obydwójce poczuli dotyk matki, która drżała. Laura nie wiedziała, czy to ze zdenerwowania, czy z bezradności.

Niemal w milczeniu zjedli podgrzany przez Marię obiad. Dopiero przy kawie Laura nabrała odwagi, by zapytać ojca o poprzednią wojnę. Mężczyzna jednak zbył ją, twierdząc, że jest zmęczony i musi nieco odpocząć. Matka też nie była zbyt rozmowna, wobec czego Laura postanowiła wziąć na spytki Marię. Ta przeżyła pierwszą wojnę dzięki poświęceniu swojego męża, który osłonił ją przed niemiecką kulą własnym ciałem. Od tamtej pory Maria musiała radzić sobie sama.

– Nikomu nie życzę, by widział to, co moje oczy widziały, i nikomu nie życzę, by przeżył to, czego ja doświadczyłam – odparła, myjąc naczynia. – Tego nie da się opisać. – Pokręciła głową, jakby próbowała odegnąć od siebie przykre wspomnienia.

Laura z uwagą przysłuchiwała się słowom gosposi. Rzeczywiście wojny niszczyły całe cywilizacje, ale Niemcy to nie szaleńcy, którzy chcą unicestwić ludzkość. Przecież jest jeszcze czas na interwencję Anglii i Francji. To nasi sojusznicy. Tak się rozwiązuje problemy w Europie. Przytłoczona opowieściami Marii, położyła się na łóżku i zasnęła.

Obudził ją dotyk, który poczuła na dłoni.

– Dzień dobry – powitał ją klęczący przy jej łóżku mężczyzna.

– Jak dobrze, że jesteś – ucieszyła się na widok narzeczonego. – Słyszałeś tę okropną nowinę?

– Dlatego przyszedłem – wyjaśnił i pocałował jej dłoń.

Laura usiadła, nieco zmieszana. Poprawiła kołnierzyk bluzki i wygładziła spódnice. Jej dłonie drżały. Chciała to ukryć, ale nie zdążyła.

– Nie bój się, kochanie, będę przy tobie – obiecał Dawid.

– Jak? Przecież nawet nie mamy ślubu – stwierdziła rozzalona.

– Na wszystko przyjdzie czas. Teraz musimy pomyśleć o tym, co dalej.

– Nie mam pojęcia – przyznała.

– Powinniśmy porozmawiać z twoimi rodzicami.

Patrzyła na niego zdumiona. Najwidoczniej Dawid miał jednak jakiś plan. Nie chciała tracić czasu na zbędne pytania, dlatego poszła do sypialni rodziców. Delikatnie zastukała w przeszklone drzwi. Nie musiała długo czekać na zaproszenie. Kiedy wyjaśniła, że Dawid nalega na rozmowę, rodzice niezwłocznie pojawili się w salonie. Młody mężczyzna przywitał się i przeszedł do sedna.

– Co państwo planujecie w związku z wybuchem wojny?

– Na razie nie musimy się niczego obawiać. Jak widzisz, nic złego się nie dzieje. Nawet nie wiadomo, czy Niemcy zdołają wejść na ląd. Z tego, co mówili w urzędzie, wynika, że nasze wojsko gra im na nosie, więc zanim się obejrzymy, będzie po sprawie.

– Na to wszyscy liczymy, ale gdyby jednak coś poszło nie tak, powinniśmy zaplanować dalsze kroki – nalegał Dawid, ciężko oddychając, jakby wymówienie tych słów sprawiło mu trudność.

– Musimy zaczekać na rozwój sytuacji. Panika nie jest najlepszym doradcą – ostrzegł ojciec i zapalił fajkę.

– Mam rodzinę pod Warszawą. Mieszkają w lesie. Na pewno chętnie nam pomogą – oświadczył chłopak, który mimo swoich dwudziestu czterech lat mówił nad wyraz dojrzałe.

– Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli uciekać – wtrąciła matka i przeżegnała się, a w ślad za nią poszła Maria, która od dłuższego czasu stała w drzwiach.

Niemal jednocześnie spojrzały na zawieszony na ścianie obraz Maryi z Dzieciątkiem na rękach. To do jej oblicza modliła się każda z nich, gdy Laura miała przyjść na świat. Teraz też najchętniej klekłyby przed obrazem i ramię w ramię modliły się o pokój. Powstrzymywała je tylko obecność tego młodego mężczyzny, który wkrótce miał należeć do ich rodziny. Anna Kozłowska od kilku dni zastanawiała się, które z tradycji katolickich przejmie jej zięć, a które ona będzie musiała zaakceptować. Ta niewiadoma spędzała jej sen z powiek i pozbawiała pewności siebie, której na co dzień jej nie brakowało.

Dzięki swojemu uporowi znalazła pracę w łódzkim Magistracie. Najpierw musiała do tego pomysłu przekonać męża, który nie ukrywał, że wolałby mieć żonę w domu. Przez pierwsze lata małżeństwa tak właśnie wyglądało jej życie, ale kiedy Laura podrosła, Anna uznała, że nadszedł czas, by pomyślała o sobie i swoich potrzebach. Macierzyństwo traktowała w kategoriach obowiązku. Wprawdzie kochała córkę i cieszyła się, że przyszła na świat, ale nie widziała siebie w roli kury domowej, którą z każdej strony otaczałyby dzieci. Anna kochała spokój i stateczne życie. Leopold nie należał do rozrywkowych mężczyzn, więc pod tym względem pasowali do siebie idealnie. Uwielbiali teatr, tam więc spędzali wiele wieczorów. To oczywiście wiązało się z pewnymi wydatkami, które początkowo Leopold ochocho ponosił. Każda premiera spektaklu wiązała się też z zakupem nowej sukienki i kapelusza dla żony. Jej uśmiech przekonywał go jednak, że słusznie postępuje. Z czasem pensja urzędnika przestała wystarczać, co umiejętnie wykorzystwała Anna, gdy przekonywała męża, by zgodził się na jej pracę w biurze. Leopold zbyt kochał żonę, by jej nie ulec. I tak od dziesięciu lat pracowali w Magistracie. Zatrudnieni byli w różnych wydziałach, ale czasem widywali się na korytarzu.

– Nie ma co zwlekać – wrócił do rozmowy Dawid. – Wojsko tak szybko nie dotrze w głąb kraju. Stryj zapewni nam dach nad głową, a i pracy w lesie wystarczy dla wszystkich.

– Poczekajmy na rozwój sytuacji – przestrzegał Leopold sceptycznie. – Rząd polski zapewne tak łatwo się nie podda, więc cały czas karty są w grze.

– Słyszałem o tym, ale już raz Niemcy pokazali, na co ich stać.

– Teraz jest inaczej. – Ojciec machnął ręką w uspokajającym geście. – Minęło dwadzieścia lat od poprzedniej wojny. Nikt nie pozwoli na to, by ten dramat się powtórzył. Żyjemy w cywilizowanym świecie. Anglia i Francja patrzą uważnie i nie zawahają się nam pomóc, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Sam nie wiem. – Dawid się zamyślił. – Ojciec opowiadał mi o poprzedniej wojnie.

– Wojna odczłowiecza. – Leopold pokiwał głową w zamyśleniu. Teraz znowu był młodzieńcem kryjącym się w piwnicy przed krążącymi po mieście żołnierzami, którzy czyhali na życie bezbronnych ludzi. Nie chciał się bać. Nie chciał być uzależniony od humorów wojska. Nie chciał, by jego córka kiedykolwiek doświadczyła wojny.

– Tatusiu, może powinniśmy przemyśleć propozycję Dawida? – Laura spojrzała na ojca z nadzieją.

– I co ja mam z tobą zrobić? Nie patrz tak na mnie, cukiereczku – zwrócił się do niej jak wówczas, gdy była małą dziewczynką. Niemal natychmiast uświadomił sobie, że za kilka miesięcy straci możliwość nazywania córki w ten sposób. I choć wiedział, że teraz też nie wypada tak się do niej zwracać, dodał: – Cukiereczku, doskonale wiesz, jak wykorzystać te swoje słodkie minki.

Laura uśmiechnęła się szeroko.

– Zastanowię się nad tą propozycją, a dzisiaj lepiej będzie, jak już pójdziemy spać.

Dawid natychmiast pojął, że nadszedł czas, by pożegnać się z narzeczoną. Najchętniej nie wypuściłby jej z ramion, ale wiedział, że to nie jest najlepszy moment, by narażać się na nieprzychylność przyszłych teściów.

W drzwiach Dawid minął stróża ze szkoły, w której pracowała jego narzeczoną. Przekazał Luizie wiadomość od kierownika o odwołanych lekcjach do końca tygodnia.

Laura położyła się do łóżka, ale długo nie mogła zasnąć. Ten dzień wzbudził w niej zbyt wiele emocji. Miał być cudownym powrotem do miejsca i ludzi, których kochała, a tymczasem okazał się jedną wielką niewiadomą. Usiłowała zapomnieć o dzisiejszych wydarzeniach. W marzeniach widziała siebie w parku kroczącą u boku Dawida. Uśmiechali się do siebie, a kiedy nikt nie patrzył, wzajemnie kradli sobie pocałunki. Jej długa suknia ślubna dotykała trawy, choć ślub planowali wziąć w grudniu.

* * *

Nie wiedziała, kiedy sen ją zmorzył, lecz gdy otworzyła oczy, na zewnątrz było ciemno i co rusz rozlegał się huk. Widocznie zbliżała się burza. Laura nie przepadała za odgłosami piorunów. Za to lubiła deszcz. Zwłaszcza latem, gdy dawał wytchnienie po upalnym dniu.

Przekreśliła się na bok i nakryła głowę miękką poduszką. Nie zdążyła jednak zasnąć, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi.

– Panienko, wstajemy – odezwała się Maria, a w jej głosie słychać było przerażenie.

Słabe światło nocnej lampki skąpo oświetliło twarz starszej kobiety. Już wiedziała, że coś się stało.

– Uciekamy, panienko.

– Jak to? Co się dzieje? Dokąd? – Laura zasypała ją pytaniami, które cisnęły jej się na usta.

– Rodzice się ubierają i pakują najcenniejsze rzeczy. Panienska też niech się przebierze i weźmie ze sobą ten złoty medalik z Matką Boską, co go dostała na chrzcie.

– To nie burza? – dopytywała zdezorientowana Laura.

– To niemieckie bomby na nas lecą – wyjaśniła gospoia, w pośpiechu wychodząc, by pomóc przy pakowaniu cennych przedmiotów.

– Bomby? – powtórzyła dziewczyna. – Bomby lecą? Na nas lecą...

Przez chwilę powtarzała te same słowa, aż w końcu dotarł do niej ich sens. Rzuciła się do szafy, by włożyć wygodne ubranie. Za radą Marii zawiązała w chusteczkę złoty łańcuszek z medalikiem, który dostała od ojca chrzestnego, i złoty pierścionek otrzymany od rodziców z okazji osiemnastych urodzin. Uwielbiała go nosić. Wówczas czuła, że jest dorosła. Do zawiązatka dołożyła też pierścionek od Dawida.

Po chwili wybiegła na korytarz. Z pokoju rodziców wciąż dochodziły odgłosy rozmowy i ponagleń. Tuż obok niej pojawiła się gospodyni.

– Mam bochenek chleba, konfitury i osetkę masła. Powinno wystarczyć na dzisiaj.

– Dokąd się wyprawdzamy?

– Na razie uciekamy do piwnicy – wyjaśniła kobieta i pociągnęła ją za rękę.

– A rodzice? – Z przerażeniem spojrzała w stronę ich pokoju, wtedy usłyszała okropny huk.

Obydwie przykucnęły, nisko schylając głowy. Czuły, jak budynek zadrżał w posadach. Maria złapała Laurę za rękę i wciąż mocno zgarbione wybiegły z domu. Dopiero na schodach zorientowała się, że rodzice do nich dołączyli. Na klatce tłoczyli się inni mieszkańcy kamienicy, którzy również chcieli się dostać do piwnicy. Stróż w pośpiechu porządkował przestarzałe, w której na co dzień było miejsce na opał oraz żywność. Ludzie byli jednak tak przerażeni, że nie chcieli czekać na wolne miejsce. Hurmem wbili się do środka i nie bacząc na wygodę, zaczęli się rozlokowywać na przyrmach węgla, wśród stosów drewna czy pomiędzy stertami ziemniaków i cebuli.

Rodzina Kozłowskiich zajęła miejsce w najdalszej części piwnicy. Laura zadrżała, gdy oparła się o zimną ścianę. Ojciec objął ją ramieniem. Natychmiast poczuła jego ciepło. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że powinna zabrać dodatkowy sweter.

Po każdym kolejnym wybuchu rozlegały się płacz dzieci i modlitwa dorosłych. Laura instynktownie wyczuwała, że powinna coś zrobić, ale nie wiedziała co. Siedziała jak sparaliżowana. To wszystko wyglądało jak w koszmarnym śnie, z którego chciała jak najszybciej się obudzić.

Matka okazała się znacznie rozsądniejsza i zabrała ze sobą nie tylko koc i dwie poduszki, ale również sweter, kilka świec i zapałki.

– Ponoć dworzec bombardują – powiedział ktoś z prawej strony.

- Znowu się zaczyna – dodał głos z drugiego końca piwnicy.
- To niemożliwe, żeby Europa dopuściła do kolejnej wojny – stwierdził mężczyzna siedzący najbliżej rodziny Kozłowskich.

Laura poznała sąsiada z piętra niżej. Wiśniewski wprowadził się niedawno, był gorącym zwolennikiem Rydza-Śmigłego i głośno chwalił podejmowane przez niego działania względem państw ościennych.

- Rydz-Śmigły poradzi sobie z tymi draniami, a polska armia odniesie zwycięstwo.
- To dlaczego tej armii nie widać? – spytał głos z prawej strony.
- Bo musimy się przygotować do walki – odparł Wiśniewski.
- Nasze wojska będą się przygotowywać, a tymczasem Niemcy rozniosą połowę kraju.
- Panie, my jesteśmy szanowanym narodem i żaden rząd nie pozostawi nas bez wsparcia.
- Dwadzieścia pięć lat temu też kazali nam tak myśleć, a później jedliśmy zgniłe ziemniaki i walczyliśmy kosami.

- A idź pan – oburzył się Wiśniewski. – To były inne czasy – dodał, zwiijając się w kłębek na niewielkim kocu.

Z oddali wciąż dochodziły odgłosy bombardowania. Za każdym razem Laura drżała. Myślała o Dawidzie. Miała nadzieję, że udało mu się ukryć w piwnicy i tam bezpiecznie przeczeka nalot. Nurtowało ją pytanie, jak długo będą zmuszeni pozostać w tym miejscu.

Kolejna bomba spadła jeszcze bliżej. Mury zadrżały, a odpadające ze stropu duże odłamki zaczęły spadać obok nich. Krzyki i płacz dzieci wzmagaly we wszystkich strach. Gryzący w oczy kurz przedostawał się do płuc, uniemożliwiając oddychanie. Laura gorączkowo łapała powietrze. Osloniła głowę dłońmi i zaczęła się modlić. Tak bardzo chciała móc się pożegnać z Dawidem.

ROZDZIAŁ II W SŁOŃCU I WE MGLE

Słońce właśnie schowało się ponad koronami wysokich sosen. Na ten moment wszyscy czekali. Kilka razy próbowali wyjść na łąkę oddzielającą dwie duże połacie lasu, ale za każdym razem, jak na zawołanie, pojawiały się myśliwce i przystępowały do ataku. Kilkanaście osób postrzelono. Laura ze łzami w oczach patrzyła na leżące wśród trawy ciała. Nie zdołali ich zabrać i pochować. Ryzyko było zbyt wielkie. Przez większą część dnia przedzierali się przez las. Musieli zaczekać do zmroku, by przebyć kolejny odcinek drogi dzielący ich od trasy prowadzącej do Warszawy.

– Ruszamy – zakomenderował Oskar, samozwańczy przywódca uciekinierów.

Dawid chwycił za rękę narzeczoną i pomógł jej wstać. Ciężki plecak ciągnął ją do tyłu, szelki boleśnie wrzynały się w jej chude ramiona. Szli dopiero drugi dzień, a ona miała wrażenie, jakby to trwało całe wieki. Miała odciski na stopach. Śmierdziała potem. Na ubraniu osiadł kurz. Splątane pasma włosów, które wysunęły się z warkoczy, falowały na wietrze.

– Wszystko w porządku? – upewnił się Dawid, patrząc na umorusaną twarz narzeczonej.

Przytaknęła, otrzepując ubranie z kurzu. Wiedziała, że to będzie trudna podróż, ale nie przypuszczała, że okaże się aż tak wyczerpująca i niebezpieczna. Po raz pierwszy widziała śmierć ludzi, z którymi chwilę wcześniej rozmawiała. Nie potrafiła zapomnieć uśmiechu młodej dziewczyny, która wyruszyła z nimi spod kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej. Tyle opowiadała o rodzinie mieszkającej pod Lublinem. Tam miała ukochanego, z którym latem planowała wziąć ślub. Być może dlatego straciła czujność, bo tak bardzo się spieszyła.

– Zimno ci? – spytał Dawid, widząc, że Laura ma dreszcz.

– Nie – odparła, unikając jego wzroku.

Nie musiała mówić niczego więcej. Objął ją mocno i mimo ponagleń Oskara trwał tak przez jakiś czas. Kiedy zostali sami, pociągnął ją za sobą. Szli w milczeniu, starając się dojrzeć oddalającą się grupę uchodźców. Kiedy ściemniło się na dobre, podzielili się na mniejsze grupy i zaczęli przemykać przez łąki.

– Nie dam rady. – Laura ciężko opadła na ziemię.

– Musimy dostać się do lasu. Tutaj jest niebezpiecznie – tłumaczył Dawid.

– To się nie uda. Zabiją nas.

– Kochanie, już niedaleko.

– Umrzemy tu wszyscy.

– Przeciwnie, przeżyjemy – powiedział pewny swych słów. – To dla nas jedyna szansa.

Chwycił ją za dłoń i pomógł wstać. Powoli posuwali się do przodu. Noc była jasna, więc szli bez wytchnienia. W pewnej chwili Oskar nakazał wszystkim się przyczać. W oddali majaczyły cienie. Oskar położył dłoń na nożu wciśniętym za pasek i nasłuchiwał. Gdy grupa się zbliżyła, poderwał się na równe nogi i dopadł do pierwszej osoby. Mężczyzna krzyknął przerażony, ale jego towarzysze zachowali zimną krew i to oni wzięli Oskara na muszkę. Wkrótce okazało się, że wszyscy próbują tylko pozostać przy życiu. To ich połączyło.

– Od dwóch dni Niemcy buszują po naszej Łodzi – powiedział jeden z mężczyzn prowadzących uciekinierów. – Obsiedli nasze miasto jak karaluchy, ale to na nas patrzą jak na pasożyty, które trzeba rozdeptać.

– Ludzie szaleją, jakby nie rozumieli, co się dzieje wokół nich, a szkopom w to graj. Strzelają, do kogo popadnie. To szaleństwo! – dodał inny uciekinier.

– Jak to? – Laura spojrzała na mężczyznę z niedowierzaniem. – Przecież nie mogą strzelać do bezbronnych ludzi. Tak nie można.

– Można czy nie, tak obecnie wygląda życie w mieście, dlatego uciekliśmy, a znajomy gospodarz przywiózł nas wozem aż tutaj. Dalej bał się jechać, żeby nie spotkać wojska, które

ciągnie w głąb kraju – wyjaśnił rozmówca.

Laura zakryła twarz dłońmi i przez cały czas kręciła głową z niedowierzaniem. Wyruszając w podróż, wierzyła, że za kilka tygodni wróci do Łodzi. Rodzice obiecali jej, że będą o siebie dbali. Teraz jednak z każdą chwilą traciła nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

– Nie potrafię przestać myśleć o rodzicach – wyszeptwała, nie podnosząc głowy. – Żle zrobiłam, zostawiając ich samych – dodała. – Muszę sprawdzić, czy przeżyli bombardowania. Oni mają tylko mnie, a ja ich zostawiłam – wyjaśniała i spojrzała na ukochanego, który siedział obok niej. – Zrozum, nie potrafisz o nich zapomnieć.

– Wiem, najśrodsza, ale to niebezpieczne. Słyszałaś, że w okolicy aż roi się od wojska. Nie możemy ryzykować i wrócić.

– Nie mogę inaczej.

– Twój rodzice nie chcieli z nami iść. Wiedzieli, że mogą nie przeżyć, ale woleli pozostać na miejscu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcieli nas słuchać – zaszlochała. – Tak bardzo ich kocham, że strach o ich życie mnie paraliżuje. Nogi uginają się pode mną. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli nie dowiem się, czy są bezpieczni.

Ukryła twarz w brudnych dłoniach, szlochając. Pozwolił jej na to. Jego rodzice też zostali w domu, więc rozumiał jej obawy. Szukał drogi ucieczki przed wojną, ale nie przewidział komplikacji. Niemcy uporczywie nękali zarówno mieszkańców Łodzi, jak i uciekinierów. Patrzył na ukochaną pogrążoną w smutku. Tak bardzo chciał dać jej wszystko to, co najlepsze. Zaslugiwała na to. Zaslugiwała na szczęście.

– Dobrze, wracajmy – poddał się.

Laura podniosła na niego oczy i choć dookoła panowała ciemność, dostrzegła w nich błysk. Poderwała się, gotowa na wędrówkę. W milczeniu pokonali łąkę. Nie weszli do lasu, żeby nie zabłądzić. Księżyc wskazywał im drogę. Szli przez całą noc, prawie nie odrywając się do siebie. O wschodzie słońca schowali się między drzewami. Laura padła na miękki mech. Ciężko oddychała. Długo nie otwierała oczu. Jej popękane usta wzbudziły niepokój w Dawidzie. Przeszukał plecak ukochanej, ale nie znalazł w nim wody. Sięgnął po swoje zapasy. Zostało im zaledwie kilka kropeł, ale i tak przytknął butelkę do ust narzeczonej, żeby choć zwilżyć jej wargi. Dawid dotknął jej rozpalonego czoła. Wyjął gruby sweter i okrył nim ukochaną. Pod głowę wepchnął jej plecak. Zaczekał, aż zaśnie i ruszył na poszukiwanie wody.

Słońce wspinało się coraz wyżej, gdy nagle dostrzegł pasące się na skraju lasu kozy. Przykucnął i przez chwilę obserwował zwierzęta. Nie dostrzegłszy nikogo, kto opiekowałby się stadem, schylony podszedł do najbliższej stojącej kozy. Najpierw ją poklepał, po czym chwycił za wymiona. Widocznie gospodarz zapomniał wydoić zwierzęta. Dawid wyjął butelkę z za pazuchy, ale trafienie do niej graniczyło z cudem, nie znalazł jednak innego naczynia. W głębi duszy dziękował uporowi matki, która co roku na miesiąc wywoziła go na wieś do swojej siostry mieszkającej pod Poznaniem. I choć Dawid nie znosił pracy w gospodarstwie, to teraz chętnie ucałowałby ciotkę Esterę, która z anielską cierpliwością uczyła go dojenia krów.

Kiedy butelka była napełniona do połowy, leży wykończony obok skubiących trawę zwierząt. Z kieszeni spodni wyjął pajdę chleba i odgryzł spory kęs, który popił ciepłym mlekiem. Czuł powracającą siłę i wiarę w powodzenie swojej misji. Dokończył jedzenie, a potem wrócił do dojenia. Wciąż większość mleka łądowała na trawie, ale butelka powoli się napełniała.

Gdy uznał, że już wystarczy, udał się w drogę powrotną. Laura leżała zwinięta w kłębek, ciężko oddychała. Jedną ręką podtrzymał jej głowę, a drugą przytknął butelkę do jej ust. Ledwie przełknęła kilka łyków mleka. Widział, jak bardzo jest wyczerpana. Pozwolił jej odpocząć, okrył starannie jej plecy. Wiedział, że nie powinien palić ogniska, ale w tej sytuacji nie miał wyjścia. Poszukał suchych gałęzi i sosnowych igieł. Tuż obok prowizorycznego legowiska ułożył stosik drewna i rozpałił go. Przelał mleko do metalowego kubka i postawił przy ogniu. Kiedy mleko się zagotowało, odstawił je, by nieco wystygło. Chwilę później przebudził Laurę i napił ją.

Dawid, wyczerpany całonocną wędrówką, położył się obok narzeczonej i również zasnął. Gdy się obudził, dotknął czoła Laury – nie było już tak gorące jak wcześniej.

– Kochanie, pobudka – zaczął cicho. – Musisz coś zjeść i wypić.

Laura otworzyła oczy i się rozejrzała.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała, a w jej spojrzeniu dostrzegł niepewność.

– Wracamy do domu, pamiętasz? – uśmiechnął się, by dodać jej otuchy. Sam też był przestraszony, ale nie chciał się do tego przyznać. Musiał zaopiekować się dziewczyną. Liczyła na niego, nie mógł teraz okazać słabości.

– Pić – nagle zmieniła temat.

Podał jej kubek. Piła łapczywie, nie bacząc na to, że biały płyn cieknie jej po brodzie. Kiedy skończyła, odstawiła kubek i natychmiast osunęła się na ziemię. Dawid okrył ją, patrząc, jak zapada w niespokojny sen.

Wiedział, że tę noc muszą spędzić w lesie. Ruszył na rozpoznanie okolicy. Kilkaset metrów dalej znalazł spore zagłębienie w ziemi szczelnie obrośnięte mchem. Powyżej rosły krępe cisy i jałowce, które mogły zapewnić schronienie.

Najpierw przeniósł tam plecaki, później nazbierał gałęzi i rozpałił ognisko. Wrzucił do niego kilka znalezionych nieopodal kamieni. Nie miał dużo czasu. Kiedy zacznie się ściemniać, będzie musiał zgasić ogień. Teraz mógł już pójść po Laurę. Przebudziła się, gdy wziął ją na rękę, ale nie miała siły protestować. Otworzyła powieki, gdy kładł ją na miękkim mchu. Zanim pozwolił jej zasnąć, wcisnął jej do ust kawałek chleba rozmoczonego w mleku. Przeżuła go bez słowa, a później potulnie zwinęła się w kłębek i zasnęła. Dawid wygasił ognisko, a grubym patykiem wyturlał z niego kamień. Przeciągnął go blisko stóp dziewczyny i okrył swoim swetrem. Teraz sam przybliżył do niego stopy. Czuł bijące od kamienia ciepło. Wtulił się i zasnął.

Obudził się, gdy wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Kamień zdążył wystygnąć, czuć było tylko zimny oddech nocy. Dawid na czworakach podpełzał do paleniska i dłońmi odszukał pozostawione w nim kamienie. Wciąż były ciepłe. Przeturlał kilka z nich jak najbliżej legowiska, po czym oparł o nie stopy. To samo zrobił z nogami narzeczonej. Ciepło go uspiło.

Ranek powitał ich mgłą. Wilgoć szczelnie otuliła cały las. Obydwoje drżeli.

– Jak się czujesz, kochanie? – zapytał, dotykając czoła Laury.

– Lepiej.

– Rozpalę ogień, żebyśmy mogli się ogrzać.

– Lepiej nie ryzykować. Ruszajmy w drogę.

– Dasz radę iść? – upewnił się.

– Chcę jak najszybciej zobaczyć rodziców. Muszę się upewnić, że nic im nie jest.

– Najpierw zjemy. Mam jeszcze kawałek czerstwego chleba. Namoczę go w mleku, a później ruszamy w drogę.

Śniadanie się przeciągnęło. Dawid specjalnie zwlekał, chcąc dać dziewczynie jak najwięcej czasu, by wróciła do sił.

Mgła nieco się przerzedziła, ale wciąż była na tyle gęsta, że mogli bez obaw wyjść z lasu. Szli powoli. Dawid niósł oba plecaki, z obawą spoglądając na dziewczynę. Ta myślała tylko o spotkaniu z rodzicami. Nawet nie potrafiła wyobrazić sobie, co by było, gdyby zginęli podczas bombardowania. Nie powinna ich zostawić i dać się namówić na ucieczkę. Oprócz nich i Dawida nie miała nikogo. Nie miała pojęcia, czy Wiesia żyje. Ostatnie dni przed ucieczką to ciągle naloty niemieckich bombowców, krzyk, płacz i bezradność szukających schronienia ludzi... Trzęsła się na samo wspomnienie tamtego widoku, a jednak nie potrafiła zostawić wszystkiego za sobą i budować nowego życia w nieznanym miejscu.

Wieczorem dotarli do trasy prowadzącej do Łodzi, ale nie dostrzegli na niej żadnego pojazdu. Pustka przeraziła Laurę. Nie wyszli na drogę. Przemykali wzdłuż niej, chowając się za gęstymi zaroślami.

W oddali zamajaczyły dwa samochody. Duża wojskowa ciężarówka tarasowała wjazd do miasta. Tuż za nią stało auto osobowe, a w nim siedzieli głośno śmiejący się żołnierze. Dawid pokazał Laurze, by była cicho. Obserwowali mężczyzn. Kilkunastu z nich kręciło się wokół ciężarówki. Na plecach mieli karabiny, a na głowach hełmy.

– Miasto jest odcięte – szepnęła Dawid. – Musimy minąć ich lasem.

– Mamy całą noc – odezwała się odważnie.

Chłopak spojrzął na nią z szacunkiem i mrugnął porozumiewawczo. Chwilę później skręcili, kierując się w stronę brzoźowego zagajnika, który nieco dalej przechodził w las.

Około północy przemknęli wąską uliczką w zachodniej części miasta. Wszędzie panowała cisza. Nawet psy przestały ujadać. Ulice spowiła ciemność. W żadnym oknie nie widać było światła. Takie zasady wprowadził niemiecki zarządca miasta. Wiedzieli, że chodzenie po mieście o tej godzinie jest szczególnie niebezpieczne. Adrenalina była jednak tak wielka, że żadne z nich nie myślało o konsekwencjach.

Ostrożnie, przytuleni do ścian budynków lub płotów, posuwali się dalej. Nagle tuż za swoimi plecami usłyszeli ujadanie psa. Laura odskoczyła od ogrodzenia, głośnie szczekanie odbiło się echem pośród zabudowań. Dawid chwycił ją za dłoń i pociągnął. Biegli, potykając się. Ich kroki ginęły wśród odgłosów ujadania.

Kiedy dopadli do bramy prowadzącej do kamienicy, w której mieszkali Kozłowscy, niemal się dusili. Serca łomotały im w piersiach niczym oszalałe. Chcieli jak najszybciej znaleźć się w środku. Niestety wejście było zamknięte. Z oddali dochodził warkot samochodu. Laura chwyciła za klamkę i zaczęła ciągnąć z całych sił, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Dźwięk silnika się wzmacniał. Dawid zaczął uderzać w metalowe pręty kijem. W oddali widać było światła zbliżającego się auta. Nagle drzwi do suterenu się uchyliły.

- Czego? - odezwał się stróż zaspąnym głosem. - Wynocha!
- To ja, Laura Kozłowska, niech pan otworzy! - odkrzyknęła dziewczyna.
- Panienska Laura? - dopytywał wciąż rozespany.
- Szybciej, szybciej, bo nas złapią - wtrącił Dawid.
- Już idę - zapewnił stróż i ruszył w ich stronę.
- Błagam, szybciej - ponaglała go Laura.

Starszy mężczyzna z wprawą otworzył zamek, a w chwili, gdy wślizgnęli się na podwórko, oślepiające światła przemknęły obok nich. Cała trójka przywarła do muru.

Kiedy znowu zapanowała cisza, Laura pobiegła do mieszkania rodziców. Maria otworzyła niemal natychmiast, jakby cały czas czekała na jej powrót.

- Kochana, wróciłaś - cieszyła się, ściskając ledwie trzymającą się na nogach dziewczynę. - Wchodźcie, wchodźcie bystro, zaraz przygotuję coś do jedzenia.

- Co to za hałasy? - syknął ojciec, wyglądając z sypialni. - Laurka? To naprawdę ty? - Rzucił się w stronę córki i mocno przytulił ją do piersi. - Umieraliśmy ze strachu o ciebie - powiedział, ale natychmiast zorientował się, że popełnił nietakt, dlatego wyjaśnił: - O was. Miałem czarne myśli. Tylu ludzi zginęło... - urwał, tuląc się do córki. - Na szczęście żyjecie.

- Leopoldzie, co się ... - Anna urwała, widząc jedynaczkę.

Kobieta zakryła twarz, starając się zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami. Córka odwróciła się w jej stronę i jedną ręką objęła szczupłą talię matki. Wzrokiem przywołała narzeczonego, który dołączył do rodziny Kozłowskich. Tylko Maria krzątała się po kuchni, w pośpiechu rozpalając ogień i szykując posiłek.

W nikłym świetle świecy narzeczeni pożywili się i opowiedzieli o podróży i o swoich obawach o życie Kozłowskich. Maria pościeliła Dawidowi w salonie. Laura wykończona poczapła do łóżka.

* * *

Choć październikowe słońce wciąż chętnie wychodziło zza chmur, w powietrzu czuć było zapowiedź zimy i uciążliwych zmian, jakie każdego dnia dotykały mieszkańców miasta. Powszechne stały się kradzieże majątku zamożnych łodzian pochodzenia żydowskiego. Wiele kamienic zostało zajętych przez niemieckich lokatorów, więc ludzie szukali schronienia u krewnych i przyjaciół. Nagle przyziemne sprawy stały się najważniejsze. Na przełomie sierpnia i września niewiele osób myślało o zrobieniu zapasów na zimę. Teraz pojawiało się widmo głodu. Wszyscy, którzy mieli rodzinę albo znajomych gospodarzy w pobliskich wsiach, ryzykowali życie, by przywieźć do miasta worek ziemniaków, marchwi czy cebuli. Pieniądze stracili na wartości. Na szczęście zaczął kwitnąć handel wymienny.

Kiedy Laura doszła do siebie, spadł na nią pierwszy z wielu ciosów, jakie miała odebrać w dorosłym życiu. Ojciec Dawida, znany wykładowca w Wolnej Wszechnicy, stanowiącej namiastkę uczelni wyższej, został aresztowany. Ludzie nauki stali się głównym celem. Pojmany w drodze do domu nie zdążył nawet pożegnać się z rodziną, która o jego aresztowaniu dowiedziała się od znajomych świadków tego wydarzenia.

Dawid podświadomie wciąż wierzył, że ojciec wróci, podobnie zresztą jak jego młodsi bracia. Tylko Abigail Lewiatan nie miała nadziei. Od początku nie słuchała podszeptów serca, doskonale pamiętając bezwzględne działania armii niemieckiej walczącej w pierwszej wojnie światowej. Każdego dnia chodziła pod więzienie, by dowiedzieć się czegoś o mężu. Nikt jednak nie chciał udzielić jej wyjaśnień.

Dawid znalazł pracę u piekarza, który część swoich wyrobów musiał oddawać Niemcom, lecz oni w zamian za to przymykali oko, gdy próbował zarobić coś potajemnie.

Laura też próbowała znaleźć pracę, ale tej było jak na lekarstwo. Przez kilka dni pracowała w kawiarni, którą upodobali sobie niemieccy żołnierze. Próbowała ich ignorować i skupić się na pracy, ale nie mogła znieść ciągłych podszcypywań, łapania za uda czy piersi. Kiedy doprowadzona do rozpaczki wybiegła z kawiarni, wiedziała, że nie będzie mogła tam wrócić. Nikomu o tym nie powiedziała. Wolała kłamać, że posądzono ją o kradzież pieniędzy. Tak bardzo potrzebowała teraz Wiesi, której nie widziała od pierwszego września. Okazało się, że dziewczyna odwiedziła jej rodziców przed opuszczeniem Łodzi. Miała nadzieję porozmawiać z Laurą, ta jednak wtedy uciekała z miasta. Wiesia tymczasem wróciła do Brzezin, by pomagać w gospodarstwie. W okupowanej Łodzi nie było miejsca dla nauczycielki.

– Wiem, jak zdobyć jedzenie – odezwała się Laura przy śniadaniu.

Na stole oprócz chleba stały powidła ze śliwek, które zdążyła przygotować Maria przed wybuchem wojny. Ostatnio tak wyglądały ich posiłki. Żadne z nich się nie skarżyło. Maria pieczołowicie liczyła każdy stoik z przetworami. Przy dużych staraniach mogło ich wystarczyć do wczesnej wiosny. Tylko co potem? Tego nikt nie wiedział.

– Pojadę do Wiesi. Jej rodzice sadzili ziemniaki i warzywa. Na pewno chętnie nam sprzedadzą trochę jedzenia.

– Pojedziesz? Jak? Z kim? – dopytywała matka elegancko ubrana i gotowa do wyjścia do pracy.

Choć Magistrat przy placu Wolności zamknięto, to przeprowadzono staranne rozpoznanie wśród dotychczasowego personelu. Każdy, kto znał język niemiecki, dostał ofertę nie do odrzucenia. Miał pracować na rzecz Rzeszy Niemieckiej, otrzymując nędzne wynagrodzenie, ale też nadzieję na ochronę i przeżycie. Leopold nie znał języka, więc musiał pozostać w domu. Pracował dorywczo w sklepie przeznaczonym dla Niemców. Od czasu do czasu przynosił do domu trochę suchych bułek czy kawałek kiełbasy, której nie zdążyli wykupić niemieccy klienci.

– Mam rower i wózek – ciągnęła Laura podekscytowana. – Przywiążę wózek do roweru i pojadę do Brzezin.

– To wózek dziękuję, w którym wozilaś cię, gdy byłaś malutka. Myślisz, że nikt nie zwróci na ciebie uwagi?

– Będę udawać wariatkę, która nic nie rozumie. Mam starą sukienkę z fartuszkami, w której chodziłam do szkoły. Zaplotę dwa warkoczki i trochę się zgarbię, żeby wyglądać młodziej.

– Lepiej nie ryzykować – odezwał się ojciec. – Spróbujemy wymknąć się nocą. Pójdę z tobą do Brzezin.

– Tatkum, załatwię to sama – przekonywała. – Jak nas złapią, nie zdołamy się wytłumaczyć. Samej będzie mi o wiele łatwiej wymknąć się z miasta.

– Dawid się na to nie zgodzi – upierał się ojciec, odwołując się do ostatecznego argumentu.

– Obiecacie mi, że on się o niczym nie dowie. – Spojrzała hardo najpierw na ojca, później na matkę. – Ma dostatecznie dużo zmartwień na głowie. Nie przyjdzie wcześniej niż w niedzielę, więc mam cztery dni, by wrócić.

– Wiesz, że gdyby coś ci się stało, to... to... – zająknął się ojciec. – Już raz drżeliśmy o ciebie.

– Tatku, to wojna, ale ja nie zamierzam umierać. Przrzekam, że wrócę przed niedzielą cała i zdrowa.

Rodzice długo milczeli, spoglądając na siebie wzajemnie, jakby żadne z nich nie chciało podjąć ostatecznej decyzji.

– Chociaż tak mogę się wam na coś przydać – dodała.

– Nie mów tak. – Ojciec pocałował jej błądy policzek. – Robisz, co możesz, żeby znaleźć pracę.

– Na razie tylko tyle mogę pomóc – nie ustępowała Laura.

Anna odstawiła filiżankę i wstała, następnie poklepała Laurę po ramieniu i bez słowa wyszła z mieszkania. Ojciec głęboko westchnął, z rezygnacją pokręcił głową i ucałował córkę w sam środek czoła.

– Zobaczmy ten twój wózek – odezwał się, człapiąc w stronę drzwi wyjściowych.

Laura dopiero teraz dostrzegła, że jego ciemne włosy przerzedziły się, a w oczach dało się dostrzec nieustające zmęczenie.

Dziewczyna narzuciła na siebie ciepły sweter samodzielnie zrobiony w ubiegłą zimę i podreptała za ojcem.

Od lat nieużywany wózek stał w piwnicy. Leopold wyciągnął go na podwórko, omiół z pajęczyn i sprawdził, czy koła wciąż się kręcą. W tym czasie Laura przetała siodełko roweru i poszukała sznurka, którym ojciec przymocował wózek. Kiedy wszystko było gotowe, pobiegła do domu, by się przebrać. Czekają ją duże wyzwania aktorskie, ale ona kochała teatr. Rodzice często ją do niego zabierali. Czasem myślała, że gdyby nie została nauczycielką, mogłaby spróbować swych sił na scenie.

Ubrana w granatową sukienkę z dużym marynarskim kołnierzem obszytym białą lamówką i ze splecionymi dwoma długimi warkoczami wrzuciła do wózka sporą szmacianą lalkę. Ułożyła jej nogi tak, by były widoczne, i wsiadła na rower.

Ojciec długo jeszcze stał na podwórku. Choć nie miał nawet pięćdziesięciu lat, czuł się jak starzec niezdolny do poświęceń dla własnej rodziny. Tymczasem jego mała córka narażała życie, by zapewnić im byt. Z całej siły kopnął w skrzynkę z narzędziami, których przed chwilą używał.

– Co się dzieje? – zapytał wystraszony stróż, który wybiegł na podwórko. – Co się stało?

– Przepraszam, potknąłem się – skłamał Kozłowski i schylił się, by pozbierać rozsypane narzędzia.

– Pomogę panu.

– Sam nabrońem, to i sam posprzątam – odparł, nie patrząc na stróża.

Mężczyzna chwilę się wahał, w końcu jednak powiedział:

– Ludzie powinni sobie pomagać w chwilach, gdy cały świat o nich zapomniał.

Leopold się wyprostował. Niespodziewanie łązy pojawiły się na jego policzkach. Otarł je wierzchem dłoni, choć wiedział, że stróż zdążył je dostrzec.

– Ile jeszcze wytrzymamy? – spytał cicho.

– Tyle, ile będzie trza.

Mężczyźni podali sobie dłonie i rozeszli się do mieszkań. Później Leopold narzucił na siebie gruby sweter i poczłapał do pracy.

* * *

Tymczasem Laura mocno naciskała na pedały, garbiąc się przy tym i podśpiewując piosenkę. Jeden z patroli Schutzpolizei² mijając ją, zwolnił. Siedzący obok kierowcy policjant postukał się w czoło. Laura uśmiechnęła się szeroko i jeszcze głośniej zaśpiewała. Samochód wyprzedził ją i odjechał. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo ma napięte mięśnie twarzy. Rozluźniła je. I z jeszcze większą energią pedałowala.

Nie chciała ryzykować, dlatego zjechała z drogi, na której ustawiono blokadę. Każdy, kto chciał wjechać lub przekroczyć granicę miasta, musiał pokazać dokumenty i zezwolenie od władz niemieckich na przemieszczanie się. Laura nie miała tego dokumentu. Ostrożnie sprowadziła rower do rowu i weszła w zarośla. Skręciła i wciąż schylona posuwała się, nieco

zbaczając z trasy. Musiała jednak nadłożyć drogi, by nie wpaść na patrol. Wreszcie dotarła do rzadko rosnących drzew. Skryła się za pierwszym z nich i wyjrzała na drogę. Żandarmi palili papierosy i nie rozglądali się. Szybko pobiegła do drugiego drzewa i znowu wyjrzała. Upewniwszy się, że nadal nikt na nią nie patrzy, pokonywała kolejne odcinki drogi. Wreszcie oddaliła się tak bardzo, że choć widziała samochód, to samych wartowników już nie dostrzegła. Opadła na trawę. Dyszała dłuższą chwilę. Zdjęła sweter, bo pot spływał jej po plecach. Z wózka wyjęła małą butelkę z wodą. Łączywie się napiła i ruszyła w dalszą podróż.

Większość trasy pokonała na rowerze, ale kilka razy musiała wejść w zarośla, by przepuścić niemieckie samochody wiozące pożywienie czy broń do Łodzi.

Po blisko trzech godzinach wjechała do Brzezin. Murowane domy, gdzieśgdzie poprzepłatane drewnianymi domostwami, wyglądały na opustoszałe. Nikt się przy nich nie kręcił. Nawet psów nie było widać. Laura ruszyła w głąb miasteczka pod adres przyjaciółki. Jechała wzdłuż głównej drogi aż do rozwidlenia. Skręciła w jedną z drózek, która doprowadziła ją do starego gospodarstwa. Tym razem psy zaczęły głośno szczekać. Jak na komendę przy drewnianej rozwalającej się bramie pojawił się mężczyzna.

– Cego chce? – syknął bezzębny starzec.

– Pochwalony, szukam przyjaciółki – zaczęła Laura. – Nazywa się Wiesława Zielińska i mieszka gdzieś niedaleko.

– Niedaleko, niedaleko – powtórzył. – My wszystkie jak rodzina, to i niedaleko od siebie żyjem.

– Może mi pan powiedzieć, w którą stronę powinnam jechać?

– Nigdzie paniusia jechać nie musi – dodał, postukując grubym kijem, którym się podpierał.

– Toć to nasza Wisia – oświadczył i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając bezzębne dziąsła.

Laura odwzajemniła uśmiech i zaczęła na otwarcie bramy. Potem weszła na podwórkę. Szybko oceniła, że większość zabudowań jest stara i wymaga naprawy. Nic dziwnego, że rodziców Wiesi nie było stać, by płacić za czynsz córek kształcących się w dużym mieście.

W drzwiach drewnianego domu pokrytego strzechą Laura ujrzała przyjaciółkę.

– Nie wierzę – odezwała się Wiesia. – Dziadunio i Pan Bóg cię do mnie sprowadzili.

– Raczej mój rower, ale najważniejsze, że udało się nam spotkać – odparła Laura i rzuciła się w ramiona przyjaciółki.

– Już myślałam, że się nigdy nie zobaczymy – żaliła się. – Twoi rodzice mówili, że uciekałś do stolicy.

– Chciałam, ale ostatecznie wróciłam z Dawidem.

– Dobrze, że jesteś – dodała i jeszcze mocniej przycisnęła koleżankę do obfitego biustu. – Pewnie jesteś głodna? – spytała młoda gospodyni, gdy już wyściskała przyjaciółkę. – Wchodź do domu.

W środku przy kuchni krzątała się dojrzała kobieta, dwie młode dziewczyny obierały warzywa.

– To moja mama i moje młodsze siostry, Krysia i Zosia. Wrócili z Łodzi zaraz po wybuchu wojny.

Laura przywitała się i usiadła przy stole. Dopiero wtedy poczuła, jak bardzo bolą ją mięśnie. Napiła się ciepłej kawy zbożowej i posiliła kawałkiem placka drożdżowego. Później opowiedziała o wydarzeniach z ostatniego miesiąca. W tym czasie matka Wiesi ugotowała obiad i zaprosiła gości do stołu. Do domu wrócili trzej młodzi bracia Wiesi, którzy teraz z zainteresowaniem słuchali opowieści Laury o życiu w okupowanej Łodzi. Na końcu stołu zasiadł starzec, który wpuścił Laurę na podwórkę. W ciszy przysłuchiwał się rozmowom.

Późnym popołudniem dziewczęta wyszły, by przygnać z pastwiska krowy. Dopiero teraz mogły spokojnie porozmawiać.

– Nawet nie wiesz, jak się przestraszyłam, gdy po raz pierwszy usłyszałam wybuchy. W środku nocy uciekałyśmy do piwnicy pani Edzi. Bomby spadały blisko naszego domu, a my mogłyśmy się tylko modlić, by w nas nie trafiły – tłumaczyła i przez cały czas energicznie wymachiwała rękami, jakby nie mogła nad nimi zapanować. Laura dostrzegła, że dziewczyna nieco schudła.

Laura równie zwierzyła się przyjaciółce i opowiedziała o aresztowaniu Izraela Lewiatana.

Krowy posłusznie szły przed kobietami zajętymi rozmową. Wiesia opowiedziała o wyludnieniu wsi. Wielu gospodarzy uciekło, pozostawiając zwierzęta pod opieką sąsiadów. Ich rodzina w ten sposób pozyskała trzy krowy, konia i kilkadziesiąt kur. Dzięki temu nie brakuje im jedzenia, ale też potrzeba więcej rąk do pracy.

– Ja tak trajkotam, a ciebie pewnie interesuje to tyle co zeszłoroczny śnieg – zaśmiała się Wiesia. – Będzie ślub?

– Musi być – stwierdziła kategorycznie Laura. – Odliczam dni do ceremonii.

– Co z suknią ślubną?

– Mama wyjęła swoją z kufra. Uprałyśmy ją i tylko czeka na wyprasowanie. Jest trochę za krótka, ale Marysia doszyła koronkową falbankę.

– Oby tylko wszystko się udało i wreszcie będziecie mogli być razem.

– Będziemy na dobre i na złe. – Uśmiechnęła się.

– I w końcu będziecie mogli się całować do upadłego – rozmarzyła się Wiesia.

– Będziemy... – roześmiała się Laura i nakryła dłonią usta, jakby w obawie, by nie powiedzieć czegoś więcej. W tej samej chwili krzyknęła i stanęła jak wryta. Powoli spojrzała w dół i skrzywiła się z obrzydzeniem.

– No to wpadaś jak śliwka w g... kompot! – zaśmiała się Wiesia i podała pomocną dłoń przyjaciółce, której stopa utknęła w krowich odchodach.

– Fujj! – żaliła się Laura, usiłując wytrzeć but o trawę. Jednak brunatna maź pozostawiła widoczne dla oka i odczuwalne dla nozdrzy ślady.

– W domu umyjesz się dokładnie – pocieszyła ją Wiesia. – Takie niespodzianki tylko u nas.

Roześmiały się, ale po chwili dobry humor je opuścił.

– Wierz mi, że to i tak lepsze niż to, co ja widzę codziennie na ulicach Łodzi.

Wiesia, zanim uciekła do Brzezin, zdążyła doświadczyć na własnej skórze, czym jest wojna. Paraliżujący strach pozbawiał ją sił. Tutaj było nieco spokojniej. Tylko gdy nadlatywały bombowce, wszyscy chowali się w ziemiance, w której na co dzień przechowywali warzywa. Już kilka razy myśleli, że to koniec, ale widocznie Niemcy uznali, że jeszcze nie nadszedł czas na zrównanie z ziemią polskich wsi, miast i miasteczek.

Dziewczyny zagnały bydło do nędznej obory. Jeden z braci Wiesi wyciągnął wiadro wody z głębokiej studni, by Laura mogła wyszorować buty i uprać pończochy.

– Zostaniesz u nas trochę? – spytała Wiesia z nadzieją w głosie.

– Jeśli nie przeszkadzam...

– Ty? Nigdy! – ucieszyła się przyjaciółka.

Przez trzy dni spędzały ze sobą każdą chwilę. Śmiały się i rozmawiały, wspominały najlepsze chwile w szkole i swoich ulubionych uczniów. Ale kiedy Laura nadmieniła o tym, że słyszała o arestowaniu kierownika, obydwie spochmurniały. Lubiły tego nerwowego dziwaka, który tak jak one kochał swoją pracę, a każdego ucznia chciał wychować na wartościowego człowieka.

W sobotę rano obudziły je wrzaski kurczaków biegających po podwórku. Wiesia wyszła, żeby pomóc matce. Laura zaścieliła łóżko i dołączyła do przyjaciółki.

– Pomożesz mi? – Wiesia odwróciła się do niej i tym samym odsoniła dużą balię.

Laura dopiero po chwili zorientowała się, że to kurczęta. Wzdrygnęła się. Tymczasem Wiesia wlała do balii gorącą wodę z sagana przyniesionego przez jej młodszą siostrę Krysię i przystawiła dwa niskie stołki.

– Jak się szybko uwiniemy, to cię kawałek odprowadzę – obiecała, zasiadając na jednym ze stołków.

Laura patrzyła, jak koleżanka wyskubuje pióra z nieżywych kurcząt. Dotychczas nigdy tego nie widziała.

– No, siadaj, będzie ci wygodniej. Złap za górę i przytrzymaj. Zobacz – zachęcała.

Laura w milczeniu usiadła i chwyciła wciąż jeszcze ciepłego kurczaka. Brak głowy sprawił, że się wzdrygnęła.

– Nie ma rady, jak nie oskubiesz, to nie zjesz – wyjaśniła Wiesia, widząc rozpacz w oczach przyjaciółki. – Wyobraź sobie, że to zabawka, a ty możesz bezkarnie ją zniszczyć, wrywając z niej wnętrzności.

– Wątpliwe pocieszenie.
– Jutrzejczy rosół wynagrodzi ci dzisiejsze cierpienie. – Wiesia mrugnęła do niej porozumiewawczo.

Początkowa Laura wyrwała pióra, skąd popadnie, ale z czasem zaczęła się bardziej przykładać. A kiedy skończyła, z dumą podniosła kurczaka i pokazała go znawczyni.

– Teraz jeszcze trzeba wypatroszyć.

Oczy Laury stały się wielkie jak planety, które wymalowane były w sali przyrodniczej w ich szkole.

– No dobrze, tym razem cię wyręcę – zlitowała się Wiesia i zabrała się do rozcinania wnętrzości oskubanych kurcząt.

Laura skorzystała z oferty pomocy i wyszła z obory. Odetchnęła pełną piersią i ruszyła w stronę swojego wózka, który został już wypełniony ziemniakami, marchewką, burakami i cebulą. Wyrównała warzywa i szczerlnie okryła je kocem, na którym położyła lalkę.

– Jeszcze kura – zawołała Wiesia, biegnąc w jej stronę.

Odkryła koc i wygrzebała dziurę między warzywami, do której upchnęła kurczaka. Laura wyjęła pieniądze i podała dziewczynie.

– Co ty? Oszalałaś? – Ta się zaperzyła. – Nie obrażaj nas.

– Przecież nie możecie dać mi tego wszystkiego za darmo.

– A co nam po pieniądzach? – odezwała się matka Wiesi. – Tu nie mają wartości.

– To jak ja się odwdzięczę za tyle jedzenia? – zastanawiała się Laura.

– Następnym razem przywieź nam lekarstwa. O to u nas bardzo trudno – odpowiedziała starsza kobieta.

Laura uściskała ją na pożegnanie. Później objęła Krysię i Zosię. Mężczyźni zdążyli wyjść w pole. Poprosiła więc gospodynię, by pożegnała ich od niej. Wiesia, zgodnie z obietnicą, odprowadziła ją na skraj miasteczka.

– Przyjedź za miesiąc. Będę na ciebie czekała.

– Już nie mogę się doczekać – wyszeptwała, gdy się tuliły do siebie na pożegnanie.

Gdy tylko wsiadła na rower, zaczął siał deszcz. Początkowo nie zwracała na to uwagi, ale z każdą chwilą ulewa się wzmagala. Laura, zgarbiona, pedałowala coraz mocniej. Czula jednak, że koła zaczynaja grzecznać w rozmięklej ziemi. Wkrótce zaczęło jej brakować sił. Zeszła więc z roweru i zaczęła go pchać. Ciężko dyszała. Strużki wody spływały jej po twarzy. Co chwilę wycierała je równie mokrym rękawem. Wózek ciążył i spowalniał. Zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby zostawiać zapasy w rowie i popędzić do domu. Spojrzała na podskakującą na wybojach lalkę. Uśmiechała się do niej. Ten uśmiech dodał Laurze sił. Szarpnęła mocniej i skręciła w wąską ścieżkę prowadzącą do lasu. Teraz oparła rower o drzewo i pozwoliła sobie na krótki odpoczynek.

Kiedy jej oddech nieco się wyrównał, ruszyła w dalszą drogę. Szła wolno, wybierając najmniej wyboistą drogę wśród drzew. W końcu dotarła do trasy prowadzącej do Łodzi. Ulewny deszcz zagnał żołnierzy do prowizorycznej strażnicy. Obok niewielkiej drewnianej stróżówki leżały deski przygotowane do budowy większego budynku.

Laura przez chwilę odpoczywała, a później popędziła wzdłuż zarośli. Śliska trawa utrudniała jej podejście pod górkę dzielącą ją od wąskiej bocznej drożki. Zaparła się mocno stopami, ale kiedy próbował zrobić krok, poślizgnęła się i ciężki wózek pociągnął ją w dół. Nasiąknięta wodą odzież przylepiła się do ciała. Nie czuła zimna, choć jej dłonie były zaczerwienione i zgrabiące. Spróbowała się podnieść. Szarpnęła rower. Potrzebowała chwili, by złapać równowagę. Wreszcie ruszyła w górę. Każdy krok wymagał precyzji i siły. Przez cały czas myślała o tym, że teraz nie może się poddać.

Powoli sunęła w górę. Kiedy dotarła na szczyt nasypu, wsparła się na rowerze i pozwoliła sobie odetchnąć. Nagle tuż za nią odezwał się ktoś w obcym języku.

– Halt!

Obejrzała się. Tuż za nią stało dwóch niemieckich żołnierzy. Spuściła głowę i zrobiła głęboki wdech. To nie mogło się tak skończyć...

ROZDZIAŁ III NA DOBRE I NA ZŁE

Choć znajdowali się w pomieszczeniu, chłód ich paraliżował. Anna Kozłowska wyjęła chusteczkę i otarła nią policzki. Wiedziała, że to nie będzie łatwe, ale nie przypuszczała, że aż tak się rozklei. Leopold ścisnął jej drugą dłoń, by ją nieco ogrzać, ale sam też drżał z emocji i zimna.

W kościele Matki Boskiej Zwycięskiej oprócz nich była tylko Wiesia i rodzina Dawida. Ksiądz ryzykował życie, ale zgodził się na udzielenie sakramentu. O mszy nie było mowy. Odkąd Łódź została włączona do Rzeszy Niemieckiej, Kościół borykał się z nagonką nowych władz. Msze uznano za nielegalne zgromadzenia i zakazano ich. Zaczęły się prześladowania, a nawet aresztowania księży. Kościoły przestały stanowić schronienie. Niektóre już służyły jako magazyny dla wojsk niemieckich. W nielicznych na drzwiach zawisły kłódki, ale wierni nie chcieli odejść. Zwłaszcza w tych czasach, kiedy tak bardzo potrzebowali otuchy.

Dawid spojrział na ukochaną i się uśmiechnął. Nigdy jej tego nie powiedział, ale miał wiele chwil zwątpienia, bo nie wierzył, że przeżyją. Kątem oka dostrzegł swoją matkę, przy której zamiast ojca stali jej dwaj synowie. Wiadomości o profesorze wciąż nie było, choć krążyły plotki, że dwudziestego grudnia w Lesie Łągiewnickim wykonano egzekucję na wielu ludziach. Podobno większość z nich to znenawidzona przez Niemców łódzka inteligencja. Dawid nie dopuszczał do siebie tej myśli, ale widział płaczącą po kątach matkę. Oficjalnie Izrael Lewiatan pozostawał w więzieniu w związku z działalnością przeciwko Rzeszy Niemieckiej.

Laura wsłuchiwała się w słowa księdza Jerzego, którego znała od dziecka. Pragnęła, żeby to właśnie on udzielił im ślubu. Wiedziała, jak wiele dla nich ryzykuje, dlatego nie dyskutowała, kiedy ksiądz zaproponował na ceremonię wczesny poranek. Okres świąteczny też odpadał, bo wszyscy spodziewali się, że szczególnie wtedy żołnierze będą pilnować wejścia do kościoła.

Do końca roku pozostał jeden dzień i to właśnie na tę datę zaplanowali ceremonię, która nie miała prawa się odbyć. Poza przeszkodami wynikającymi z toczącej się wojny, dodatkowym utrudnieniem był fakt, że Laura nie ukończyła dwudziestego piątego roku życia, a Dawid – dwudziestego ósmego, zatem w świetle niemieckiego prawa nie mogli wziąć ślubu. Ksiądz zgodził się sfałszować datę w księdze parafialnej, dla świata małżeństwem byli od trzydziestego sierpnia.

– Czy ślubujesz miłość, wierność i uczciwość małżeńską? – spytał ksiądz i spojrzął na Laure ubraną w zwykłą sukienkę i ciepły kożuszek. Biała suknia czekała na nią w domu. Nie byłoby rozsądne iść w niej do kościoła.

– Ślubuję – odparła, a jej ciemne oczy się rozjaśniły.

– A ty, Dawidzie, czy ślubujesz miłość, wierność i uczciwość małżeńską? – kapłan zwrócił się do świeżo ochrzczonego mężczyzny o typowo żydowskiej urodzie. Jego długi nos i ciemne oczy stanowiły najlepszy rodowód. Czarne, krótko przystrzyżone włosy i gładko ogolona twarz doskonale się komponowały z białą koszulą wystającą spod wełnianego, sięgającego kolan płaszcza.

– Ślubuję. – Dawid ochotczo pokiwał głową i mocno ścisnął dłoń dziewczyny.

Ksiądz oplótł stulą ich ręce i odmówił słowa modlitwy za nowożeńców. Obydwoje pochylili głowy i czekali. Na koniec wszyscy wyszeptali „amen”. Wówczas kapłan złożył im życzenia i w pośpiechu wyszli z kościoła.

Śnieg skrzypiał pod butami. Dla niepoznaki rozproszyli się wzdłuż ulicy, choć wszyscy podążali w to samo miejsce. Laura uśmiechała się pod nosem. Miała ochotę krzyknąć na całe gardło, by podzielić się swoim szczęściem. Dawid mocno ścisnął jej dłoń, którą chwilę wcześniej wsunęła do kieszeni jego płaszcza. Wymacała na jej dnie gwiazdkę, którą jej mąż dotychczas zmuszony był nosić na piersi i na plecach. Teraz próbował wtopić się w tłum.

Gdy weszli do kamienicy, niemal natychmiast poczuli smakowity zapach rosółu z kury przywiezionej przez Wiesię. Marysia uwijała się jak w ukropie, postawiła na stole własnoręcznie przygotowany makaron, a do wazy nalała gorący bulion. I nikomu nie przeszkadzało, że dopiero dochodzi dziewiąta. Żadne z nich przed wyjściem do kościoła nie zjadło śniadania. Gorący rosół szybko zyskał zainteresowanie zmarzniętych gości i domowników.

Panna młoda, zanim usiadła do stołu, włożyła białą suknię.

– Wyglądasz cudnie – szepnął jej do ucha Dawid, gdy zajęła miejsce obok niego. – Kocham cię – dodał i musnął ustami jej ucho.

Zawstydziła się, przeszły ją dreszcz podniecenia. Wiedziała, że musi zachować pozory, choć pragnęła, by wreszcie zostali sami.

Podczas przyjęcia wszyscy unikali tematu wojny. Raczej wspominali minione lata, wakacyjne przygody i rodzinne uroczystości. Wznosząc jeden z toastów, Dawid uczcił swojego ojca. Przez chwilę panowała niezręczna cisza.

– Wierzę, że ojciec żyje i wróci do nas, gdy ta wojna się skończy – dodał.

Po chwili wrócili do rozmów.

Choć nie było jeszcze szesnastej, mrok zalewał łódzkie ulice. Abigail Lewiatan pożegnała się z synową, uściskała jej rodziców i Wiesię, którą szczerze polubiła za jej serdeczny śmiech i otwartość. Potem wraz z synami wyszła na ulicę. Dawid obiecał, że ich odprowadzi. Choć panował mróz, wciąż czuli ciepłą atmosferę rodzinnego spotkania. Niespodziewanie matka się zatrzymała.

– Dalej pójdziemy już sami – odezwała się. – Wracaj do żony.

– Ale do domu jeszcze kawałek. Nie możecie iść sami. To niebezpieczne – zdziwił się Dawid.

– Teraz tam jest twój dom. – Spojrzała w stronę, skąd przyszli. – Ona na ciebie czeka. Zajmij się żoną.

– Mamo...

– Idź, synku, ale nie zapominaj zaglądać do nas.

– Przecież wiesz, że o was nie zapomnę.

Matka wspięła się na palce i pocałowała wyższego o głowę od niej syna. Dawid pomachał braciom na pożegnanie i zawrócił do swojego nowego domu. Idąc, zastanawiał się, czy podjął właściwą decyzję, godząc się na to, by po ślubie zamieszkali u rodziców Laury. Wprawdzie uzgodnili to jeszcze w sierpniu, w trakcie zaręczyn, ale od tamtego czasu sytuacja uległa zmianie. Jego matka mieszkała sama, codziennie bała się, że zostanie ograbiona. Sytuacja Żydów z dnia na dzień była coraz gorsza. W mieście na okrągło pojawiały się transporty z niemieckimi cywilami, których władze osiedlały w porzuconych mieszkaniach. Ostatnio jednak brakowało już miejsc, dlatego rozpoczęto masowe wysiedlenia żydowskich rodzin. Tego Dawid bał się najbardziej. Pocieszał się tym, że kamienica, w której mieszkała jego rodzina, stała na obrzeżach miasta i nie rzucała się w oczy. Jednak od pewnego czasu krążyła plotka, że Żydzi trafią do jednej dzielnicy. Nikt nie wiedział, do której. Niektórzy zakładali, że będzie to Stare Miasto, bo przed wojną to tam chętnie osiedlały się rodziny żydowskie.

Pogrążony w myślach Dawid dotarł do mieszkania Kozłowskich. W salonie było już posprzątane. Maria i Wiesia kończyły myć naczynia. Laura z matką chowały zastawę. Kiedy uporządkowały naczynia, wszyscy usiedli w salonie i wypili kawę zbożową – kolejny prezent ze wsi przywieziony przez Wiesię. Dzięki trosce jej rodziców Kozłowscy mieli warzywa na zimę. Laura w zamian za jedzenie, po które ponownie wybrała się w listopadzie, w przeddzień rozpoczęcia prac mających na celu zburzenie pomnika Tadeusza Kościuszki, zawiozła do Brzezin lekarstwa i maści. Za drugim razem była już ostrożniejsza. Nauczka, jaką odebrała po pierwszej podróży, nie poszła w las. Do tej pory dziękowała opatrności, że kiedy żołnierze złapali ją, gdy wychodziła z rowu, nadjechały ciężarówki transportujące broń i potrzeba było wielu wartowników, by sprawdzić, czy ładunek się zgadza. Pewnie w innym przypadku tak szybko nie uwierzyliby, że jest wariatką bawiącą się lalkami i właśnie w najgorszą ulewę wyszła z jedną z nich na spacer.

Za drugim razem nie wzięła już roweru. Do Brzezin poszła jedynie z wózkiem, z którego wystawało jeszcze więcej lalek. Pożyczyła je od kilkuletniej sąsiadki. W zamian obiecała, że

przywiezie jej prezent. Wtedy jeszcze nie wiedziała, co to będzie. Wiesia jednak szybko znalazła odpowiednią nagrodę dla dziecka. W drodze powrotnej mały, łaciaty kotek grzecznie siedział w wózku wyładowanym warzywami i słojami ze smalcem i masłem.

Wieczorem, zamiast w pokoju Laury, Wiesia położyła się w salonie. Kiedy wreszcie nowożeńcy zostali sami, Laura przysiadła na łóżku i bez pośpiechu zaczęła rozczesywać włosy. Nagle usłyszała dochodzące zza drzwi pytanie.

– Nie jest u was za zimno? – Poznała głos ojca.

– Nie, jest dobrze – odpowiedziała i dalej czesała włosy.

– Może chcesz dodatkową poduszkę? – dopytywał ojciec, przykładając ucho do drzwi.

Spojrzeli na siebie z Dawidem i uśmiechnęli się.

– Nie potrzeba, zmieścimy się na jednej – wyjaśniła, chichocząc.

– Yyyy – ojciec najwidoczniej nie zamierzał odpuścić. – A macie wodę do picia?

– Tatku, mamy wszystko, czego potrzebujemy – odparła, usiłując zamaskować zniecierpliwienie. – Czy on zwiariował? – szepnęła do przysłuchującego się rozmowie męża, który niewzruszony siedział na fotelu.

– Martwi się o ciebie – odpowiedział równie cicho Dawid.

Uśmiechnęła się.

– A może... – nie ustępował ojciec.

– A może położysz się już do łóżka i dasz im święty spokój? – usłyszeli zniecierpliwiony głos Anny Kozłowskiej.

Po chwili usłyszeli kroki ojca i zamykające się drzwi sypialni rodziców.

Laura odetchnęła z ulgą, odłożyła szcztokę. Nawet nie spostrzegła, że za nią pojawił się Dawid. Odwróciła się i mocno przywarła do jego piersi. Poczwała ciepłe usta błędzące po jej szyi i dekolicie. Nieco odchyliła głowę i przymknęła powieki. Przyjemne ciepło rozeszło się po jej ciele. Miała wrażenie, że jej mięśnie wiotczeją, a ona coraz bardziej poddaje się pieczętom. Dawid sprawnie rozpiął maleńkie metalowe haftki. Sukienka cicho opadła na podłogę. Laura stała teraz przed nim w białej, sięgającej pończoch halce i atłasowych pantoflach odziedziczonych po matce. Odsunął się od niej, by po raz pierwszy ujrzeć ją w bieliźnie. Nikię światła przykręconej lampy naftowej ustawionej przy łóżku pozwalało mu cieszyć się kobiecością żony. Szybko jednak zgasili płomień. Niemal w kompletnej ciemności położyli się do łóżka, pozwalając chętnym dłoniom poznawać nieodkryte dotąd zakamarki swych ciał.

Laura tuliła się do męża, odważnie pozwalając mu na pocałunki, którymi chętnie okrył jej ciało. Powoli zdejmując pończochy, pieścił jej uda. Później jego dłonie prześlizgnęły się nieco wyżej. Laura westchnęła, czując kolejną falę gorąca w okolicach podbrzusza. Pocałunki w tym miejscu nieco ją speszyły. Wzdrygnęła się. Dawid wyczuł jej wahanie. Jego usta powędrowały wyżej i lekko musnęły piersi, dłonie zaś błędziły wśród gęstych włosów łonowych. Pozwoliła, by dotknął jej delikatnego miejsca. Coraz głośniejsz dyszała, ale on nie przestawał. Pieścił ją, czekając, gdy nadejdzie chwila ekstazy. Wyczuł, gdy nastąpiła i pozwolił jej odetchnąć. Wciąż jednak całował jej ciało.

– Teraz będzie inaczej – powiedział po chwili i rozebrał się.

Później położył się obok niej i znowu zaczął całować. Tym razem dołączyła do niego. Czwała jego miękką przyjemnie pachnącą skórę. Spletli się w miłosnym uścisku. Bez trudu do niej trafił. Poczwała ból. Dawid poczekał chwilę, dał jej czas. To ona pierwsza drgnęła, wyginając się i nadając rytm ich ciałom. Splecione palce. Przyspieszone oddechy. Rozpalone ciała i nieokiełznane myśli sprawiły, że wkrótce poczuli falę rozkoszy.

Kiedy opadli na łóżko, ciężko dyszeli. Dawid gładził jej włosy, ona całowała jego dłonie.

– To było piękne – szepnęła, tuląc się do nagiego ciała męża.

– I zawsze tak będzie – obiecał i pocałował czubek jej małego nosa.

Zasnęli objęci. Noc jednak kusiła, a żadne z nich nie miało dostatecznie silnej woli, by się oprzeć namiętności, dlatego kiedy nieco odpoczęli, kochali się znowu. Dopiero nad ranem ubrali się w przygotowane wcześniej koszule i zasnęli wtuleni w siebie.

Kolejne dni płynęły szybko na codziennych obowiązkach, a nocie wypełniała namiętność.

Laura jeszcze przed świętami spotkała na ulicy matkę jednego ze swoich uczniów, która nieoczekiwanie zaproponowała jej pracę. Chciała dać dziecku namiastkę normalności, dlatego postanowiła, że umożliwi mu kontynuowanie nauki. Kobieta odnalazła już nauczyciela rachunków i łaciny. Tym bardziej ucieszyła się, widząc na ulicy Laurę. Młoda nauczycielka zgodziła się bez zastanowienia. Od tamtego dnia dwa razy w tygodniu przemykała z alei Kościuszki na ulicę Żeromskiego, gdzie opowiadała jedenastoletniemu Frankowi o poezji Słowackiego i Mickiewicza. Pieniądze, które w ten sposób zarabiała, przekazywała matce na prowadzenie gospodarstwa domowego. Dawid przeznaczył połowę swoich zarobków na utrzymanie.

Kiedy pod koniec stycznia, jak co wieczór wracał z pracy i wszedł na podwórko, dostrzegł stróża odgarniającego śnieg, by wytyczyć wąską dróżkę prowadzącą od drzwi każdej z kamienic do bramy. Dłonie mężczyzny były zaczerwienione, ale on nie przestawał pracować. Zatrzymał się dopiero, gdy zauważył gwiazdę na ubraniu Dawida.

– Pan się nie boi tego getta? – spytał bez zastanowienia.

– Mam nadzieję, że to tylko bujda – odparł Dawid i spróbował wyminąć stróża, nie miał ochoty na rozmowę.

W pośpiechu wszedł do mieszkania. Nawet nie zwrócił uwagi na zapach zupy warzywnej gotowanej przez Marię, choć zwykle wracał do domu głodny. Rzucił torbę i wszedł do salonu, w którym Laura po raz kolejny czytała powieść Jane Austen Rozważna i romantyczna.

– Wiesz, co dzisiaj wymyślił mój uczeń? – spytała, widząc wchodzącego męża.

Dawid pocałował ją w czoło i ciężko opadł na kanapę. Laura opuściła książkę na kolana.

– Akurat czytaliśmy Dziady, bo chciałam Frankowi pokazać, że nie ma ludzi bez grzechu, a nawet jeśli są, to wcale nie jest powiedziane, że po śmierci na pewno trafią do raju. Franciszek wymyślił, że wystawimy dramat na scenie, oczywiście w jego domu – tłumaczyła z przejęciem. – Ja mam rolę Dziewczyny, a on będzie Widmem – śmiała się. – Uwielbiam tego dzieciaka.

Przerwała opowieść, bo zastanowiło ją milczenie męża. Dopiero teraz dostrzegła jego posępną minę.

– Coś się stało?

Zagryzł wargi i nerwowo wyskubywał niesformą nitkę z rękawa swetra.

– O co chodzi? Żle się czujesz? Może masz gorączkę? – dopytywała, dotykając jego czoła.

– A jeśli naprawdę każą nam się stąd wyprowadzić? – odezwał się i niemal natychmiast schował twarz w spracowanych dłoniach. Praca w piekarni była wyczerpująca fizycznie. Na szczęście właściciel szybko dostrzegł potencjał Dawida i poza noszeniem worków z mąką zlecał mu też rozliczanie rachunków. – A jeśli to wszystko, co mówią o zamknięciu Żydów w getcie, okaże się prawdą?

– Przecież ty już nie jesteś Żydem – stwierdziła.

– I myślisz, że Niemcy w to uwierzą?

– Mamy dokumenty od księdza. Przecież są prawdziwe.

Dawid podniósł głowę i spojrzał na żonę.

– Niedługo wojna się skończy. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, że cię kocham? – spytała i kokietując go, usiadła mu na kolanach. – Najbardziej na świecie – dodała i pocałowała męża.

Cały dzień tęskniła za smakiem jego ust. Teraz nie zamierzała pozwolić mu się zamartwiać. To wcale nie oznaczało, że też się nie bała. Słyszała plotki krążące po mieście. Matka również mówiła o przesiedleniu Żydów, jednak nie wierzyła, że do tego dojdzie.

– Zupa stygnie – odezwała się Maria na progu salonu.

Laura się zawstydziła. Wiedziała, że nawet mężatce nie przystoi takie ostentacyjne okazywanie uczuć. Cóż z tego, skoro nie mogła się powstrzymać. Odskoczyła na bok, poprawiła włosy, chwyciła męża za rękę i pociągnęła go w stronę kuchni.

– Dawid! Dawid! – Głos dochodzący zza drzwi stawał się coraz głośniejszy.

Leopold Kozłowski pierwszy dopadł do zamka. Przekreślił go i wyrzwał na korytarz. W tej samej chwili do środka wdarł się młodzieniec. Kozłowski ocenił, że rozkrzyczany gość ma około trzydziestu lat i już na pierwszy rzut oka wygląda na Żyda.

– Gdzie Dawid?! Muszę z nim porozmawiać! – tłumaczył, nerwowo rozglądając się po wąskim przedpokoju.

– Co się dzieje? – spytał Dawid, wyrwany ze snu.

– Twoja matka i bracia... – zaczął przybysz. – Zabrali ich.

– Co? Kto ich zabrał?

– Niemcy przyjechali i kolejno przeszukiwali kamienice. Przyszli też do naszej. Zdążyłem wyskoczyć przez okno i uciec na dach – tłumaczył, żywo gestykułując.

– Dokąd ich zabrali? – spytał Dawid, a sen szybko znikł z jego twarzy. Nawet nie zauważył, że w przedpokoju pojawiały się Anna Kozłowska i Laura. – Coś im zrobili?

– Przyciąłem się na dachu kamienicy obok naszej i obserwowałem. Na szczęście nikomu nic nie zrobili, ale wszystkich wsadzili na ciężarówkę i wywieźli w stronę Zgierza – tłumaczył mężczyzna, rozcierając zsiniałe z zimna dłonie.

– Na Bałuty – domyśliła się Anna Kozłowska. – To tam zakładają getto. Nie sądziłam jednak, że Schafer⁴ zacznie tak szybko działać. Dopiero co wydał rozporządzenie o wydzieleniu strefy dla Żydów.

– Spieszmy mu się, żeby się przypodobał Hitlerowi – wtrąciła Laura i chwyciła dłoń męża. Poczuli, że drży, dlatego ścisnęła ją mocniej.

– Jest pan przemarznięty – zauważyła Anna i wskazała na kuchnię. – Musi się pan ogrzać i zjeść coś ciepłego, bo nabawi się pan kataru.

Maria sprawnie rozpałała ogień. Woda zagotowała się, a gospościa ukroiła kilka kromek chleba i postawiła na stole kawałek masła i słoik miodu podarowany przez Wiesię jako jeden w niewielu prezentów ślubnych.

– Muszę ich odnaleźć. – Dawid niespokojnie krążył po kuchni. – Ojciec by mi tego nie wybaczył. Nie zadbałem o nich. Zostawiłem ich samych – powtarzał, czochrając włosy, które zdążyły odrosnąć od ostatniego strzyżenia przed ślubem. Już półtora miesiąca byli małżeństwem, ale on wciąż miał poczucie, że powinien więcej czasu poświęcać braciom. Elias i Józef byli przecież jeszcze dziećmi.

– Postaram się czegoś dowiedzieć. Znajoma koleżanki z biura sprzęta w domu jakiegoś Niemca, który nadzoruje pracę w Wydziale Kwaterunkowym przy Lutomierskiej. Może ona nam pomoże odnaleźć Abigail i dzieciaki – oświadczyła Kozłowska i wyszła do sypialni.

Po chwili wróciła przebrana w elegancki kostium. Narzuciła na siebie kożuch. Szyję owinęła długim szalikiem i wyszła do pracy.

– Odnajdziemy ich – szepnęła Laura do męża i usiadła, by zjeść śniadanie, choć zapach miodu zdawał się bardziej intensywny niż zwykle. Ostatecznie zakryła słoik i zjadła pajdę chleba posmarowaną masłem.

Dawid opowiedział o znajomości z Zacharym, który wraz z rodziną przeprowadził się do ich kamienicy, gdy byli jeszcze nastolatkami. Był od niego nieco starszy, dlatego nie przyjaźnili się, ale lubili ze sobą rozmawiać. Teraz był mu wdzięczny, że zechciał go odnaleźć i przekazać nowinę.

– Mogę się u was zatrzymać? – zapytał Zachary, gdy nieco się rozgrzał gorącą kawą zbożową i przeszedł do salonu, gdzie siedział Leopold. – Nie wiem, dokąd iść. Moją rodzinę też zabrali.

Dawid spojrział na Leopolda. Mężczyzna tępo patrzył na wiszące na ścianie oprawione w ramkę zdjęcie przedstawiające portret jego i Anny wykonany w dniu ich ślubu, miesiąc po zakończeniu Wielkiej Wojny. Wtedy mieli nadzieję, że tamten dramat nigdy więcej się nie powtórzy. Dzisiaj drżał o przyszłość swojej rodziny, która niedawno się powiększyła. Abigail była przecież jej częścią.

– Tato? – zagadnęła Laura, podchodząc do ojca. – Czy możemy przyjąć Zacharego?

Ojciec pokiwał głową, wstał i zaczął szykować się do wyjścia.

– Powinieneś zrezygnować z pracy – odezwała się Laura do męża. – To zbyt niebezpieczne.

– Przecież oficjalnie jestem Polkiem, katolikiem i nie mieszkam z Żydami – odparł Dawid. – Zresztą teraz najważniejsza jest matka i chłopaki. Muszę ich odnaleźć i wyciągnąć z getta.

* * *

– W getcie właśnie uruchomili pocztę – obwieściła Anna Kozłowska, zaraz po wejściu do domu. – Możesz napisać list do matki.

Dawid po raz pierwszy od miesiąca uśmiechnął się pod nosem. Chociaż teściowa szybko ustaliła, w którym miejscu Bałut znajduje się Abigail Lewiatan, to Laura nie chciała się zgodzić, by Dawid choćby się tam zbliżył. Cała dzielnica była bacznie strzeżona przez Schutzpolizei. Zaczęto też prace nad budową ogrodzenia. Z każdym dniem dzielnica żydowska była coraz bardziej odseparowana od reszty miasta. Tym cenniejsza była wiadomość przyniesiona przez Annę.

– Zaraz napiszę do matki. Pewnie też umiera z niepokoju.

– Jutro przed pójściem do pracy zanoszę list na pocztę – obiecała Laura, która nie chciała, by mąż sam poszedł do urzędu.

Od chwili, kiedy Niemcy zaczęli wyłapywać Żydów, Dawid musiał być bardzo ostrożny. Do pracy i z powrotem przemyczał bocznymi uliczkami, truchlejąc na widok patrolu. Dotychczas raz udało mu się wykpić, a niemieccy żołnierze sprawdzili jego dokumenty i oddali je bez słowa.

Przed południem Laura poszła na pocztę. Kolejka nie była zbyt długa, więc nie spóźniła się na zajęcia do Franka. Dzisiaj chłopiec był wyjątkowo markotny. Choć do pierwszego dnia wiosny pozostało już tylko pięć dni, to chłopiec był smętny i nie chciał nawet wyjrzeć przez okno, by zobaczyć budzącą się do życia naturę. Laura zaplanowała na najbliższy tydzień omówienie Pana Tadeusza. Opisy przyrody ukazane w eposie wymagały uruchomienia wyobraźni i od tego zaczęła dzisiejszą lekcję, jednak Franciszek przez swój zły humor pracował bardzo wolno, dlatego zamiast umówionych dwóch godzin, Laura spędziła z nim prawie trzy. Matka chłopca знаła powód złego samopoczucia syna. Tym bardziej była wdzięczna nauczycielce, że wykazała się cierpliwością. Z wdzięczności zaprosiła kobietę na obiad, a gdy skończyły jeść i zostały same, opowiedziała jej o tym, że Franek widział, jak niemieccy żołnierze wyciągali z sąsiedniej kamienicy ukrywających się Żydów. Całą rodzinę zastrzelili na podwórku.

Laura, przejęta tym, co usłyszała, podziękowała za obiad i się pożegnała. Chciała zdążyć do domu przed zmrokiem. Było już dość późno, więc wsiadła do tramwaju. W środku było ciasno i duszno. Prząd pojazdu był niemal pusty, ale była to strefa przeznaczona dla niemieckich żołnierzy, do której żaden Polak nie miał wstępu. Po przejechaniu trzech przystanków zdecydowała się wysiąść, by nie zemdleć.

Kiedy stanęła na chodniku, przez chwilę łapczywie wciągała powietrze. Wreszcie poczuła się lepiej i w końcu ruszyła w stronę alei Kościuszki.

Spojrzała na drzewa, które zdawały się jedynie czekać na sygnał, kiedy będą mogły wystrzelić pierwszymi listkami. Tak bardzo chciała cieszyć się tej wiosny. Miała jeden ważny powód. Od kilku dni była już pewna, że jesienią ich rodzina się powiększy. Dawid, kiedy się o tym dowiedział, oszalał z radości. Całował ją bez opamiętania. Na chwilę zapomniał o całym świecie i planował wyprowadzkę do większego mieszkania. Szybko jednak musiał zweryfikować swoje marzenia.

O ciąży wciąż jeszcze nie powiedziała rodzicom, czekała na odpowiedni moment. Uważała, że takim będzie dwudziesty czwarty marca, kiedy jej matka będzie świętować czterdzieste piąte urodziny.

Laura, rozmyślając o swoim prezencie dla Anny Kozłowskiej, skręciła w bramę. Nagle poczuła szarpnięcie za ramię i niemal potykając się, odskoczyła w prawą stronę. Spojrzała w bok i dostrzegła Marię, która ciągnęła ją na ulicę.

– Co się dzieje? – spytała, uważając, by się nie przewrócić na bruku.

– Musimy się wychatrzyć⁵ – obwieściła Maria, kiedy znalazły się na ulicy.

Laura dopiero teraz mogła przyjrzeć się gosposi. Twarz miała bladą, a w oczach krył się strach. Jej dłonie drżały.

– Dlaczego uciekamy? – spytała, gdy już się nieco oddaliły od podwórka.

– Lepiej będzie trochę się poszłajać po mieście.

Dopiero teraz Laura przypomniała sobie, że zanim Maria pociągnęła ją za sobą, dostrzegła dużą ciężarówkę i samochód osobowy zaparkowany na podwórku. Teraz była już niemal pewna, co to oznaczało.

– Muszę wracać! – Wyrwała dłoń z uścisku Marii i zaczęła biec w stronę domu.

– Niech się panienka zatrzyma! – krzyknęła, jakby nie pamiętała, że Laura jest mężatką. – Niech się zatrzyma! To nie betka! Trza uważać na tych skurczybyków!

– Nie rozumiesz, że Dawid jest w niebezpieczeństwie?! – odparła i na moment zwołniła.

– W ten sposób panienka mu nie pomoże – ciągnęła, patrząc w jej oczy, które zdawały się ciemniejsze niż zwykle. Maria знаła to spojrzenie. Oprócz strachu kryła się w nim złość. W domu Kozłowskich spędziła ostatnich sześć lat i zdążyła poznać charakterystyczne domowników. Wiedziała, że Laura odziedziczyła po ojcu dobre serce, a po matce hardość, dlatego czasem popadała w kłopoty, stawiając na swoim. Ale teraz ten upór mógł jej obie kosztować życie.

Laura odniosła wrażenie, że uszło z niej całe powietrze. Plecami przywarła do zimnej ściany kamienicy i dyszała ze zmęczenia.

– Wyszedłam do piwnicy po drewno na rozpałkę – zaczęła Maria i objęła dziewczynę. – Wtedy usłyszałam, że na podwórko wjechały auta. Od razu pomyślałam, że coś jest nie tak, bo przecież w mieście nie ma innych aut niż te szkopów. Wyjrzałam przez okienko i zobaczyłam, że na podwórku roi się od wojska, a cieć prowadzi ich do wejścia do naszej famułki!

– To śmierdzący zdrójca – wyszeptała Laura.

– Wróciłam do piwnicy i przeszłam do sąsiadów. Wyjście z ich piwnicy jest tuż przy bramie. Odczekałam, aż żołnierze odwrócili się do niego tyłem i uciekłam. Ale wiedziałam, że muszę zaczekać na panienkę.

– Trzeba się dowiedzieć, co się stało.

– Najpierw zaczekamy, aż się szkopy wyniosą z naszego podwórka – oświadczyła Maria głosem niepozostawiającym żadnych wątpliwości.

Mrok zalewał ulice, dlatego niebezpiecznie było pozostawać na zewnątrz. Weszły w sąsiednią bramę. Znajomy stróż wysłuchał opowieści Marii i pozwolił im zaczekać w swojej suterenie. Sam obiecał, że stanie na czatach, by sprawdzić, kiedy kobiety będą mogły bezpiecznie wrócić do siebie. Żona stróża poczęstowała je gorącą herbatą. Próbowana też je przekonać, że na pewno nic złego się nie wydarzyło. Jej głos zamarł, gdy usłyszały huk wystrzelonych pocisków.

Laura upuściła trzymany w rękach kubek i skamieniała. Maria posprzątała skorupy z glinianego kubka, a potem objęła dziewczynę. Znowu drżała, mocno zaciskając dłonie w pięści. Po chwili do małego mieszkania wszedł stróż i skinął głową. Nie potrzebowały słów. Jak na komendę wybiegły na podwórko i pognęły do domu.

Przed wejściem do kamienicy było pusto. Maria ostrożnie otworzyła drzwi prowadzące na klatkę schodową i po ciemku zaczęły wspinać się na trzecie piętro. Kamienica zdawała się pusta. Nie słychać było żadnych odgłosów.

Drzwi do mieszkania Kozłowskich pozostały lekko uchylone. Laura pchnęła je. Powoli weszła do środka i niemal natychmiast potknęła się o porzucane buty. Ostrożnie przeszła do kuchni. Wymacała lampę naftową i zapaliła ją. Widok leżących na podłodze potłuczonych naczyń sprawił Marię w rozpacz. Kobieta przyklekła i z namaszczeniem zaczęła je podnosić.

– O Jezusie, co oni zrobili? – biadoliła.

Laura wzięła lampę i ruszyła w stronę salonu. Podwójne, przeszklone drzwi były zamknięte. Z wolna nacisnęła klamkę. Zrobiła krok i zamarła. Miała wrażenie, że brakuje jej powietrza. Złapała się futryny i usiłowała utrzymać równowagę. Chciała krzyknąć, wzywać pomocy, ale słowa uwięzły jej w gardle. Osunęła się na podłogę, wciąż nie odrywając wzroku od ciał rodziców. Ich otwarte oczy zionęły pustką. Krew częściowo wsiąkała w kolorowy dywan. Czują

jej zapach. Spróbowała wstać, ale nie udało jej się. Wyczołgała się do kuchni. Dopadła do miski i zwymiotowała. Maria przytrzymała jej włosy.

– Oni... Oni... – urwała, nie wiedząc, jakich słów użyć.

– Wiem, kochana. – Maria pogłaskała ją po plecach.

– Dlaczego? – Laura nie panowała nad płynącymi po policzkach łzami. – Dlaczego ich zabili? – Ćkała. – Co im zawinili? No co?

Maria jeszcze mocniej ją objęła. Stały tak, nie wiedząc, co począć dalej. Teraz już obie szlochaly. Zawieszony na ścianie zegar głośnie tykał, jednak żadna z nich nie drgnęła. W domu było zimno, ale one nie czuły niczego oprócz bólu po stracie najbliższych.

Pierwsza poruszyła się Laura, jakby o czymś sobie przypomniała.

– Gdzie Dawid? – spytała. – Nie widziałam go. Muszę go poszukać.

– Sprawdzę – zaferowała Maria i podprowadziła dziewczynę do krzesła. – Odpocznij.

Laura nie mogła usiedzieć na miejscu. Chciała jak najszybciej dowiedzieć się, gdzie jest jej mąż, jednak strach przed tym, że może go zobaczyć martwego, paraliżował ją.

– Nie ma go – głos Marii był zdecydowany. – Może uciekł?

– Myślisz, że miałby jakąś szansę?

– Mnie się udało.

– Ale ty nie byłeś w mieszkaniu.

– Bądźmy dobrej myśli.

– Dobrej myśli... – powtórzyła, nie kryjąc zwątpienia. – Tylko jak? Jak można mieć nadzieję?

– Połóż się, kochaniutka, a ja się wszystkim zajmę – zarządziła Maria i zaprowadziła dziewczynę do jej pokoju. Zaczekała, aż ta się położy do łóżka. Dopiero wtedy poszła do sąsiadów i poprosiła o pomoc.

Na szczęście Szcześniak od dawna mieszkał w kamienicy i doskonale znał Kozłowskich. Kiedy przyjechali Niemcy, drżał o swoją rodzinę i choć wstydził się tego, odetchnął, gdy żołnierze minęli jego mieszkanie i pobiegli piętro wyżej. Późniejsze strzały nie pozostawiły mu żadnych wątpliwości, co się stało z sąsiadami. Teraz chciał spłacić dług, a może po prostu musiał się pozbyć wyrzutów sumienia. Bez względu na powody, zgodził się pójść do grabarza i poprosić księdza o modlitwę za zmarłych.

Tymczasem Szcześniakowa wraz z Marią przyszła do mieszkania Kozłowskich. Najpierw rozebrały i obmyły z krwi ciało Anny. Kula, która przeszła jej pierś, nie przeszła na wylot. Maria przeszukała szafę i znalazła ulubioną letnią sukienkę pracodawczyni. Z Leopoldem nie poszło tak łatwo. Ciało mężczyzny było ciężkie i zaczynało sztywnieć. Kilka razy próbowały zdjąć z niego koszulę zachlapaną krwią wydobywającą się z rany tuż nad brwiami, jednak nie zdołały. Wreszcie się poddały.

Później pojawił się Szcześniak z dwoma mężczyznami i wnieśli dwie zbite z desek skrzynie mające posłużyć za trumny. Dopiero koło północy Maria skończyła sprzątać i ukłękła przy ciałach ludzi, którzy dali jej schronienie. Kiedy niespodziewanie umarł jej mąż, nie wiedziała, co ma ze sobą począć. Kochała go najbardziej na świecie. Ojciec nie pozwolił jej wyjść za niego za mąż, ale ona uciekła z domu. Nie chciała cierpieć tak jak jej matka, która nie zaznała szczęścia i miłości małżeńskiej. Po śmierci ukochanego Maria nie odważyła się wrócić do domu rodzinnego. Błagała się po mieście i gdyby nie Leopold, pewnie zginęłaby pod kołami pociągu. To on podczas spaceru wzdłuż torów dostrzegł ją, gdy krążyła, szykując się do popełnienia samobójstwa. Nie wahał się rzucić w jej stronę, gdy dostrzegł nadjeżdżający pociąg. Tak, uratował jej życie, a teraz ona spłaci swój dług. Modliła się do rana. Na chwilę zdrzemnęła się, wciąż trzymając w dłoniach różaniec. Podobny założyła na ręce Anny. Leopoldowi po prostu spłotał palce i włożyła w nie obrazek, który otrzymał na chrzcie świętym. Zapaliła też niewielką świecę i szczerlnie zasłoniła okna, by jej blask był niewidoczny z zewnątrz.

Ocknęła się dopiero, gdy o świcie do salonu weszła Laura. Jej koszula była zaplamiona krwią, która sączyła się po nogach dziewczynki, pozostawiając ślady na podłodze.

– Laurka, co tobie? – Maria poderwała na równe nogi. – Czy to? Czy ty?

– Dziecko... – szepnęła. – Dawid tak bardzo się cieszył... – dodała, trzymając się za brzuch.

ROZDZIAŁ IV PO DRUGIEJ STRONIE

W połowie kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku nikt już nie miał wątpliwości co do tego, że Polska została porzucona przez sojuszników, a Niemcy ów fakt bezwzględnie wykorzystywali. W każdym większym mieście budowali getta i zamykali w nich ludność żydowską, którą najpierw pozbawiali majątku i dachu nad głową. Odcięci od reszty miasta Żydzi dusili się w ciasnocie i umierali na szerzące się choroby. Łódź nie była jedynym takim miastem, o czym Laura doskonale wiedziała. Tyle że ona właśnie robiła wszystko, by znaleźć się w miejscu, z którego wszyscy chcieli się wydostać.

Już drugi raz podeszła pod wejście do getta. Pierwszym razem nawet nie zdołała powiedzieć, po co przyszła, bo wartownicy odegnali ją, myśląc, że zamierzała coś przeszmygłować. Śmiała się, widząc, jak ucieka.

Za drugim razem zagrozili, że jeśli nie odejdzie, zastrzelą ją. Nie mogła się tak łatwo poddać. Była gotowa umrzeć, ale wyłącznie przy boku Dawida.

Do domu wracała, powłócząc nogami. Minęła plac Wolności, nie spojrzawszy na ziejące pustką miejsce po pomniku Kościuszki. Znowu przed oczyma miała Dawida opowiadającego o tym, jak został złapany przez Niemców i wraz z innymi Żydami musiał przez wiele godzin uderzać ciężkim młotem, by rozbić pomnik narodowego bohatera. Czuł się, jakby zabijał kogoś, kto oddał życie za rodaków.

Pomknęła Piotrkowską, a później skręciła w boczną ulicę i dotarła do alei Kościuszki. Bez słowa wyminęła stróża i weszła do mieszkania. Maria wyjrzała z kuchni. Dopiero teraz Laura dostrzegła, że kobieta jest bardzo zmęczona i wygląda znacznie starszej. Jej twarz była wychudzona, a włosy siwe, choć nie skończyła jeszcze pięćdziesięciu lat. Laura też straciła na wadze, miała podkrążone oczy, jakby w ogóle nie sypiała. I rzeczywiście tak było. Gdy tylko kładła się do łóżka i próbowała zasnąć, natychmiast pojawiał się dręczący ją obraz zamordowanych rodziców. Pośród nich leżał zakrwawiony noworodek, który głośnym krzykiem zwracał na siebie uwagę. Oni jednak nie reagowali, tępym wzrokiem patrząc ponad jego głowę. Laura próbowała zbliżyć się do dziecka, ale miała spętane ręce i nogi. Nie mogła się poruszyć. Za każdym razem budziła się z krzykiem. Maria później długo siedziała obok niej i głaskała jej dłoń, bo choć sama nigdy nie była matką, wyobrażała sobie, co może czuła kobieta, która straciła dziecko.

– Dobrze, że już jesteś, kochana – ucieszyła się Maria, wycierając mokre dłonie o fartuch. – Ugotowałam zalewajkę⁸. Dopiero co zdjęłam z ognia.

Laura niechętnie usiadła w kuchni i zaczęła, aż gosposia naleje jej zupy na talerz.

– Sznytkę² chcesz?

Laura pokręciła głową. Jadła, nie czując smaku. Nie chciała jednak sprawiać Marii przykrości. Czuła, że gdyby nie opieka kobiety, już dawno by oszalała albo umarła z głodu i wycieńczenia. Po śmierci rodziców Maria się nią zaopiekowała. Poszła też do pracy, żeby zarobić na ich utrzymanie. I choć musiała sprzątać u niemieckiej rodziny, to nie narzekała, bo dzięki temu miały co włożyć do garnka. Tylko Laura nie potrafiła wrócić do dawnego życia. Wciąż bardzo tęskniła za rodzicami, a strach o życie Dawida ją paraliżował. Chęć odnalezienia go graniczyła z obsesją.

– Jedz, kochana, żebyś nabrała sił – zachęcała Maria.

– Nie jestem głodna – powtarzała Laura.

– Laurko – zwróciła się do niej tak, jak zwykł nazywać ją świętej pamięci Leopold – wiesz, że Dawid żyje i to jest najważniejsze. Kiedyś ta piekielna wojna musi się wreszcie skończyć i wtedy do siebie wrócicie.

Laura nawet nie podniosła wzroku znad talerza, w którym wciąż mieszała łyżką kilka starych ziemniaków.

– Muszę się do niego dostać – oświadczyła. – Nie wytrzymam dłużej w tym domu. Wszystko tu przypomina mi rodziców. Widzę ich siedzących przy tym stole, chodzących po korytarzu. Każdego wieczoru słyszę ich rozmowy w salonie. Oszaleję, jeśli dłużej tu zostanę.

Maria westchnęła głośno. Znała to uczucie.

– Laurko, zrobię wszystko, żeby ci pomóc – obiecała. – Popytam wśród ludzi zatrudnionych przez Fischerów. Może ktoś nam pomoże. – Objęła dziewczynę i pocałowała ją w czoło.

Następnego dnia Maria przyniosła zaskakującą nowinę. Okazało się, że Łódź właśnie zmieniała nazwę na Litzmannstadt¹⁰. Nadzieja na odzyskanie niepodległości gasła z każdym dniem. Wśród złych wiadomości była też jedna, którą obydwie uznały za dobrą. Kucharz pracujący z Marią u Fischerów zdążył poznać wielu liczących się w mieście Niemców. Wśród nich był też zwierzchnik wartowników przy bramie wjazdowej do getta. Kucharz obiecał pomoc.

* * *

Laura siedziała jak na szpilkach, każdego dnia czekając na powrót Marii i nowe informacje. Dopiero pod koniec kwietnia doczekała się tej upragnionej. Długo stała, ściskając kobietę na pożegnanie.

– Laurko, będę na ciebie czekała – odezwała się Maria.

– Mam nadzieję, że po wojnie zastanę cię tutaj całą i zdrową – odparła dziewczyna i schyliła się po niewielką walizkę wypchaną najpotrzebniejszymi rzeczami, wśród których na pierwszym miejscu znalazła się dobrze ukryta pod podwójnym dnem biżuteria Anny.

Maria odprowadziła ją aż do placu Wolności. Tam jeszcze raz mocno się uściskały. Dalej Laura wolała pójść sama. Zapamiętała wszystkie wskazówki przekazane gosposi przez kucharza.

Podeszła do stróżówki. Dwóch młodych Niemców przerwało grę w karty i wyszło na zewnątrz.

– Czego? – zapytał wyższy po niemiecku.

– Nazywam się Laura Lewiatan – przedstawiła się w języku, którego uczyła się w szkole, nie mając świadomości, w jakich okoliczności będzie musiała go użyć. – Jestem Żydówką i chcę odnaleźć męża.

– Papiery – rozkazał drugi z Niemców.

– Zgubiłam – skłamała, ale na potwierdzenie swego pochodzenia zdjęła chustkę z głowy i pokazała czarne jak heban włosy. – Mówię prawdę.

– Dlaczego wcześniej nie przyszedłaś razem z mężem? – dociekał wyższy policjant.

– Byłam na wsi u chorej kuzynki, która zmarła. Teraz wróciłam i chcę wypełnić swój obowiązek, bo jestem prawowitą mieszkanką Litzmannstadt i wiem, że tutaj jest moje miejsce.

– To jesteś jedyną Żydówką, która tak mocno przestrzega prawa – odezwał się niższy, a w jego głosie wyczuła drwinę.

– A mówili, że Żydzi to nie ludzie – zauważył drugi. – Tymczasem zdarza im się myśleć, a nawet rozumieć polecenia – dodał i obydwaj wybuchli śmiechem.

Stała w osłupieniu. Mocno zagryzła zęby i czekała.

– Mężus będzie z ciebie dumny – wtrącił drugi, gdy nieco ochłonęli. – Leć do niego. Zabawcie się.

– A może najpierw my się zabawimy? – odezwał się wyższy z policjantów i zaczął krążyć wokół niej.

Odruchowo upuściła walizkę, kiedy karabinem podciągał jej zakrywającą kolana sukienkę. Czuła chłód metalu przesuwającego się po udzie. Zamarła, bojąc się drgnąć. Mężczyźni śmiali się coraz głośniejsze.

– Te Żydóweczki mają nawet zgrabne nóżki, a straszyle, że pod sukienką chowają potwora – grzmiał. – Oswoimy potwora? – zwrócił się do kompana.

– Armia niemiecka niczego się nie boi – drugi zasalutował, po czym pociągnął Laurę w stronę stróżówki.

Oparła się, ale złapał ją wpół i wniósł po schodach. Tam rzucił na wąską kozetkę, po czym długo na nią patrzył. Laura spuściła wzrok i obciągnęła sukienkę. Czekala na to, co nieuniknione. Wreszcie zamknęła oczy i w myślach przeniosła się do kościoła, w którym wzięła ślub. Pamiętała słowa przysięgi. Ale nie tylko dlatego tutaj była. Potrzebowała Dawida jak tlenu. Chciała oddychać.

Niespodziewane uderzenie w policzek wyrwało ją z zamyślenia. Otworzyła oczy.

– Myślałaś, że pójde z taką śmierdzącą Żydówką? – zaśmiał się mężczyzna, szczerząc zęby w szyderczym grymasie. – Nie chciałbym cię tknąć nawet palcem. Wynocha, suko! – krzyknął i pokazał jej drzwi.

Laura poderwała się z kozetki i wybiegła na zewnątrz. Chwyciła walizkę i pognała do bramy. Po chwili znalazła się po drugiej stronie przejścia. Pierwsze, co dostrzegła, to druty kolczaste rozciągnięte wzdłuż drewnianego ogrodzenia. Szła dalej, zastanawiając się, gdzie powinna zacząć poszukiwania. Pamiętała krążące po mieście plotki, jakoby w getcie znajdowało się blisko sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Nikt w to jednak do końca nie wierzył. Bo niby jakim cudem na obszarze niewiele ponad czterech kilometrów kwadratowych można byłoby zmieścić taką masę ludzi.

Przypomniała sobie, że Dawid wspominał o Wydziale Kwaterunkowym. Musiała tylko odnaleźć ulicę Lutomierską. Spytała jednego z przechodniów, dokąd powinna pójść. Starszy mężczyzna z długimi pejsami wystającymi spod czarnego kapelusza wskazał jej kierunek i szybko się oddalił.

Laura dostrzegła idących w jej kierunku dwóch mężczyzn w czapkach z żółtym otokiem. Na rękawach mieli założone białe-żółte opaski z granatową gwiazdą i naniesionymi na nią dystyngcjami¹¹. Nie miała pojęcia, co to oznacza, ale widząc przymocowane do paska pałki, wolała zejść tym ludziom z drogi. Skręciła w boczną ulicę. Tu było znacznie mniej przechodniów. Bez trudu odnalazła urząd i ustawiła się w długiej kolejce. Po dwóch godzinach weszła do środka i otrzymała adres Lewiatanów, dopisując się na długą listę osób zamieszkujących pod tym samym adresem, co rodzina Dawida.

Wreszcie dotarła na ulicę Brzezińską. Bez trudu odnalazła dwupiętrową kamienicę. Na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniała. We wszystkich oknach wisały franki. W nielicznych widać było zaciągnięte zasłony. Na parapetach stały donice z kwiatami, choć niektóre już zdążyły uschnąć. Widocznie mieszkańcy nie znaleźli w sobie determinacji, by je pielęgnować.

Laura podeszła do dużych drewnianych drzwi wejściowych i pchnęła je. Na schodach panował mrok. Powoli wspinała się w górę, szukając właściwego numeru. W końcu zapukała do drzwi. Po chwili usłyszała kroki.

– Kto tam? – spytał męski głos, którego nie rozpoznała.

– Laura Koz... Lewiatan – poprawiła się.

– Kto?

– Żona Dawida Lewiatana. Podobno tutaj mieszka?

Zgrzyt otwieranego zamka utwierdził ją w przekonaniu, że trafiła pod właściwy adres.

Drobny mężczyzna w ciemnej koszuli i spodniach podtrzymywanych przez szelki uchylił drzwi i wpuścił ją do środka.

– Zgubiłaś się, dziecko? – spytał zmęczonym głosem.

– Raczej się odnalazłam – wyjaśniała, a jej usta po raz pierwszy od śmierci rodziców delikatnie się uśmiechnęły.

– Drugie drzwi po prawej stronie. – Wskazał korytarz, wzdłuż którego po jednej stronie było dwoje drzwi, a po drugiej dostrzegła otwarte wejście do kuchni.

Laura przeszła we wskazanym kierunku i zapukała. Odruchowo poprawiła włosy, które zdążyły się poplątać. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. W końcu drzwi się otworzyły.

– Laura? To ty? – Dawid kręcił głową z niedowierzaniem. – Co tu robisz? Jak tu trafiłaś? – dopytywał, ale jego radość z każdym pytaniem malała. – Dlaczego tu przyszłaś? Narażałaś siebie i ... – Spojrzył na jej brzuch, ale nic więcej nie powiedział.

Dziewczyna, zamiast odpowiedzieć, wtuliła się w ukochane ramiona. Świat stanął w miejscu. Liczyli się tylko oni. Czuła jego mocno bijące serce. Przypomniała sobie jego zapach. Odetchnęła z ulgą.

– Laura, kochanie. – Podniósł jej brodę, spojrzeli sobie w oczy. – Dlaczego ryzykowałeś i tutaj przyszedłeś?

Nie mogła uwierzyć, że zadał jej to pytanie. Przecież w jej sytuacji zrobiłby dokładnie to samo. Nie potrafiła żyć bez niego, ale ściśnięte gardło nie pozwalało jej tego wszystkiego powiedzieć. Jeszcze mocniej przywarła do jego piersi, usiłując zapanować nad ciszącymi się do oczu łzami. Wreszcie odzyskała rodzinę.

– Lauretta, Lauretta przyszła! – krzyknął Józef, brat Dawida, i stanął przy niej.

Dziewczyna oderwała się od ukochanego i ukradkiem otarła łzy.

– Przyszedłeś zobaczyć, gdzie mieszkamy? Przyniosłeś coś dobrego do jedzenia? – dopytywał niewysoki chłopiec.

– Głupek – wtrącił Eliasz, bliźniak Józefa. – Tu nie ma odwiedzin jak w więzieniu.

Dawid spojrzał na braci, choć wyglądali niemal identycznie, to ich temperamenty pozostawały skrajnie odmienne. Eliasz dostrzegł coś, czego nawet on wcześniej sobie nie uświadomił. Niemcy twierdzili, że getto to nie więzienie, tylko strefa izolacji, tymczasem nikt z zewnątrz nie miał prawa wejść do środka.

– Chłopcy, dajcie spokój – odezwała się Abigail Lewiatan i podeszła do synowej. – Dziecko, czy ty oszalałeś? Wszedłeś w paszczę lwa.

– Wolę być w tej paszczycy z wami, niż patrzeć przez druty i udawać, że żyję – odparła, witając się z kobietą.

Choć twarz Abigail rozjaśnił uśmiech, to Laura dostrzegła liczne zmarszczki wokół jej oczu. Zauważyła, że kobieta znacznie schudła, a jej włosy nie były już tak błyszczące jak dawniej.

– Lauretta zostaje z nami? – spytał Józef, zacierając dłonie z radości. Zdażył już ją polubić. Na braci nie miał co liczyć. Byli nudni i nie znali się na żartach. Wiecznie go krytykowali i uważali za dzieciaka, który niczego nie rozumie. Nieustannie próbował udowodnić, że się mylili. Może chociaż Laura zdoła go zrozumieć.

– Chciałabym – odparła, przenosząc błagalny wzrok z teściowej na męża.

– Jak zdołałaś tutaj dotrzeć? – spytała starsza kobieta.

Laura opowiedziała o kolejnych próbach przekroczenia bramy, choć pominęła epizod w strażnicy. Nie chciała, żeby ktokolwiek, nawet Dawid, się o tym dowiedział.

Kiedy zasiedli w kuchni do nader skromnej kolacji, Dawid wciąż pozostawał nieprzejednany. Intuicyjnie wyczuwała jego gniew, ale miała nadzieję, że prędzej czy później zrozumie jej decyzję. Niemal wylizała talerz po zupie z brukwi i ziemniaków. Od miesiąca nie jadła nic równie pysznego. Czuła na sobie badawczy wzrok męża. Znała powód, ale nie miała pojęcia, jak przekazać mu złe nowiny. Wolała odwleć tę rozmowę.

Gdy zjedli kolację, Abigail posprzątała talerze. Laura właśnie zmywała naczynia, gdy do niewielkiej kuchni wszedł niski mężczyzna, który wpuścił ją do mieszkania. Za nim przydreptała również drobna starsza kobieta oraz czworo dzieci. Laura przedstawiała się, a potem poznała wszystkich członków rodziny. Najstarsza wnuczka Baskinów, Sara, właśnie skończyła czternaście lat, jej o dwa lata młodsza siostra nosiła po matce imię Tamara. Ale to najmłodsza, dziesięcioletnia Zuzanna, urodę odziedziczyła po matce. Tylko o dwa lata młodszy Samuel milczał, obserwując zamieszanie w kuchni, która musiała pomieścić jedenaście osób. Rodzina Lewiatanów ustąpiła miejsca Baskinom. Teraz to oni mieli prawo spędzać w niej czas. Laura szybko zorientowała się w ustaleniach dwóch wspólnie zakwaterowanych rodzin. W kuchni nie było miejsca dla tyłu osób.

Bliźniacy wraz z Abigail wrócili do pokoju. Dawid wykorzystał moment i zatrzymał żonę na korytarzu. Odwróciła się, patrząc w jego ciemne oczy, które pokochała od ich pierwszego spotkania. Dostrzegła, że mąż schudł.

– To szaleństwo – szepnął.

– Błagam, nie mów tak. Ciesz się razem ze mną. Nareszcie cię odzyskałam.

– Mam się cieszyć z tego, że moje dziecko przyjdzie na świat w tym piekle? – Potrząsnął nią. Widziała jego zacziśnięte usta i nieustępliwe spojrzenie. Nie była w stanie zapanować nad

drzeniem dolnej wargi. Wylała już tyle łez, oplakując swoje nienarodzone dziecko, ale dopiero teraz poczuła, że musi podzielić się tym bólem z kimś innym. Nie mogła dłużej dźwigać tego ciężaru.

– Prze... przepraszam – wyjąkała. – Nie dałam rady... Nie umiałam zadbać o... o nasze dziecko.

Dawid zbliżył się do niej jakby nie mógł zrozumieć jej słów.

– Co się stało? Co? O czym ty mówisz?

– Nie ma go – wyjaśniła ledwie słyszalnym głosem i oparła głowę o jego tors. Tak bardzo pragnęła, by ją przytulił i pocałował. – Od miesiąca czułam się jak w matni. Wstawałam, ubierałam się, jadłam przygotowany przez Marię posiłek, ale nie miałam siły, by cokolwiek robić. Jedyne, co mnie trzymało przy życiu, to świadomość, że muszę cię odzyskać.

Kiedy zamilkła, poczuła jego duże dłonie tulące jej drobne ciało. Z całej siły przywarła do niego i zaczęła szlochać, uświadamiając sobie, że musiały stracić dziecko, żeby odzyskać ukochanego.

Stali tak zatopieni w uścisku do chwili, gdy na korytarzu pojawili się Baskinowie. Laura drgnęła i niechętnie odsunęła się od męża. Dawid otarł resztki łez znaczących ślady na jej policzkach i pociągnął ją do pokoju.

Dopiero teraz Laura mogła dokładnie obejrzeć pomieszczenie, w którym upchnięto cztery osoby i ich dobytek. Wąskie łóżko z wysokimi zagłówkami stało w rogu nieopodal okna. Dawid wyciągnął spod łóżka siennik i ułożył go pod drugą ścianą, pozostało jedynie wąskie przejście. Na ścianie przy wejściu stała trzydrzwiowa szafa. Pod nią wsunięto dużą walizkę, druga leżała na szafie. Na drewnianej podłodze pozostał ślad po dywanie.

Laura zastanawiała się, gdzie spiąją chłopcy. Wchodząc do mieszkania, nie widziała innego pomieszczenia. W tym zaś nie było drugiego łóżka ani miejsca na kolejny siennik.

– Będiesz spała ze mną – wyjaśniła Abigail. – Chyba wygodniej będzie ci położyć się w nogach. – Pokazała miejsce i oddała jej swoją poduszkę. Dla siebie naszykowała równo złożony sweter.

Laura bez słowa otworzyła swoją walizkę, by wyjąć z niej jedyną koszulę nocną. Dawid i jego bracia ułożyli się już na posłaniu, bliźniacy mieli głowy przy nogach starszego brata. Laura spróbowała uśmiechnąć się do męża, choć rozumiała, co w tej chwili czuł. Ona zdążyła się już oswoić ze stratą swojej kruszynki, choć nie potrafiła się z nią pogodzić.

Starsza kobieta zgasiła świecę i zdjęła sukienkę, spała w halce. Laura w ciemności włożyła koszulę i wślizgnęła się do łóżka. Dotyk ciepłych stóp teściowej sprawił jej przyjemność. Wreszcie nie była sama.

* * *

– Laurretta, opowiesz jeszcze raz o tym lisie? – spytał Józef, siadając przy Laurze, która od kilku minut z pamięci recytowała kolejne bajki Krasickiego i Mickiewicza.

– Ty to lepiej posłuchaj o tym głupim koźle, żebyś nie skończył tak jak on. – Śmiał się Elias, wyskubując i zjadając nać z rosnącej w doniczce pietruszki, którą jego matka ocaliła przed ugotowaniem i zasadziła.

– Sam jesteś głupi i na niczym się nie znasz – odciął się Józef.

– Za to ty znasz się na ludziach i to pewnie dlatego spiknąłeś się z tym Salomonem.

– To mój przyjaciel.

– Trzymaj się od niego z daleka, bo skończysz z obitym tyłkiem. To oszust, który naciąga starców. Chcesz być taki jak on?

– Salomon nie robi niczego złego. Pomaga tym ludziom, żeby nie stali w kolejkach do sklepu.

– Tak pomaga, że oddaje im połowę z wydanej w sklepie reszty? – zaśmiał się.

– Każda usługa kosztuje. – Józef wzruszył ramionami.

– Nazywasz to usługą? Dla mnie to oszustwo.

Laura przysłuchiwała się kolejnej kłótni braci. Abigail rano wyszła, żeby zdobyć coś do jedzenia. Dawid najął się do pracy u fryzjera, pomagał sprzątać salon. Laura też nie chciała być

bezużyteczna, dlatego zaoferowała pomoc w opiece nad chłopcami, którzy większość czasu spędzali na kłótniach i przepychankach. Po miesiącu pobytu z Lewiatanami wiedziała, że wolałaby pracować z setką dzieci w szkole, niż zajmować się tą dwójką zawadiaków. Dawid jednak nie chciał dopuścić do tego, by codziennie wychodziła z domu. Odkąd całkowicie zamknięto getto, na ulicach wcale nie było bezpiecznie. Frustracja rosła, gdy dowiedziano się, że policjanci niemieccy mieli rozkaz strzelać do każdego, kto chciał bez pozwolenia opuścić getto. Szupo¹² przeżyła mięśnie, plując Żydom w twarz.

– Józefie, chęć pomocy innym powinna wypływać z głębi serca, nie z chęci zysku – zwróciła się do chłopca, który patrzył na nią swymi ciemnymi oczyma z tłącymi się w nich iskierkami.

Później chwyciła jego dłonie i długo patrzyła mu w oczy. Chłopiec najpierw spuścił wzrok, a potem odezwał się:

– Mamusia już nie ma siły codziennie szukać dla nas jedzenia. Muszę jej pomóc. Dopóki tatuś nie wróci, to my musimy się nią opiekować – wyznał z całą powagą.

Laura objęła go, nie wiedząc, co powinna odpowiedzieć.

– Wszyscy musimy jej pomóc, dlatego każde z nas powinno pamiętać o tym, żeby nie przysparzać jej kłopotów. Możecie mi to obiecać?

Chłopcy kiwnęli głowami, później usiedli na sienniku i słuchali kolejnych bajek. Laura cierpliwie odpowiadała na zadawane jej pytania o bohaterów opowieści. Znowu czuła się jak ryba w wodzie.

Po południu poszła do kuchni, by przygotować obiad z resztek pomarszczonych ziemniaków, przerosniętej cebuli i odrobiny słoniny, którą poprzedniego dnia Abigail niemal cudem zdobyła od jednego z polskich chłopów, szmuglujących żywność. Apetyczny zapach smażącej się cebuli, którą chciała okrasić ziemniaki, zwabił Sarę.

– Podobno otwierają kolejne szkoły – powiedziała i usadowiła się przy stole. – Mam już dość siedzenia w domu i udawania, że są wakacje. Może my też w końcu pójdziemy na lekcje.

– Tak byłoby najlepiej, ale na razie możecie przychodzić do mnie i słuchać, gdy uczę chłopców – zaproponowała, i wstała, żeby odcedzić ziemniaki.

To był znak dla Sary, że powinna wyjść. Dziadek jeszcze nie wrócił z jedzeniem. Nie mieli wyjścia, musieli czekać, a pusty brzuch domagał się obiadu. Ostatni raz wciągnęła zapach jedzenia, po czym wstała.

– Jeśli masz ochotę, zostań – zaproponowała Laura, skrupulatnie wyliczając, po ile ziemniaków przypadnie dla Lewiatanów.

Czternastolatka pokręciła głową i wyszła z kuchni. Laura wiedziała, że w tym domu panowała taka niepisana zasada. Każdy musiał zatroszczyć się o swoją rodzinę.

Właśnie nakładała ziemniaki, gdy w kuchni pojawił się Dawid.

– Ten zapach czułem już dwie ulice dalej – zaśmiał się i korzystając z tego, że są sami, pocałował żonę namiętnie.

Od jej przybycia tylko raz mieli możliwość zostać sam na sam. Był wdzięczny matce za to, że w jedną z niedziel zabrała chłopców na długi spacer. To wtedy kochali się po raz pierwszy od kiedy Laura straciła dziecko. Czuła, że na początku był bardzo ostrożny, jakby się obawiał, że może zrobić jej krzywdę. W końcu jednak pożądanie zawładnęło ich ciałami spletanymi w miłosnym uniesieniu. Świat wirował wokół nich, jakby to oni stanowili jego centrum. Rozumieli się bez słów. Stali się jednością. Kiedy zmęczeni opadli na siennik, Laura uśmiechnęła się spełniona.

Teraz też poczuła szybsze bicie serca. Wiedziała jednak, że w pokoju są chłopcy. Nie było szans na swobodę. Przez chwilę jeszcze całowała męża. W końcu odsunęła się, by nałożyć skromny obiad na talerze ludzi, którzy kiedyś mieszkali tu przed nimi. Często zastanawiała się, co się z nimi stało. Musieli opuścić mieszkanie w pośpiechu, bo zostawiali całą zastawę stołową, pościel i meble, które teraz służyły żydowskiemu rodzinom.

Dawid zawołał chłopców. W tej samej chwili do mieszkania weszła Abigail, dźwigając dwie siatki.

– Udało się! – triumfowała, stawiając zdobycze na starym kredensie z przeszkłonymi drzwiczkami zdobionymi malowidłami. – Zdobyłam trochę kaszy i mąki. Długo się targowałam

chłopina, ale kiedy zobaczył naszyjnik z bursztynami, który dostałam od waszego ojca na pierwszą rocznicę ślubu, w końcu zmienił zdanie.

Na wspomnienie ojca synowie posmutnieli, tymczasem matka schowała zdobycze do wydzielonej dla niej części kredensu i usiadła przy stole. Chłopcy opowiadali, co dzisiaj robili. Dawid wspomniał o niesfornym kliencie, który nie mógł usiedzieć w miejscu. Szybko wyszło na jaw, dlaczego się tak kręcił. Później pół dnia sprząтали salon i nawzajem sprawdzali swoje głowy, by się upewnić, że nie mają wszy.

Laura słuchała tych opowieści, ale myślami była gdzie indziej. Musiała spróbować. Nie wytrzyma dłużej bezczynnie. Dawid musi jej zaufać. Nie może trzymać jej pod kloszem, nawet jeśli się o nią boi. Zastanawiała się, co gorszego od wysiedlenia do getta mogłoby się jej przydarzyć. To była jedyna okazja i nie zamierzała z niej zrezygnować.

Drugiego dnia rano odczekała, aż Dawid wyjdzie do pracy, a Abigail pójdzie do niedawno odnalezionego koleżanki, która straciła całą rodzinę w ulicznej strzelaninie i nie potrafiła sobie z tym poradzić. Nie wychodziła z mieszkania, prawie nie jadła. Przypadkowe spotkanie z Abigail dało jej szansę na przeżycie w chwili, gdy chciała ze sobą skończyć.

Laura przed wyjściem poprosiła chłopców, żeby zostali w pokoju i obiecała, że wróci tak szybko, jak będzie mogła.

W drodze powrotnej bardzo się spieszyła, miała nadzieję, że jej nieobecność nie zostanie zauważona przez teściową. Właśnie skręcała na ulicę Brzezińską, gdy dotarł do niej krzyk. Momentalnie odwróciła się i zamarła. Kilkadziesiąt metrów od niej stało kilkoro dzieci. Wszystkie trzymały ręce w górze, podczas gdy kilku mocno podchmielonych policjantów drwiło z nich, na przemian kopiąc ich i poszturchując. Mundury Niemców budziły respekt nawet wśród dorosłych.

– Śmierdzące Żydki.

Dzieci cofały się, próbując uniknąć kolejnych ciosów. Laura stała jak wryta. Z daleka nie mogła rozpoznać twarzy chłopców. Wszyscy mieli ciemne spodnie i koszule. Rano Elias i Józef włożyli podobne ubrania. Przywarła do ściany pobliskiej kamienicy i wbrew zdrowemu rozsądkowi zrobiła kilka kroków w stronę zgromadzonych. Wciąż jednak nie była w stanie nikogo rozpoznać. Jeden z chłopców płakał, drugi leżał na bruku i usiłował się podnieść.

– Czyścić buty! – rozkazał jeden z policjantów.

Najmniejszy chłopiec posłusznie zdjął koszulę i zaczął polerować czubki wysokich butów Niemca. Jego koledzy postąpili podobnie.

Niespodziewane kopnięcie w brzuch odrzuciło dziecko.

– Nie pchaj się tak blisko, bo obleżą mnie wszy! Nawet one brzydzą się wami. – Nachylił się nad przerażonym dzieckiem. – Wstawaj, darmozjadzie. Myślisz, że naród niemiecki będzie karmić takich nierobów? Bierz się do roboty! – nakazał i podsunął buty pod nos usiłującego wstać dziecka.

Laura znowu zrobiła kilka kroków, ale w tej samej chwili rozległy się wystrzały z pistoletów Kripo¹³. Dzieci kolejno upadały na bruk. Mężczyźni wsiedli do czarnego auta i odjechali.

Laura wbiła zęby w dłoń zwiniętą w pięść, by powstrzymać krzyk. Przechodnie, którzy tak jak ona z dużej odległości obserwowali poczynania policjantów, rozproszyli się. Ona wciąż stała, nie mogąc zmusić swojego ciała do ruchu.

– To nie oni – szepnęła do siebie i wciąż trzymając się ściany, powoli ruszyła w stronę kamienicy, w której mieszkała. – To na pewno nie oni.

Musiała sprawdzić, czy siedzą w domu, jak prosiła. Nie potrafiłaby patrzeć na ich ciała skąpane we krwi. Ta myśl zmusiła ją do działania. Pognała do mieszkania. Gdy weszła do środka, skrzywiła się. Zapach spalenizny wgrzyzał się w nozdrza i wyciskał z oczu łzy. Zakryła usta i nos apaszką, którą rano zawiązała na szyi, i ruszyła do kuchni. Szybko otworzyła na oścież okno i zaczęła wciągać powietrze, po czym zanurkowała w mglistą otchłń.

– Józef?! Eliasz?! Chłopcy? Chłopcy, gdzie jesteście?!

Zajrzała do pokoju i choć tutaj było mniej nadymione, to nie zastała dzieci. W pośpiechu wróciła na korytarz i zapukała do drzwi mieszkańców sąsiedniego pokoju. Odpowiedziała jej cisza. Nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły, ale w środku nikogo nie zastała. Wybiegła na

korytarza. Zakaszłała, bo gryzący dym z każdą chwilą coraz bardziej wypełniał jej płuca. Wtedy dostrzegła stojącą w wejściu teściową. Widząc jej pytające spojrzenie, poczuła ból w sercu.

– Przepraszam – wyszeptwała, osuwając się na kolana. – Błagam, wybacz mi – prosiła, nie potrafiąc spojrzeć kobiecie w oczy. – Przepraszam.

– Co się stało? – Abigail przyklekła przy Laurze. – Wstań, dziecko.

– To wszystko moja wina. Tylko moja.

– Uspokój się. Przecież nic się nie stało. Każdemu mogło się to przydarzyć – powiedziała i zajrzała do kuchni. Dym powoli się przerzedzał. Abigail minęła kłęczącą Laurę i weszła do pokoju. Otworzyła okno i odsunęła firankę. Świeże powietrze majowego popołudnia z każdą chwilą wypełniało pomieszczenie. – Zaraz się wywietrzy.

– Nie o to chodzi – usiłowała wyjaśnić Laura, wciąż unikając wzroku teściowej. – Nie dopilnowałam. To moja wina. Tylko moja.

– Każdemu się zdarza. Wiesz, ile mi zajęła nauka rozpalania ognia? Wcześniej nigdy tego nie robiłam. Nieraz zadymiałam całą kuchnię. To normalne. Dobrze, że nikogo nie ma.

– Oni... oni są... – usiłowała wyjaśnić, ale słowa więzły jej w gardle. Wreszcie się rozplakała.

Abigail z niedowierzaniem kręciła głową. Synowa może i była czytana i mądra, ale czasem zachowywała się gorzej od jej dzieci. Właśnie prowadziła ją do pokoju, gdy usłyszała gwar na schodach. Odruchowo spojrzeli na otwierające się drzwi wejściowe.

– Znalazłem tych gagatków w piwnicy – odezwał się Dawid, wpychając do środka umorusanych braci. – Twierdzą, że schowali się przed pożarem.

Laura dopadła chłopców, na przemian czochrając ich hebanowe włosy i tuląc do piersi, jakby wrócili z dalekiej podróży.

– Nigdy więcej mi tego nie róbcie – prosiła ze łzami w oczach. – Nigdy.

Dwaj ubrudzeni sadzą chłopcy pokiwali głowami i pod karzącym wzrokiem matki weszli do kuchni, by w misce obmyć twarz i ręce. Później nadzwyczaj cicho czekali na posiłek. W trakcie jedzenia też siedzieli ponurzy, od czasu do czasu spoglądając na Laurę błagalnym wzrokiem. Wiedzieli, że matka nie zrobiła im awantury tylko dlatego, że była dobrze wychowana. Ale gdy zostaną sami, na pewno dosadnie wyrazi swoje zdanie na temat ich wybryku, który mógł się zakończyć prawdziwym pożarem. Wiele razy prosiła ich, żeby nie wchodzili do kuchni. Pamiętali te słowa, ale głód był silniejszy, a wspomnienie wczorajszego obiadu potęgowało łaknienie.

– To moja wina – odezwała się Laura w czasie obiadu. – To przeze mnie chłopcy musieli sami o siebie zadbać.

Dawid podniósł wzrok na żonę.

– Daj spokój, oni bywają nieznośni. Chyba zdążyłaś już ich poznać.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie powinienam zostawiać ich bez opieki i gdyby chłopcom coś się stało, to nie darowałabym sobie tego – dodała, przenosząc wzrok z Eliasza na Józefa. Na koniec spojrzała przeproszającym wzrokiem na Abigail. – Nie chcę być darmozjadem. Wiem, jak trudno jest zdobywać pożywienie. Widzę, że czasem godzinami nie wracasz do domu, bo szukasz dla nas czegoś do zjedzenia. Mam nadzieję, że to się zmieni, gdy pójdę do pracy.

– Do pracy? – Dawid szeptem. – Rozmawialiśmy o tym, nie chcę, żebyś się narażała i wychodziła z mieszkania.

– Nie mogę ciągle żyć pod kloszem. Poza tym przydadzą się pieniądze i zaświadczenie, że pracuję. Podobno ci, którzy mają zatrudnienie, dostaną talony na żywność.

– Umiem utrzymać rodzinę. – Dawid się nie poddawał, choć w oczach matki nie dostrzegł wsparcia.

Kiedyś marzył o tym, że będzie zarabiał dostatecznie dużo, by jego żona mogła zająć się domem i wychowaniem ich dzieci. Na razie wojna odebrała mu to marzenie oraz nienarodzone dziecko. Świadomość, że zostanie ojcem, sprawiała mu ogromną radość. Choć na chwilę był w stanie zapomnieć o gehennie codziennego życia. To była iskierka, dzięki której snuł plany na przyszłość i żył obok teraźniejszości. To była nadzieja, która umarła z chwilą, gdy Laura wyznała mu prawdę o stracie dziecka. Nie potrafił płakać. Czuł tylko nienawiść do ludzi, którzy wyrócili jego życie do góry nogami i każdego dnia deptali jego godność.

– Wiem, jak bardzo obydwójce się staracie, by nie zabrakło nam jedzenia – zwróciła się do męża i teściowej. – Zrozumcie jednak, że nie mogę siedzieć beczynnie, gdy wiem, że inni potrzebują mojej pomocy. Jedyne, co potrafię, to uczyć, i wierzę, że dzięki temu naród żydowski przetrwa tę wojnę. Nauka otwiera oczy nawet głupcom. Gdy Niemcy zobaczą, jak dużo pracy wkładamy w to, by nasze dzieci mogły się rozwijać, zaczną nas godnie traktować. Musimy ich przekonać do siebie. Hitler ceni ludzi kultury i nauki. Musi uwierzyć w wasz... – zawahała się, ale natychmiast poprawiła: – W nasz naród. Gdyby nie chciał dać nam szansy, zabroniłby zakładania szkół. Widocznie wcale nie spisał nas na straty.

– Rzeczywiście to dziwne, że pozwala dzieciom na naukę – zauważyła milcząca do tej pory Abigail.

– Chcę pomóc ludziom, których kocham i szanuję, a nie potrafię inaczej. Jestem nauczycielką, a nauczanie pojmuję jako służbę na rzecz drugiego człowieka.

– Oby Rumkowski podobnie rozumiał swoją pracę – rzuciła kobieta, wstając od stołu. Później zebrała naczynia i zaczęła je myć.

Małeńka iskierka nadziei rozbłysła w sercu Laury.

ROZDZIAŁ V O KROK OD PRZEPAŚCI

Nadszedł listopad i rozpoczął się drugi rok okupacji Polski, a Laura siedziała w przepełnionej dziećmi klitce z niewielkim oknem, które, choć uchylone, nie stanowiło dostatecznej wentylacji dla tylu osób. Zapyzała sala w niczym nie przypominała pomieszczeń, w których Laura pracowała przed wojną. Uczniowie, stłoczeni na wąskich ławkach, ledwie mogli poruszyć rękoma, gdy chcieli się zgłosić do odpowiedzi. O pisaniu nie było mowy z dwóch ważnych przyczyn. Po pierwsze, w sali nie było miejsca, by wstawić stoły. Stołów zresztą też nie było. Po drugie, nikt nie miał ani papieru, ani ołówka, o piórze nie wspominając.

Właśnie ku końcowi zbliżał się pierwszy tydzień jej pracy w szkole. Wprawdzie rozpoczęcie nauki nastąpiło dopiero pod koniec października, jednak z każdym dniem przybywało uczniów, więc dostawiano kolejne ławki w salach. W związku z tym Laura musiała zmienić styl pracy, ale to nie stanowiło dla niej problemu. Wreszcie mogła spotykać się z dziećmi, rozmawiać o literaturze i pokazywać im namiastkę kultury, za którą tak bardzo tęskniła. To właśnie w teatrze spotkała miłość swojego życia.

Gdyby nie premiera Kordiana w Teatrze Polskim przy Cegielnianej, która przypadła w dniu jej urodzin, nie uparłaby się, by włożyć pantofle na wysokich obcasach. Majowy wieczór pachniał kwiatami kasztanowca, a ona wystrojona w sięgającą kostek suknię z bufiastymi rękawami i rozkloszowanym dołem wysiadła z dorożki. Wsunąwszy rękę pod ramię ojca, przestąpiła próg teatru i nieopatrznie się poślizgnęła. Wysokie obcasy zachwiały się, na szczęście ojciec ją podtrzymał i uniknęła upadku, ale stopa boleśnie się wykręciła. Utykając, prowadzona przez matkę i ojca, zasiadła na widowni. Choć ból promieniował, nie chciała zrezygnować z prezentu urodzinowego. W czasie antraktu została na widowni, wówczas przysiadł się do niej pewien młodzieniec, który szczerze zainteresował się jej cierpieniem. Rozmawiali o sztuce, ale też o innych przedstawieniach, które widzieli. Laura z przyjemnością przysłuchiwała się wypowiedzianym przez mężczyznę słowom. Dotychczas nigdy nie słyszała, by ktoś się tak zachwycał dramatem Wyspiańskiego czy Mickiewicza. Pochłonięci rozmową, nie dostrzegli napływającej do sali publiczności. Rodzice przerwali tę sielankę, a Laura dopiero wtedy poznała imię rozmówcy, który wcześniej zapomniał się przedstawić. Dawid, w wytwornym fraku, skłonił się lekko i ucałował dłoń Anny, a później obdarzył tym swoim wyjątkowym spojrzeniem Laurę. W jego oczach dostrzegła siłę i mądrość. Jeszcze długo wspominała delikatne muśnięcie jego ust, które poczuła na swojej nieco rozgrzanej emocjami dłoni. Zanim wtedy odszedł, zdążył jeszcze zaprosić ją na niedzielny spacer. Od tamtej pory umawiali się systematycznie, a teraz wreszcie byli razem.

Latem udało jej się zatrudnić przy prowadzeniu kolonii dla dzieci w getcie. To był niesamowity czas, kiedy dookoła niej rozbrzmiewał śmiech dzieci biegających w parku za piłką. Razem z grupą starszaków przygotowała przedstawienie O krasnoludkach i o sierotce Marysi. Sama zadbała o scenografię i kostiumy. Poświęciła na to swoją garderobę, ale uśmiech na twarzach dzieci szybko jej przypomnieli, co jest w życiu najważniejsze.

Jesienią stawała przed wygłodniałą dzieciarnią i starała się zrobić wszystko, by odsunąć ich myśli od wojny i od miejsca, w którym przyszło im żyć. Do przerwy obiadowej, o której wszyscy marzyli od chwili przestąpienia progu szkoły, pozostały jeszcze dwie godziny. Laura wyjęła więc starą, zniszczoną książkę i zaczęła czytać bajki La Fontaine'a. Dzieci przycichły. Wiedziały, że są zbyt głodne, by rozmawiać czy się wiercić. Co chwilę podnosiła wzrok, by sprawdzić, czy jeszcze nie zasnęły. W pewnej chwili dostrzegła jakies poruszenie w trzeciej ławce. Dzieci poszturchiwały się i coś sobie pokazywały. Spojrzała uważniej i wtedy zobaczyła żującego coś chłopca z dużymi wybałuszonymi oczyma, który dzisiaj po raz pierwszy przyszedł do szkoły.

– Wszystko w porządku, Jeremiaszu?

Kiwnął głową, ale nie wydobył z siebie głosu.

– On mi zabrał – poskarżył się siedzący obok Jeremiasza chłopak. – Ona była moja.

Jeremiasz bez słowa pokręcił głową.

– Chłopcy, czy możecie wyjaśnić mi, w czym rzecz?

– Ja ją ubiłem, bo mnie gryzła w kolano – tłumaczył dalej chłopiec, coraz mocniej gestykulując z przejęcia. – A on ją złapał i zjadł.

Przepraszający uśmiech wypełził na twarz Jeremiasza.

– Nie chciałem, żeby się zmarnowała. Tatusi mówi, że jedzenia nie wolno wyrzucać – wyjaśnił z dumą.

– Ale to moja mucha i moje jedzenie! – Chłopiec poczerwieniał ze złości i mocno zacisnął pięści.

Laura bała się, że za chwilę rozpęta się prawdziwa bójka.

– Izraelu, Jeremiasz na pewno z ogromną chęcią przekaże ci łyżkę swojej zupy jako rekompensatę za zjedzoną muchę, prawda? – Wymownie spojrzała na łakomczucha.

Uśmiech znikł z twarzy winowajcy, ale nieustępliwa mina nauczycielki nie pozostawiła żadnych wątpliwości co do tego, jaką powinien podjąć decyzję.

Obiad, a właściwie zupa ziemniaczana z marchwią, cieszyła się ogromnym zainteresowaniem uczniów. Laura dopilnowała, aby zwaśnieni uczniowie zakopali topór wojenny. Jeremiasz odmierzył jedną łyżkę zupy i wlał ją do metalowej miski Izraela.

Po obiedzie cała klasa wyszła na powietrze. Choć kalendarz przypominał o tym, że już listopad, to dotychczas dni były nadzwyczaj ciepłe. Laura wiedziała, że to nie potrwa długo, wołała więc korzystać z nadarzającej się okazji, by dzieci choć chwilę mogły pobyc na świeżym powietrzu.

Dziewczynki zbierały kolorowe liście rozsiane po trawniku przed budynkiem szkoły. Chłopcy gonili wiewiórkę. Laura w obawie o życie małego rudzielca śledziła każdy ich ruch. Kiedy gryzoń czmychnął na drzewo, odetchnęła i zaprowadziła dzieci do sali, gdzie na podstawie liści rozpoznawały gatunki drzew i uczyły się zapisywać ich nazwy na tablicy. Na początku trochę się bała uczyć przyrody, ale kierownik nie zostawił jej wyjścia. Nie było nikogo innego. Musiała więc sobie poradzić.

W klasie panowało niemałe zamieszanie, bo wszyscy chcieli dotknąć kredy i móc coś nią napisać. Laura przełamała kredę na pół i podała ją kolejnemu uczniowi. Chłopiec napisał nazwę drzewa koślawymi literami. Kiedy skończył, odsunął się nieco od niedużej czarnej tablicy i popatrzył na swoje dzieło z uznaniem.

– Moja mamusia powiedziała, że jak będę się uczył, to po wojnie znajdę pracę – oświadczył z dumą. – A później kupię sobie żonę – dodał po chwili namysłu.

– Żony się nie kupuje, wariacie – roześmiał się siedzący w ostatniej ławce najwyższy z uczniów jej klasy. – Żonę się znajduje.

– Ale ja jej nie zgubiłem. – Mały wrzuszył ramionami i usiadł na swoim miejscu, wciąż wpatrując w swój napis.

Laura ukradkiem spoglądała na zegar zawieszony obok tablicy. Do końca lekcji zostało kilka minut, zaintonowała więc piosenkę o Adzie, której nie wypada oszukiwać i rozrabiać. Choć w getcie o kinie musiała zapomnieć, to wciąż pamiętała film, z którego pochodził ten utwór.

Dzieci podchwyciły melodię i nawet jeśli nie znały tekstu, chętnie się kiwały na boki i nuciły. Metaliczny dźwięk dzwonka obwieścił koniec lekcji. Sala opustoszała. Laura schowała książki do maleńkiej szafki. Obok nich umieściła zeszyt z równo wpisanymi nazwiskami i imionami swoich uczniów, po czym wyszła na korytarz. Tam pożegnała pozostałych nauczycieli i pomknęła do wyjścia.

Stalowe chmury zasnuły niebo, zanosilo się na deszcz. Postawiła kołnierzy grubej marynarki Dawida i ruszyła wzdłuż parkanu. Kiedy wyszła, za furtką dostrzegła opartego o drzewo męża. Uśmiechnął się, gdy ją ujrzał.

– A co ty tutaj robisz? – spytała zaskoczona.

– Chciałem cię zaprosić na randkę – oświadczył i pocałował ją na powitanie.

Poczuła dotyk jego policzka. Gładko zaczesane włosy skrył pod kaszkietem, a na szyi okręcił długi szalik. Zmarznięte dłonie wetknął w kieszenie zbyt luźnych spodni, które zdradzały, jak bardzo ostatnio schudł, a jednak wciąż się do niej uśmiechał.

– Co ty kombinujesz, Dawidzie Lewiatanie?

– Porywam moją piękną i mądrą żonę. – Pociągnął ją za rękę.

Laura wsunęła dłoń pod jego ramię i przywarła do niego mocno. Poczuła ciepło jego ciała. Krew zaczęła szybciej krążyć. Przez chwilę miała wrażenie, że wokół nich nikogo nie ma, a wojna to jedynie mętne wyobrażenie. Szli w milczeniu, mijając kolejne kamienie z czerwonej cegły. Zdawali się nie dostrzegać nadjeżdżających samochodów gestapo, wiozących kolejnych gości wizytujących getto, kręcących się patroli policji żydowskiej, która restrykcyjnie przestrzegała zasad wytyczonych przez Niemców. Wreszcie skręcili w boczną uliczkę. Laura bez trudu poznała, dokąd zmierzają. Latem codziennie jeździła na Marysin, by opiekować się dziećmi na koloniach. Wciąż uwielbiała to miejsce. Wśród drzew ustawionych było kilka ławek, jednak nie usiedli na żadnej. Chłód dawał im się we znaki. Całe szczęście, że dzisiaj włożyła grubszą spódnicę i ciepły sweter, bo wyglądało na to, że pogoda przestanie rozpieszczać. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, w jaki sposób ogrzeją mieszkanie. Na szczęście Abigail znalazła pracę w resorcie krawieckim i teraz wszyscy otrzymywali przydział jedzenia. Chłopcy jedli obiady w szkole. To znacznie odciążało budżet Lewiatanów.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz poszliśmy do cukierni? – spytał, delikatnie pieszcząc jej dłoń.

– Miałem wtedy ochotę nie tylko na coś słodkiego, ale przede wszystkim na ciebie.

– I myślisz, że nie wyczułam tego? – roześmiała się. – Wystarczyło spojrzeć ci w oczy, żeby wiedzieć, o czym tak naprawdę marzysz.

– Nawet nie pamiętam, co wtedy zamówiłem.

– Rurki z kremem – odparła.

– Byłaś od nich słodsza – szepnęła jej do ucha, bo właśnie zbliżali się żydowski policjanci.

Laura na moment zamarła. Poczuła zimne dreszcze, które przebiegły jej po plecach. Dopiero kiedy mężczyźni oddalili się, położyła głowę na ramieniu męża i powróciła do słodkich wspomnień.

– Narobiłem mi smaku na te rurki – poskarżyła się, gdy wreszcie podniosła głowę. – Nie pogardziłabym też ciastem Marii – rozmarzyła się. – Jej jabłecznik był bezkonkurencyjny.

– Ostatni raz jadłem taki na naszym weselu – przypomniał sobie.

– Myślisz, że Marii nic się nie stało i wciąż mieszka w naszym mieszkaniu?

– Mam taką nadzieję – powiedział, ale jego twarz sponseśniała. – Po wojnie wrócimy na Kościuszki, a Maria przygotowuje dla nas najlepsze ciasto pod słońcem.

– Od tych rozmów o ciastach aż mi burczy w brzuchu.

– Mam coś dla ciebie – powiedział dość tajemniczo i spojrzał na jej delikatną twarz. – Dostałem dzisiaj od jednego klienta. – Pokazał jej maleńkie zawiniątko.

Laura odwinęła biały papier, odgryzła połowę cukierka i resztę oddała mężowi.

– Pyszny. Warto było iść z tobą na randkę. Możesz częściej mnie zabierać. – Uśmiechnęła się i pocałowała męża.

– Zaslugujesz na coś znacznie lepszego i przyrzekam ci, że kiedy to wszystko się skończy, dostaniesz dużo, dużo więcej.

Znowu przytuliła się do jego ramienia.

– Wiesz, że nie ma dla mnie nic ważniejszego i cenniejszego niż twoja miłość. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby mnie nie być przy tobie.

Nagle Dawid zatrzymał się i jednym palcem podtrzymał jej brodę. W jej oczach dostrzegł miłość. Nie powinien jej krzywdzić. Nie zasłużyła na to. Odkąd pojawiła się w getcie, próbował nie myśleć o powodach, które nią kierowały, ale wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju.

– Już dawno powinienem był cię przeprosić – powiedział zasmucony.

– Kochanie, za co chcesz mnie przeprosić?

– Gdyby nie ja, twoi rodzice by żyli.

Teraz i ona sponseśniała. Co niedzielę modliła się za ich dusze, wierząc, że zaznali spokoju wiecznego.

– To nie twoja wina, że zginęli – szepnęła, patrząc mu w oczy.

– Gdyby wtedy nie próbowali mnie ukryć, może wciąż by żyli.
– Tego nie wiemy.
– Może nie straciłabyś naszego dziecka... – dodał i zagryzł dolną wargę, aż pobiełała.
– Nie mamy wpływu na przeszłość, zrobimy więc wszystko, by zadbać o swoją przyszłość. Kocham cię i wiem, że jeszcze będzie nam dane zostać rodzicami. Zobaczysz, po wojnie będziemy mieć gromadkę dzieci, które nie dadzą ci chwili wytchnienia.
– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo bym tego chciał – oświadczył i pocałował jej ciepłe, słodkie usta. – Robi się ciemno, lepiej wracajmy, bo mama będzie się martwiła – powiedział i pociągnął ją w stronę ulicy.

Idąc obok niego, uśmiechała się do siebie. To była cudowna randka, jakiej nie doświadczyła od wielu miesięcy. Czuła się kochana i potrzebna. Tęskniła za rodzicami, Marią i Wiesią, lecz nie była sama. Wierzyła, że kiedy Niemcy przegrają wojnę, zdoła odnaleźć ludzi, których tak bardzo kocha.

* * *

Grudniowe chłody dały się wszystkim we znaki. Nikogo nie dziwiło, że kolejne drzewa znikają z parku czy z podwórek, choć groziły za to surowe kary. Mrozy rozgościły się na dobre i nie pomagało siedzenie w domu w kożuchu i pod kołdrą. Nie lepiej było w budynkach szkół, choć wydział edukacji dwoił się i troił, żeby pozyskać jakieś fundusze na zakup opału. Niemcy dostarczyli niewielkie partie drewna do zakładów produkcyjnych. Bez tego resorty nie mogłyby funkcjonować. Operatywni kierownicy część opału wykorzystywali do produkcji, a część upłyniali na wolnym rynku. Dlatego ktoś, kto miał znajomości i odpowiednio dużo gettowych marek¹⁴, mógł zrzucić kożuch i wyjść spod pierzyny.

Dawid dzięki tym znajomościom znalazł posadę w resorcie odzieżowym, gdzie znowu mógł skupić się na cyferkach, a przy tym wiedział, z kim warto rozmawiać, aby nie zamarznąć na kość.

– Czy zdążę ugotować wodę na herbatę, nim wygaśnie? – spytała Daniela Baskin, wchodząc do kuchni, w której Abigail sprzątała po obiedzie.

– Oczywiście, dołożyłam jeszcze dwa polana, żebyśmy nie zamarzli.

– Może w przyszłym tygodniu uda nam się znaleźć trochę drewna, bo ponoć ma być duży transport dla odzieżówki. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, że cały tydzień ogrzewasz mieszkanie.

Abigail odwróciła się od miski, w której myła naczynia, wytarła zniszczone pracą dłonie i objęła starszą kobietę. Wiedziała, ile przeszła, patrząc na śmierć swoich dzieci, które osierociły czwórkę potomstwa. Żadna matka nie powinna patrzeć na grób dziecka. Nawet nie chciała sobie tego wyobrażać. I choć od ponad roku nie miała żadnych wieści o mężu, to wciąż tliła się w niej iskierka nadziei. Ta wiara nie pozwalała jej zwariować w miejscu, w którym przyszło jej się znaleźć.

– Musimy sobie pomagać. Tylko to nam zostało. Wkrótce wojna się skończy i wtedy wrócimy do swoich domów.

– Ja już przestaję w to wierzyć.

– Danielo, nie może pani wątpić. – Spojrzała hardo. – Wiara doda nam siły, by przetrwać te chwilowe perturbacje.

– W twoich ustach brzmi to nie tak znów strasznie, ale widzę, co się dzieje na ulicach. Niemcy biją i porywają ludzi prosto z ulicy. Nikt nie wie, co się dalej z nimi dzieje. Nie mam siły pracować w pralni chemicznej, ale wiem, że tylko w ten sposób mogę zarobić na jedzenie. Jordan też ledwie wytrzymuje tempo pracy na produkcji. Jesteśmy już starzy, ale nikogo to nie interesuje. Mam bóle kręgosłupa i co rano ledwie jestem w stanie zwlec się z łóżka. Nie wiem, czy zdołam wychować dzieci, pracując ponad siły. Nigdy nie pracowałam fizycznie. Ojciec założył księgarnię, a po jego śmierci ja ją przejęłam i razem z Jordanem spokojnie ją prowadziliśmy. Kochaliśmy spacerować po Piotrkowskiej i niekończące się rozmowy o Byronie czy o Rousseau. A teraz? Teraz każdego dnia budzę się z pytaniem, czy moje wnuki doczekają wolności.

– Pani Danielo, jeszcze zatańczycy pani u nich na weselach. Musimy być dobrej myśli, inaczej zwariujemy.

– Dobrzy z was sąsiedzi. Nie mogliśmy lepiej trafić – wyszeptwała, zanim otarła łzy płynące jej po policzkach.

Abigail jeszcze chwilę tuliła kobietę, w końcu wróciła do zajmowanego przez jej rodzinę pokoju. Od dawna zastanawiała się, w jaki sposób spędzą tegoroczną Chanukę. Wiedziała, że tradycja daje optymizm. Zwłaszcza teraz tak bardzo potrzebowali wiary w to, że przeżyją i następną zimą spędzą we własnym domu.

Kiedy weszła, zobaczyła młodszych synów siedzących przy stole ustawionym pod ścianą. Eliasz ciął na małe kawałki słomę, zaś Józef obserwował, jak Laura nawleka je na nitkę i próbował naśladować bratową. Abigail w milczeniu obserwowała poczynania dzieci.

– Robimy świąteczne ozdoby – zakomunikowała Laura i wstrzymała oddech, oczekując reakcji teściowej.

Abigail podeszła do stołu i z bliska przypatrywała się powstającym ozdobom. Dotychczas ich Chanuka wyglądała inaczej. Choć zapraszali dużo gości i już kilka dni wcześniej rozpoczynali przygotowania do wspólnego biesiadowania, to najważniejszą ozdobą i jednocześnie symbolem Święta Światła była ośmioramienna chanukija z długimi świeczkami. Mężczyźni zasiadali do gry w kości, od czasu do czasu przerywając, by zjeść coś pysznego.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? – upewniła się Laura. – To taka namiastka świąt, jakie obchodziłam w moim domu. Wiem, że nie będzie choinki ani łamania się opłatkiem, ale chciałabym odtworzyć wspomnienia z dzieciństwa.

– Masz prawo, to także twój dom – odrzekła teściowa i położyła ręce na jej ramionach. Laura oparła głowę na dłoni teściowej. – Nauczysz mnie robić te gwiazdki?

Laura opowiedziała o świątach, które pamiętała. Rodzice zawsze dbali, by dostała wyjątkowy prezent. Wcześniej przeszukiwała całe mieszkanie, aby znaleźć przygotowany dla niej podarunek, ale nigdy jej się to nie udawało. Tym bardziej czekała na pierwszą gwiazdkę i wigilijny opłatek.

Kiedy skończyli robić ozdoby, Dawid pomógł je rozwiesić w pokoju, a dwa dni później przyniósł do domu kilka gałązek świerkowych. Laura wstawiła je do słoja z wodą i powiesiła na nich parę ozdób, które zdjęła z żyrandola. Zapach zbliżających się świąt napełnił ją nadzieją.

Następnego dnia była Wigilia. Wszyscy jak zwykle musieli iść do pracy, ale po powrocie mieli świętować.

Opłatek Laura zastąpiła podpłomykiem, zaś dwanaście potraw symbolizowały pajdy chleba z cienko pokrojonymi plasterkami jabłka.

Dawid zapalił jedną świeczkę w chanukii i zasiedli do stołu.

– Życzę nam wszystkim, żeby każdy kolejny dzień zbliżał nas do końca wojennego koszmaru, a zdrowie pozwoliło nam pracować – odezwała się Laura i oderwała kawałek podpłomyka.

Pozostali domownicy poszli w jej ślady, nie mieli żadnych doświadczeń w świętowaniu Wigilii. Gdy skończyli jeść, Laura zaśpiewała kilka kołęd, a później opowiedziała o tym, jak po kolacji wigilijnej chodziła z rodzicami na pasterkę. Święta każdego roku były wyjątkowe i nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłyby wyglądać inaczej.

Kładąc się do łóżka, odmówiła modlitwę za rodziców, po czym przytuliła się do nóg teściowej, bo w domu zdążyło się zrobić chłodno, a o następnej partii opału na razie mogli tylko pomarzyć.

* * *

Laura owinęła dłonie ściereczkami i schowała je w mankiety grubej, męskiej marynarki, która służyła jej za kurtkę. Dobrze, że była trochę za duża, bo mogła włożyć pod nią dwa grube swetry. Wprawdzie jej ruchy były znacznie ograniczone, ale przynajmniej nie marzła. W takim stroju była gotowa wyjść na dwór.

Na poboczu zalegały zasypy śniegu, dlatego wszyscy chodzili po ulicach, narażając się na pokrzykiwania żołnierzy i dźwięki klaksonów nadjeżdżających niemieckich aut.

Ciepła para wydobywała się z ust Laury, gdy pędziła na lekcje. Miała nadzieję, że nie będzie w szkole sama.

Właśnie weszła do budynku i zaczęła rozpinąć marynarkę. Nie było zbyt ciepło, ale czuła, że udało się rozpalić w piecach umieszczonych na korytarzu.

– Ile ławek mamy wynieść z tej klasy? – spytał ją stróż.

– Dwie. Mam nadzieję, że pozostałe będą potrzebne.

Mężczyzna powiódł wzrokiem po uczniach czekających na rozpoczęcie zajęć i bez słowa wyniósł cztery żeby nie wracać następnego dnia po kolejne dwie.

Laura nie protestowała. Kiedy zaczynała jesienią, ledwie wystarczyło miejsca na jej niewielkie biurko. Dzisiaj pozostała połowa ławek, uczniowie nie musieli się tłoczyć.

– Jak się macie, kochani? – spytała, starając się zabrzmieć pogodnie.

– Mnie boli brzuch, a mamusia mówi, że chyba połknąłem potwora, bo on ciągle domaga się jedzenia – powiedział najmłodszy z jej uczniów i poklepał się po brzuchu, z którego dochodziło burczenie.

– Niedługo będzie zupa – obiecała Laura i otworzyła zeszyt, by zanotować obecności.

Czytała kolejne nazwiska i stawiała przy nich minusy. Od początku roku szkolnego straciła połowę uczniów. Wielu chorowało. Nie chciała zastanawiać się nad tym, czy przeżyją zimę. Wolała mieć nadzieję, jednak kompletnie nie rozumiała, dlaczego wydział edukacji godził się na to, by najstarsi uczniowie, zamiast się uczyć, szli do pracy. Miała tego dość. Kazała dzieciom czytać po fragmencie tekstu o Kopciuszku, sama zaś wyszła na korytarz i skierowała się do gabinetu kierownika. Zapukała do drzwi i zaczęła na zaproszenie.

– Dzień dobry – powitała przełożonego. – Jak tak dalej pójdzie, za chwilę nie będę miała kogo uczyć.

– Wiem, że coraz mniej dzieci przychodzi – odparł starszek z długą, przerzedzoną brodą. – Umierają dziedziny na oczach zrozpaczonych rodziców, którzy nic nie mogą zrobić, bo nie mają lekarstw.

– Wiem, wiem, ale dlaczego pozwalamy, by pozostali musieli tak ciężko pracować, zamiast przychodzić do szkoły, gdzie mogą zjeść ciepły posiłek?

– A jaki mamy wpływ na to, co każą nam robić? – Starzec wzruszył ramionami okrytymi czarnym, wytartym płaszczem. – Niemcy nakazali pracę wszystkim, którzy się do tego nadają, bo inaczej wywożą ich do obozów pracy. Rumkowski twierdzi, że nie ma innego wyjścia. Trzeba pracować. Tylko najmłodsze dzieci wciąż mogą chodzić do szkoły.

– Ale dwunasto- czy piętnastolatki to wciąż dzieci i tu powinny spędzać czas.

– Ja to wiem i pani to wie, ale Rumkowski ma swoją teorię na ten temat i nic nie da się zrobić. Proszę uczyć te dzieci, które jeszcze przychodzą do szkoły, bo nie wiadomo, jak długo to potrwa.

– Co pan opowiada? – Otworzyła szeroko oczy i cofnęła się o dwa kroki. – Mogą zamknąć szkołę?

– Oby to nie nastąpiło, bo to byłby koniec naszego bytu i kres nadziei na przyszłość, ale Hitler potrafi zaskakiwać i nikt nie wie, co będzie jutro.

– Rzeczywiście, wszyscy liczyli, że wojna szybko się skończy, a tymczasem żyjemy tu i teraz pod lufami karabinów w otoczonym płotem miejscu, z którego nie ma ucieczki.

Starzec popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem, w którym trudno było się doszukać resztek nadziei. Laura bez słowa wyszła z gabinetu. Przez chwilę stała na korytarzu. Musiała uspokoić emocje, by móc stanąć przed uczniami.

Kiedy weszła do środka, usłyszała głośny kaszel jednego z uczniów siedzących tuż pod ścianą.

– Może napijesz się wody? – zaproponowała.

Dziesięciolatek pokiwał głową i podszedł do stojącego w rogu kubła. Zaczepnął kubkiem wody i łapczywie wypił. Rzeczywiście kaszel na chwilę się uspokoił. Laura dokończyła czytać baśń, ale pokasywania chłopca powróciły. Podeszła i dotknęła jego czoła. Było rozpalone.

– Powinieneś położyć się do łóżka – powiedziała. – Powiesz mi, jak się idzie do twojego domu?

Chłopiec pokręcił głową, bo nie miał siły odpowiedzieć. Jego policzki niemal płonęły.

– Czy ktoś z was wie, gdzie on mieszka? – spytała, podtrzymując ledwie siedzące dziecko, które z każdą minutą traciło siły.

– Ja wiem, bo mieszkamy przy tej samej ulicy – zgłosiła się nieco starsza dziewczynka.

– Ubierz się i pójdziemy zaprowadzić Jakuba – wyjaśniła, a pozostałym zadała czytanie kolejnej baśni.

Mocno chwyciła chłopca wpół i poprowadziła do wyjścia. Hanna podreptała za nimi. Gdy wyszli na zewnątrz, styczyński chłód pozbawił ich tchu. Laura dopiero po chwili przyzwyczała się do niskiej temperatury. Naciągnęła szalik na głowę chłopca i postawiła klapy swojej marynarki. Powoli brnęli w śniegu. Szybko zrozumiała, że to nie będzie proste zadanie, bo chłopiec gasł w oczach. Każdy krok sprawiał mu trudność. Hanna wzięła chłopca pod drugie ramię, żeby choć trochę pomóc nauczycielce. Laura czuła, że robi jej się coraz bardziej gorąco. Jedną ręką podtrzymywała chłopca, drugą zaś rozpięła marynarkę i nieco odsłoniła szyję. Coraz ciężiej dyszała, wysiłek okazał się ponad jej siły. W pewnej chwili poczuła, że dziecko osuwa się na ziemię.

– Jakub! Jakub! – powtarzała, nachylając się nad chłopcem. Usiłowała go ocucić, lekko poklepując jego rozpalone policzki. – Kochanie, otwórz oczy! Jeszcze kawałek i będziemy w domu.

– Czy on umarł? – spytała Hanna i spojrzała na nią niepewnie.

– Nie, skarbie, po prostu zemdłał. Musimy go zanieść do domu.

– Ja mogę wziąć go za nogi – zaproponowała.

Laura chwyciła chłopca za ramiona i tak szły środkiem ulicy, po ubitym śniegu. Pokonały kilkadziesiąt metrów, gdy Hanna upadła na kolana, ciężko dysząc.

– Już nie dam rady – powiedziała, zachłannie łapiąc powietrze.

– I tak bardzo mi pomogłaś. – Laura poklepała ją po ramieniu i spróbowała wziąć chłopca na ręce. Choć był chudy i niewielki, to jego wiotkie ciało wymykało jej się, nie mogła też utrzymać równowagi na śliskich podszwach. – Damy radę – powiedziała do siebie.

Dziewczynka powoli wstała z kolan i zaczęła iść obok nauczycielki. Kobieta coraz głośniej oddychała, czuła spływający po plecach pot. Miała ochotę zrzucić ubranie. Wiedziała, że to nierozsądne, dlatego nie zwalniała. Żeby skrócić sobie trasę zbliżyła się do ogrodzenia. Wiedziała, że to niebezpieczne, bo patrol Schupo mógł zjawić się w każdej chwili. Podchodzenie do ogrodzenia mogło się źle skończyć. Teraz nie miała jednak czasu na myślenie o tym. Mizernie ciało chłopca ciążyło jej coraz bardziej.

Nagle dostrzegła idący po stronie aryjskiej patrol Schupo. Było za późno, by próbować skręcić w boczną uliczkę. Na ucieczkę nie miała sił. Zwolniła i mocniej przytuliła dziecko. Skinieniem dała znak Hani. Dziewczynka schowała się za jej plecami.

– Stój! – usłyszała rozkaz w znienawidzonym języku.

Nie zamierzała się sprzeciwić. Zatrzymała się, wciąż tuląc ciężko dyszącego chłopca.

– Gdzie idziesz?

– Chłopiec jest chory i musi leżeć w łóżku.

– Skoro jest chory, to po co go niesiesz?

Popatrzyła na dwóch niewiele od niej starszych mężczyzn. Być może nie mieli dzieci i nie rozumieli, jak bardzo cierpi.

– Sam nie da rady iść – wyjaśniła powoli, choć dziecko ciążyło jej coraz bardziej. – Muszę go zanieść do domu.

Policjant zbliżył się do ogrodzenia i najpierw długo jej się przyglądał, a potem przeniósł wzrok na chłopca.

– Przecież to trup – stwierdził, zdejmując mausera z pleców i poszturchując nim dziecko. – Widzisz, nie rusza się. To trup. Zostaw go.

– On żyje – powiedziała cicho, lecz stanowczo. – Oddycha.

– Nie. Nie widzę. Trzymasz trupa – upierał się. – Hans, zobacz.

– No, trup – roześmiał się rzeźbiony Hans, po czym bez namysłu przeładował broń i strzelił, celując w głowę dziecka. Krew niemal natychmiast rozprysnęła się wokół, plamiąc ubranie Laury i śnieg wokół niej. Nauczycielka krzyknęła ze strachu i upadła, wypuszczając z rąk ciało. Oszalałym wzrokiem patrzyła to na policjantów, to na zwłoki dziecka.

– Teraz nam wierzysz? – zapytał Hans. – Możesz już spokojnie wracać do domu.

Mężczyzna zaśmiał się chrapliwie i zarzucił karabin na ramię, poprawiając ułożenie broni.

Laura, drżąc, zaczęła się cofać, dopiero wtedy usłyszała szloch Hanny. Złapała jej dłoń i mocno ścisnęła. Musiała ocalić choć jedno życie. Spróbowała stanąć na nogach. Drżały, ale wytrzymała. Objęła dziewczynkę i poprowadziła w stronę szkoły. Kiedy oddaliły się na tyle, że nie mogły im zagrozić niemieckie kule, Laura zatrzymała się i przytuliła wciąż szlochające dziecko.

– Przeżyliśmy – powiedziała, po czym łyzy bezradności pocięły jej po policzkach.

Tego dnia wróciła znacznie wcześniej do domu i od razu położyła się do łóżka. Nie miała ochoty nic jeść. Widząc, w jakim jest stanie, Abigail zaparzyła jej napar z lipy i przypilnowała, żeby wszystko wypić.

W nocy przysnili jej się rodzice. Siedzieli przy jej łóżku i trzymali ją za dłonie. Opowiadali o wakacyjnych planach. Bardzo chcieli zobaczyć morze. To było ich wspólne marzenie. Odkąd pamiętała, rodzice obiecywali jej pobyt w nadmorskiej miejscowości. Jednak nigdy nie udało im się zrealizować tego planu. Najpierw zmarła matka Anny. Rok później ojciec rozchorował się przed wakacjami i lekarz nie chciał się zgodzić na wysiłek związany z długą podróżą. Później Laura nie chciała rozstawać się z Dawidem nawet na kilka dni.

Nagle dostrzegła krew na swojej pierzynie. Poderwała się przestraszona. Matka coraz głośniejsze się śmiała, nic nie robiąc sobie z wypływającej z jej czaszki krwi. Po chwili dołączył do niej ojciec ze swoim tubalnym śmiechem. Laura podbiegła do drzwi i próbowała je otworzyć. Były zamknięte, a jakaś nadludzka siła próbowała ją od nich odciągnąć. Starła się zrzucić te pięty, ale nie była w stanie. Musiała się poddać i wbrew sobie odejść od drzwi.

– Laura, Laura połóż się – słyszała głos, ale nie mogła go rozpoznać. – Wracaj do łóżka.

Kobieta niechętnie ruszyła w stronę posłania. Nie dostrzegła już jednak ani zakrwawionej pościeli, ani rodziców. Położyła się i poczuła, jak troskliwe dłonie okrywają ją kołdrą. Znowu zapadła w niespokojny sen.

Trzy kolejne dni spędziła w łóżku, nic nie jedząc. Głównie spała. Wysoka gorączka nie ustępowała. Wreszcie Dawid przyprowadził lekarza. Ten uważnie ją zbadał i z rezygnacją westchnął.

– Zapalenie płuc – powiedział, chowając stetoskop.

– Wyjdzie z tego? – zapytał Dawid drżącym głosem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jest młoda i silna, ale bez lekarstw może się nie udać.

– Jak zdobyć leki? Musi je dostać.

– Wiesz, że to niemal niemożliwe. W getcie codziennie setki ludzi umierają tylko dlatego, że nikt nam nie dostarcza lekarstw.

– Ona nie może umrzeć! – wykrzyknął, nie panując nad sobą. – Zrobię wszystko, żeby uratować moją żonę. Błagam, niech mi pan pomoże. – Pociągnął lekarza za rękaw, patrząc na niego zrozpaczonym wzrokiem.

– Nie mam lekarstw. Nikt z nas ich nie ma, ale Niemcy... Oni mają je dla swoich.

– Jak je dostać? – zapytała Abigail, która dotychczas siedziała na łóżku, przysłuchując się rozmowie.

– Na posterunku Kripo mają spory zapas skonfiskowanych leków – powiedział lekarz i ruszył do wyjścia.

Dawid odprowadził mężczyznę do drzwi, a kiedy wrócił, ukląkł przy łóżku żony i schował twarz w dłoniach. Była dla niego wszystkim. Gdyby nie jej upór, nie byłiby teraz razem. Wiedziała, ile ryzykuje, a jednak weszła do getta. Przyszła pora, by to on jej pomógł.

Wstał i zaczął nerwowo krążyć po mieszkaniu. Matka obserwowała go w milczeniu. Wiedziała, że potrzebuje teraz jej wsparcia. Wyszła do kuchni, by wstawić wodę na herbatkę z rumianku, który udało jej się zebrać latem. Po chwili w kuchni zjawiła się Daniela i zaczęła rozcierać zgrabiące dłonie.

– Wyjdzie z tego? – spytała.

– Bez antybiotyku może się nie udać.

– A skąd go wziąć?

– Kripo ma – wyjaśniła Abigail i podmuchała na żar. Po chwili pojawiły się nikłe płomienie pod czajnikiem.

– Razem ze mną pracuje kobieta, której córka ma swoje dojścia do posterunku przy Kościelnej. Może nam pomoże – zastanawiała się na głos Daniela.

Abigail chwyciła jej drobne, pomarszczone dłonie i ucałowała je, choć kobieta wzbraniała się przed tym. Daniela zarzuciła grubą wełnianą chustę na plecy i wyszła z mieszkania. W tym czasie Dawid z matką napoili i przebrali Laurę.

Kiedy Daniela wróciła, jej mina nie pozostawiała wątpliwości, że zadanie jest niewykonalne. Nikt o zdrowych zmysłach nie chciał się go podjąć.

Laura zaniósła się od kaszlu i wykończona opadła na łóżko. Walczyła o każdy kolejny oddech. Mokre włosy przykleiły się do wycieńczonej chorobą twarzy. Chłopcy siedzieli skuleni na sienniku, w milczeniu bawiąc się kamykami. Dawid ścisnął dłoń żony, a Abigail szeptała słowa modlitwy, mając nadzieję na cud.

ROZDZIAŁ VI TANECZNY TRANS

Laura śledziła wzrokiem życie toczące się na ulicy. Od miesiąca nie wychodziła z mieszkania. Pozostało jej okno, w którym zasiadała, gdy czuła się lepiej. Promienie słońca otulały jej bladą twarz. Tęskniła za świeżym powietrzem, ale wciąż nie miała siły, by wyjść na dwór. Dawid dwoił się i troił, przynosząc do domu to mleko, to kawałek marchewki czy jabłko. Każdy dar przyjmowała z wdzięcznością, choć oddałaby wszystko, żeby nie być ciężarem dla Lewiatanów. Odkąd zachorowała, nawet chłopcy mniej się kłócili i chętnie zasiadali przy jej łóżku, żeby opowiedzieć, co się wydarzyło w szkole. Eliasz zrobił duże postępy. Świetnie radził sobie z tabliczką mnożenia i potrafił dokonywać skomplikowanych obliczeń pamięciowych nawet na trzycyfrowych liczbach. Józef wołał działania praktyczne i bez trudu wyliczał comiesięczny koszt utrzymania całej rodziny.

Abigail zachodziła w głowę, skąd jej najmłodszy syn tak dobrze znał się na pieniądzach. Nie zarabiał, a jednak to on przyniósł Laurze kostkę cukru czy kilka buraków na barszcz.

– Lepiej ci? – spytał Józef, podtykając jej marchewkę wyciągniętą z przepastnych kieszeni swoich spodni.

Laura uśmiechnęła się do chłopca. Nigdy nie miała rodzeństwa, ale zawsze tego pragnęła. Teraz miała w domu dwóch zawiadaków i nieraz stawała pomiędzy nimi, by nie doszło do rękoczynów.

– Lepiej, lepiej. – Pokiwała głową i znowu wyjrzała przez okno.

Od kilku minut obserwowała starca siedzącego pod ścianą domu po przeciwnej stronie ulicy. Widziała go, gdy chwiejnym krokiem sunął po chodniku. W pewnej chwili zatrzymał się i upadł. Później dostrzegła, że próbował wstać, choć zupełnie mu to nie wychodziło.

– Chłopcy, biegnijcie na dół pomóc staruszkowi – odezwała się. – Trzeba go zaprowadzić do domu.

Eliasz podążył za jej wzrokiem i wyjrzał za okno. Później zarzucił matczyną chustę na plecy i wybiegł z mieszkania. Józef popędził za bratem.

Laura patrzyła, jak chłopcy obejmują mężczyznę i pomagają mu wstać. Jego nogi drżały i co chwila się uginały. Eliasz zrobił pierwszy krok. Mężczyzna wsparł się na dzieciach i powłócząc nogami, sunął za nimi. Nagle Józef gwałtownie spojrzał w bok. Huk wystrzałów wszystkich zaskoczył. Dopiero wtedy ujrzeli nadjeżdżającą kolumnę samochodów. Kolejna wizyta niemieckich oficjeli mających ocenić funkcjonowanie żydowskich resortów dostarczyła im też nieco rozrywki. Starzec zachwiał się i upadł na Józefa. Chłopak szamotał się uwięziony w uścisku, ale kolejne strzały niemieckich żołnierzy wychylających się z samochodu sprawiły, że znieruchomiał. Laura zamarła. Widziała zmieniające się obrazy, ale nie potrafiła zrozumieć, co zaszło. Przycisnęła głowę do szyby, by wyjrzieć na ulicę. Dostrzegła uciekającego Eliasza. Gnał co tchu w stronę bramy prowadzącej do sąsiedniej kamienicy. Nie czuła, jak mocno zaciskała pięści, śledząc szaleńczy rajd chłopca. Wreszcie wpadł na podwórko, znikając jej z oczu.

Teraz spojrzała na mężczyznę i Józefa, którzy leżeli bez ruchu. Musiała wyjść. Musiała ochronić chłopca. To nie miało prawa się wydarzyć. Poderwała się, ale osłabione chorobą ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Próbowała zmusić je do wysiłku, ale miała poczucie, że nie panuje nad nim. Nogi poruszały się powoli. Zdążyła jeszcze okryć się kocem i chwiejnym krokiem ruszyła na schody. Pokonanie piętra zajęło jej chwilę. Musiała przystanąć, żeby nabrać tchu. Nie mogła zwlekać. Zrobiła kilka głębszych wdechów i choć czuła ucisk w piersi, ruszyła w dół.

Kiedy stanęła na progu domu, dostrzegła, że auta już odjechały. Wokół panowała pustka i kompletna cisza, choć dochodziło południe i zwykle o tej porze panował ruch. Ciężko dysząc,

pokonała ulicę i nachyliła się nad ciałami.

– Nie, nie, błagam – powtarzała, usiłując odciągnąć zwłoki mężczyzny. – Oddychaj, skarbie, tylko oddychaj – prosiła, starając się dotknąć twarzy Józefa, który miał zamknięte oczy.

Wreszcie udało jej się dostać do chłopca. Nachyliła się, by sprawdzić, czy oddycha. Ledwie wyczuwalne ciepłe powietrze przywróciło jej wiarę. Złapała chłopca i usiłowała wziąć go na ręce. Jej nogi ugięły się pod ciężarem. Spróbowała ponownie, ale i tym razem nie zdołała utrzymać równowagi.

– Ratunku! – zaczęła jęczeć z bezradności. – Niech mi ktoś pomoże, błagam. Niech ktoś mi pomoże. – Ale odpowiedziała jej cisza. – Ratunku! Ratunku... – powtarzała coraz ciszej, zdając sobie sprawę, że te słowa zbyt często wypowiadali mieszkańcy getta, by ktokolwiek jeszcze na nie reagował. Przytuliła twarz do policzka ledwie oddychającego dziecka i rozplakała się. Nagle poczuła poszturchiwania. Obejrzała się.

– Pomóż mi – odezwał się Eliasz i chwycił brata pod pachy.

Laura bez słowa złapała Józefa za nogi i spróbowała wstać. Dopiero za drugim razem zdołała ustać na nogach. Powoli ruszyli w stronę mieszkania. Gdy weszli do klatki, Laura przysiadła na schodach. Potrzebowała chwili oddechu. Eliasz, widząc jej zmęczenie, oparł brata o ścianę i zaczął oglądać jego ciało. W kilku miejscach jego spodnie pochłapane były krwią, ale nie było śladu po kuli. Dopiero kiedy odstąpił włosy, dostrzegł rozległe, pulsujące krwią miejsce na skroni brata.

– Tylko nabił sobie guza – powiedział, a w jego głosie trudno byłoby się doszukać drwiny. – To tylko guz – powtórzył i zaczął całować brata, który niespodziewanie otworzył oczy i nieprzytomnym wzrokiem wodził wokoło.

* * *

– Dłużej już nie wytrzymam. – Z wyrzutem spojrziała na Dawida, który właśnie wrócił z pracy i usiadł obok niej przy stole.

– Kochanie, powinnaś nabierać sił.

– Już nabrałam dostatecznie dużo. Od rana nawet na chwilę się nie położyłam i świetnie się czuję – oświadczyła i na dowód tego poderwała się i okręciła wokół własnej osi. Natychmiast poczuła zawroty głowy, więc ostrożnie usiadła na krześle, wciąż się uśmiechając. – Widzisz, wszystko jest w porządku – skłamała.

– Ledwie uszłaś śmierci i nie powinnaś się forsować – nie ustępował. – Gdyby nie pani Daniela... – zamyślił się. – Dobrze, że postawiła ci bańki.

– Sam widzisz, że mam silny organizm. Naprawdę czuję się już dobrze i stęskniłam się za dziećmiakami.

Znowu spojrziała na męża błagalnie i usiadła na jego kolanach.

– Moglibyśmy iść na spacer, żebyś mógł zobaczyć, jak dobrze się czuję.

Dawid przytulił jej wątłe ciało, w którym tliła się wielka dusza. Ta kobieta zaskakiwała go swoją siłą i wolą życia. Nie miał wyjścia, wiedział, że nie zdoła jej powstrzymać. Czasem nienawidził tego jej uporu, ale jednocześnie miał świadomość, że gdyby nie ta nieustępliwość, dzisiaj nie byłiby razem. Pomógł więc żonie włożyć ciepłą marynarkę, bo choć zbliżał się początek marca, to mróz wciąż nie odpuszczał.

Niełatwo było się poruszać po oblodzonym bruku. Buty ślizgały się, więc musieli balansować ciałami, by utrzymać równowagę, ale i tak uśmiech nie schodził z twarzy Laury. Wreszcie mogła zapomnieć, że niemal otarła się o śmierć. Liczyło się tylko to, że znowu może wrócić do szkoły.

Ostrożnie szli wzdłuż ulicy. Dym unosił się z nielicznych kominów. Większość mieszkańców getta jeszcze nie wróciła z zakładów pracy, a dzieci musiały przywyknąć do tego, że po powrocie ze szkoły czekał na nie wyziębiony dom.

Gdzieś ponad głowami usłyszeli świergot ptaków. Pomimo wojny natura żyła swoim rytmem i za kilka tygodni miała nadejść kalendrzowa wiosna, a wraz z nią powinny wreszcie nastąpić zmiany na lepsze.

Laura mocniej wtuliła się w objęcia męża. Tęskniła za jego bliskością.

– Po wojnie pojedziemy nad morze – zaczęła, gdy skręcili w boczną uliczkę prowadzącą w stronę Marysina. – Może latem uda nam się wynająć jakiś małeńki pokój na poddaszu. Wczorami mogłabym pracować w jakimś barze, a do południa moglibyśmy się opalać na plaży.

– Do południa nie wychodzilibyśmy z łóżka. – Dawid mrugnął do niej porozumiewawczo. – W końcu rodzina sama się nie powiększy. Musimy zacząć nad tym pracować.

– Tak bardzo chciałabym, żebyśmy mieli szansę być prawdziwym małżeństwem.

– Już niedługo, skarbie. Musimy być dobrej myśli. Świat o nas nie zapomni.

– Mówisz, jak mój tatuś, którego nie ma już wśród nas, a wojna trwa w najlepsze. Nawet nie wiemy, co się dzieje na froncie, bo jesteśmy całkowicie odcięci od świata. Nikt o nas nie walczy, jakby reszta kraju nie istniała.

– Dopóki pracujemy, możemy być spokojni o nasze życie.

– Jesteś tego pewny? – Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie jestem głupcem, ale chcę wierzyć, że stąd wyjdziemy. Inaczej już dawno bym oszalała – wyjaśnił i nachylił się, by ją pocałować. – Kocham cię i zrobię wszystko, aby cię ochronić.

Patrzyła na mężczyznę, w którym się zakochała. Jego zapadnięte policzki pokrywał dziko rosnący zarost, którego nawet nie próbował okiełznać. Nie przypominał już tego eleganckiego mężczyzny we fraku, którego spotkała w teatrze. I choć nie wyobrażała sobie życia bez niego, to zastanawiała się, jak długo jeszcze przyjdzie im akceptować rzeczywistość.

– Dlaczego nie spróbujemy się stąd wydostać? – spytała i rozejrzała się na boki, by się upewnić, że nikt ich nie słyszy.

– Niemcy zabijają wszystkich, którzy zbliżą się do płotu. Wiesz, co zrobili z buntownikami? Długo dyndali na szubienicy na placu Bazarowym. To miał być przykład dla innych.

– Ale musimy coś zrobić – upierała się. – Jest nas ponad sto pięćdziesiąt tysięcy, a mundurowych dziesięć razy mniej.

– Ale wśród nich są starcy i dzieci, zaś dorośli wycieńczeni są pracą i głodem. Jak ich przekonać do tego, żeby zechcieli walczyć? Zresztą nie mamy broni ani kontaktów za murami getta. Nikt nam nie pomoże, bo Polakom na nas nie zależy – powiedział i niemal natychmiast ugryzł się w język. Dostrzegł smutek w oczach żony i pożałował swoich słów. – Wiesz, że wielu źle nam żyć było.

– Wiem też, że byli tacy, którzy oddali za was życie – powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

– Nigdy nie zapomnę tego, co zrobili dla mnie twoi rodzice, ale byli też tacy, którzy przyklaskiwali Niemcom, gdy ci ograniczali nasze prawa, aż w końcu pozbawili nas ich całkowicie.

Przez chwilę szli w zupełnej ciszy. Zaczęło zmerzczać, dlatego zawrócili w stronę Brzezińskiej. Obydwoje pochłonięci własnymi myślami, nie czuli chłodu. Mijali zmarzniętych przechodniów. Zwykle spieszyli się, by jak najkrócej przebywać na mrozie. W pewnej chwili wzrok Laury przykuła kobieta z dwójką kilkulatków. Szli powoli, jakby nie mieli siły poruszać nogami.

– Czy potrzebuje pani pomocy? – spytała, podchodząc do kobiety. – Dobrze się pani czuje?

Kobieta podniosła smutny wzrok. Dwóch chłopców wtuliło się w poły jej płaszcz. Przytuliła ich zgrabiętymi dłońmi, a ledwie widoczny uśmiech zamajaczył na jej twarzy.

– Od trzech dni nie jedliśmy. Chorowałam i nie mogłam pracować. Nie dostałam talonów na żywność, więc nie mam czym nakarmić dzieci. Poszliśmy pod bank na Ciesielską¹⁵, żeby sprzedać medalik po mojej matce. Ostatnia pamiątka rodzinna. Staliśmy pół dnia przed budynkiem, zanim jakiś Niemiec oszacował, ile wart jest wisiorek. Matka nosiła go całe życie, a on stwierdził, że to szmelnik i nie jest wart więcej niż kilka marek, za które kupię ledwie dwa bochenki chleba. A dziś i tak jest już za późno. Musimy przetrwać do jutra – tłumaczyła z goryczą.

Laura pociągnęła męża za rękaw i nachyliła się do jego ucha.

– Może damy im kawałek chleba?

– W domu jest pół bochenka, a następny przydział dopiero po niedzieli – tłumaczył, zerkając na ślaniające się na nogach dzieci. – Sami będziemy głodować.

– Musimy im pomóc. – Spojrzała na męża z nadzieją.
– Nienawidzę tego twojego wzroku – oświadczył, choć nie wyczuła w tych słowach złości. – Mama nie będzie zadowolona.

– A ja myślę, że będzie z ciebie dumna.

– Dumą nie napełni żołądków Eliasza i Józefa – stwierdził chłodno.

– Ale da im lekcję współczucia i otwartości – stwierdziła górnolotnie.

To idealistyczne podejście do życia bywało dla Dawida niezrozumiałe, ale taka właśnie była jego żona. Mógł z tym walczyć albo to zaakceptować. Dzisiaj nie miał siły się z nią spierać.

– Proszę dać mi chwilę – zwrócił się do nieznajomej. – Przyniosę coś do zjedzenia. – I nie czekając na odpowiedź, pobiegł w stronę kamienicy zamieszkiwanej przez rodzinę Lewiatanów.

Laura tymczasem przykucnęła przy chłopcach. Skłamałaby, mówiąc, że spacer jej nie zmęczył. Wykorzystała więc chwilę nieobecności męża, by złapać oddech, a przy okazji odciągnąć myśli dzieci od burczenia wydobywającego się z ich zapadniętych brzuszki. Kobieta przysłuchiwała się, gdy Laura opowiadała bajkę o trzech świnkach. Chłopcy słuchali w milczeniu. Ich uściski zelżały, a mięśnie twarzy nieco się rozluźniły. Dwie pary czarnych oczu wpatrywały się w nią z coraz większym zaciekawieniem.

Właśnie skończyła opowiadać historię, gdy obok pojawił się Dawid. Wyjął z kieszeni trzy grube pajdy chleba i podał je kobiecie.

– To dla nas? Naprawdę dla nas? – powtarzała ze ściśniętym gardłem. – Jesteście wspaniali. Sam Bóg was postawił na mojej drodze. Dziękuję, dziękuję. – Zaczęła całować ich ręce.

Laura zaskoczona wyrwała dłonie. Dawid pogłaskał chłopców po długich włosach i pociągnął Laurę w stronę mieszkania. W oddali słychać było słowa podziękowania. Zima stała się jakby mniej zimna, a getto – mniej obce.

* * *

Laura weszła do klasy i powiodła stęsknionym wzrokiem po ławkach. Brakowało kolejnych uczniów, a ci, którzy przetrwali zimę, siedzieli smętni.

– Czy wiecie, że za dwa tygodnie pierwszy dzień wiosny? – zaczęła. – Znow zakwitną kwiaty, a drzewa obsypią liście.

– Pamiętam, w tamtym roku babcia Rita smażyła dla nas kwiaty lilaka obtaczane w cieście – rozmarzyła się jedenastoletnia Elwira, która podobnie jak Laura niedawno wróciła do szkoły po długiej chorobie. Na szczęście miała silny organizm i ogromną chęć życia, dlatego dzisiaj siedziała wśród siedemnaściora innych dzieci.

– A moja mama ugotowała zupę z pokrzywy – pochwalił się Jordan. – W ogóle się do tego nie przyznała, a my jak te króliki wcinaliśmy zielsko i chwaliliśmy jej przepis. Ale było śmiechu, jak dowiedzieliśmy się, z czego zrobiła zupę – roześmiał się i na chwilę śmiech dzieci wypełnił salę.

– Tym bardziej wszyscy czekamy na przyście wiosny. A znacie jakąś piosenkę, którą moglibyśmy zaśpiewać na jej powitanie? – spytała Laura, chcąc podtrzymać dobry nastrój.

Elwira zaintonowała piosenkę. Z czasem przyłączyły się wszystkie dzieci.

– A może zrobimy marzannę i przegnamy zimę na cztery wiatry? – Klasnęła w ręce, gdy piosenka dobiegła końca.

– A co to mazannę? – zaseplenił najmłodszy z chłopców, który od początku lekcji pocierał dłonie.

Laura dostrzegła, że jego drobne paluszki były niemal sinoczerwone. Znała ten kolor. Tej zimy nieraz widziała odmrożone dłonie i stopy.

– Marzanna to taka kukła ze słomy i patyków, którą trzeba spalić, by wygonić zimę i zaprosić wiosnę – wyjaśniła i podeszła do chłopca. Delikatnie pogłaskała jego małą główkę. Miał miękkie włosy, pachnące mydłem. Jego rozerwana na rękawie koszula wystawała z przykrótkich spodni.

– I wtedy na pewno psyjdzie wiosna? – upewnił się, śledząc każdy ruch nauczycielki.

– Na pewno – obiecała i uśmiechnęła się do chłopca, który patrzył na nią ufnie.

- To ja polecę po słomę. - Zeskoczył z ławki gotów biec do drzwi.
- Ale jeszcze nie dzisiaj - zatrzymała go. - Mamy dwa tygodnie. Musimy się dobrze przygotować, żeby zimie nie przyszło do głowy wracać. - Chłopiec pokiwał głową na znak zgody i wrócił na miejsce.

Laura opowiedziała o tradycji robienia marzanny. Dzieci słuchały, co rusz przerywając jej, żeby zadać kolejne pytania. Dotychczas nie słyszeli o czymś podobnym. Ochoczo obiecali, że w drodze powrotnej do domu rozejrzą się w poszukiwaniu wszystkiego, co nadawałoby się do zrobienia kukły.

Kolejne dni pokazały, jak bardzo pomysł przypadł im do gustu. Sala wypełniła się drobnymi gałązkami wierzbowymi, ktoś przyniósł kawałek sznurka, który wykorzystali do związania gałązek i długich źdźbeł trawy zerwanej na Marysinie. Ktoś inny dołożył stary, porwany szalik do owinięcia szyi kukły. Dzieci codziennie wymyślały coś nowego i konsekwentnie realizowały swoje pomysły. Laura patrzyła na ich radosne twarze i śmiała się równie głośno, mobilizując je do jeszcze większego wysiłku.

- Nasza marzanna musi mieć jeszcze korale i kokardki - powiedziała Laura, patrząc na ukończone dzieło.

- Moi rodzice już wszystko sprzedali - odezwała się Elwira z zafrapowaną miną.

- My też już nic nie mamy - przyznał siedzący przed nią Salomon.

- U mnie w domu nawet kołdrę sprzedaliśmy, żeby kupić trochę warzyw, bo moja malutka siostrzyczka zachorowała i lekarz powiedział, że ma popsutą krew i musi jeść witaminy. Nie wiem, dlaczego mama nie kupiła witamin, ale jak Martusia zjadła kilka marchewek i buraków, to jej się krew naprawiła - wyjaśniła drobna dziewczynka w za dużych butach mocno zasznurowanych, żeby nie spadły z jej chudych nóżek.

- A może uda nam się wyczarować korale z owoców dzikiej róży, jarzębiny czy kamyków? - zaproponowała Laura. - Mamy czas do jutra. Na pewno coś znajdziemy. Musimy tylko poszukać. Spróbujecie?

- Tak! - wyrwało się z dwudziestu wątych piersi.

Nauczycielka aż klasnęła w dłonie z radości i zaczęła sprzątać resztki pozostałe po pracy nad kukłą. Właśnie zamierzała wymknąć się na korytarz, by wrzucić zebrane śmieci do pieca kaflowego, gdy drzwi otworzyły się i do środka niezapowiedzianie wszedł kierownik szkoły.

- A co się tu dzieje? - odezwał się, patrząc na schyloną kobietę.

- Sprzątamy - odparła zgodnie z prawdą.

- A czemu tak nabrudziliście? - dociekał, bacznie rozglądając się po sali.

- Chłopcy przynieśli trochę trawy i gałązek - zaczęła Laura i powoli przeszła w głąb sali. Miała nadzieję, że kierownik nie obejrzy się i nie dostrzeże stojącej za nim kukły.

- A po co? - dociekał.

- Chcieliśmy zrobić marz... - krzyknął któryś z najmłodszych chłopców, ale na szczęście ktoś skutecznie mu przerwał, sprzedając kuksańca w bok. Chłopiec zmarszczył nos, a potem wybuchnął płaczem.

- Kto to zrobił? Kto go uderzył? - zachrypiął kierownik i powiódł zmęczonym wzrokiem po klasie. - Łotry, łobuzy, łachudry - zaczął pokrzykiwać, a na jego twarzy pojawiły się rumieńce.

- Już ja pokażę jednemu z drugim! - odgrażał się.

- Ja się tym zajmę. - Laura wykorzystała moment i chwyciła kierownika pod ramię, po czym pociągnęła go do wyjścia, wciąż nie pozwalając mu się odwrócić.

- Tylko żeby ich pani ukarała - nalegał. - Nie mam serca dla łobuzerii - grzmiał, nawet wtedy, gdy znalazł się już za drzwiami.

Kobieta odetchnęła i podeszła do dziarskiego malucha, który obcierał zasmarkany nos. Przytuliła go i otarła spływające po policzkach łzy.

- Nie mogliśmy zdradzić naszej tajemnicy - wyjaśniała, trzymając chłopca za brodę. - Pan kierownik nie byłby zadowolony, gdyby zobaczył naszą zimową damę. To nasz sekret. - Przyłożyła palec do ust i omiotła wzrokiem pozostałych uczniów. Wszyscy zrozumieli jej prośbę. Malec chlipnął raz jeszcze niepocieszony, ale szybko się uspokoił.

Następnego dnia, zaraz po wejściu do klasy dzieci pokazały przyniesione skarby. Wśród nich znalazło się kilka zmarzniętych owoców dzikiej róży, ususzony dwa rajskie jabłuszka, które

przez nikogo niedostrzeżone przeleżały na kuchennym kredensie w domu jednej z uczennic. Ktoś przyniósł wysuszoną skórkę od chleba pociętą na małe kwadraciki. Na stole znalazł się również orzech włoski i dwaj jego mniejsi kuzyni – orzeszki laskowe. Laura patrzyła na te skarby i uśmiechała się pod nosem. Pomysłowość uczniów przerosła jej oczekiwania. Wreszcie wzięła dużą igłę i zaczęła nawlekać na przemian owoce i chleb.

– Ja zawiesię – zaproponował sepleniący chłopczyk.

Laura pochyliła marzannę, a chłopiec wspiął się na palce, by dosięgnąć kukły. Teraz mogli już świętować.

– Możemy zaczynać – odezwała się. – Spalimy ją za szkołą, żeby nikt nas nie widział.

– A musimy? – upewnił się sepleniący, a w jego spojrzeniu dostrzegła smutek.

– Ona nie może tu zostać. – Pokazała na słomianą postać.

Zawód odmalował się na twarzach wszystkich dzieci.

– Coś się kończy, żeby zacząć mogło się coś innego – wyjaśniła i wzięła malca za rękę, a potem zwróciła się do niego konspiracyjnym szeptem: – Pomożesz mi przenieść marzannę?

Chłopczyk się rozpromienił. To było wyróżnienie. Wiedział o tym i nie zmierzał zrezygnować z zaszczytu. Chwycił kukłę i zaczął na nauczycielkę. Ta poleciła, by wszyscy ustawili się blisko siebie, a sama weszła do środka i razem z dwoma innymi chłopcami ujęli marzannę, a następnie wynieśli ją na zewnątrz. Na palcach przemknęli obok gabinetu kierownika i czym prędzej ruszyli w stronę wyjścia.

Kiedy ukryli się za drzewami, Laura wbiła kukłę w ziemię i poszukała zapalek. Nagle dostrzegła, że czegoś brakuje. Powiodła wzrokiem po zapadniętych twarzach dzieci i nie odezwała się. Ktokolwiek zjadł naszyjnik marzanny, na pewno cierpiał z głodu. Podpałiła więc kukłę. Słoma i gałązki natychmiast zajęły się ogniem. Dzieci radośnie klaskały w dłonie.

Nauczycielka poprawiła kilku młodszym uczniom szaliki i czapki, bo mróz nie pozwalał o sobie zapomnieć, a później poprowadziła dzieci w stronę szkoły. Pamiętała poprzednie marsze po spaleniu kukły. Dzieci śpiewały piosenki, śmiały się i żartowały. Jak bardzo brakowało jej tego śmiechu. Gromadka dzieci w obszarpanych paltach, w za dużych lub zbyt małych butach, z zaczerwienionymi od zimna policzkami maszerowała niemal w całkowitej ciszy.

– Zaśpiewamy? – spytała, chcąc odciągnąć ich myśli od jedzenia. – Może znacie jakąś piosenkę o słońcu, lecie i wakacjach?

– Latem na koloniach uczyliśmy się śpiewać o słońcu – podchwyciła jedna z dziewczynek.

– Śmiało, zaczynaj, a my dołączymy – obiecała Laura.

Dzieci kolejno włączały się do śpiewu. Nauczycielka szła na końcu i obserwowała maszerujących uczniów. Od czasu do czasu ktoś się potykał o własne nogi, ktoś inny ślizgał się na nierównym ubitym śniegu. Promienie słoneczne odbijały się od puchowej pierzynki otulającej drzewa i budynki. Pomyślała, że jeszcze miesiąc i zrzucą cuchnące stęchlizną i starością palta.

Właśnie podeszli do furty szkolnej, gdy zza rogu wychylił się mundurowi. Szli równym krokiem z dumnie wypiętymi piersiami. Dwuosobowa delegacja niemiecka z nieliczną obstawą dopiero co wyszła z jednego z resortów. Po drugiej stronie ulicy czekał na nich samochód. Niemieccy policjanci trzymali otulone w rękawice dłonie na skórzanych paskach karabinów zawieszonych na plecach.

Dzieci kolejno milkły i zatrzymywały się na widok uzbrojonych Niemców. Zdołały już przywyknąć do ich obecności, lecz nie przestały się ich bać. Laura ruszyła do przodu.

– Nie zatrzymujcie się – szeptała, mijając kolejnych uczniów. – Wchodźcie do szkoły – ponaglała.

Dzieci powoli przesuwały się do wejścia. Metalowa furta zaskrzypiała i pierwsza osoba weszła na teren szkoły.

– A co wam tak wesoło? – zapytał jeden z niemieckich delegatów.

Laura gorączkowo myślała nad odpowiedzią. Wołała nie narażać dzieci, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, do czego może doprowadzić przedłużające się milczenie.

– Przepraszamy, już nie będziemy przeszkadzać – rzuciła naprędce i popchnęła kolejnego ucznia do środka.

– My lubimy się bawić – wyjaśnił drugi i spojrzął znacząco na towarzysza. – Pośpiewajcie jeszcze – zwrócił się do kobiety.

– Dzieci zmarzły i lepiej będzie, jak wejdziemy do środka – usiłowała się wykić, jednocześnie wpychając za furtę kolejne dzieci.

– Chwilę wcześniej cieszyliście się, jakbyście wygrali jakąś bitwę – roześmiał się.

– Oni co najwyżej mogą wygrać bilet na pociąg – pochwycił jego towarzysz.

– Ten w jedną stronę. – Rubaszny śmiech odbijał się echem od wysokich kamienic.

Laura zagryzała wargi, starając się nie słuchać wypowiedzianych po niemiecku słów. Wiedziała, że wielu Żydów i Polaków zostało wywiezionych do niemieckich obozów pracy, ale wciąż wszyscy liczyli na to, że wkrótce będą mogli powrócić do rodzin. Nie miała jednak czasu zastanawiać się, skąd pomysł o podróży w jedną stronę. Niemal niewidocznym gestem przepchnęła kolejne dziecko przez furtę.

– Śpiewać! – niespodziewanie zakomenderował oficer. – Słyszysz?! – zwrócił się do Laury. – Mają śpiewać!

Poczula, jak jej oddech przyspiesza, gdy odezwała się do dzieci.

– Jeszcze raz zaśpiewamy piosenkę o lecie?

Dzieci pokiwały głowami, nerwowo spoglądając na mundurowych. Laura zaintonowała piosenkę, starając się ukryć drżenie głosu. Łudziła się, że zdoła dodać swoim uczniom otuchy.

– Głośniej!

Drżące głosy coraz mocniej rozbrzmiewały. W pewnej chwili dziewczynka ściskająca lalkę w garści podbiegła do Laury i się rozpląkała. Kobieta odruchowo objęła dziecko. Zimne spojrzenie Niemca nie pozwoliło jej przerwać śpiewu.

– Niech to przestanie być! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Śpiewać! Śpiewać!

Laura mocniej przytuliła dziewczynkę. Otarła jej łzy, lecz wciąż czuła wstrząsające jej wątłym ciałem spazmy.

– A może nam potańczą? – spytał, zanosząc się głośnym śmiechem jeden z policjantów.

– Śpiewać i tańczyć – podchwycił umundurowany meloman.

Dzieci spoglądały na Laurę, nie rozumiejąc poleceń wydawanych przez Niemców. Nauczycielka złapała wtuloną w nią dziewczynkę i zaczęły się kręcić.

– Musimy zatańczyć, a później wrócimy do szkoły – obiecała, starając się, by jej głos brzmiał beztrzesko.

– I zjemy supę? – zapłakana dziewczynka odważyła się odezwać.

Laura uśmiechnęła się do niej nieznacznie. Kolejni uczniowie zaczęli się niemrawo poruszać. Zesztywniałe ze strachu ciała odmawiały posłuszeństwa. Piosenka cichła.

– Nie chce wam się tańczyć, żydowskie pomioty?

– Śmierdzące żydowskie gnojki! Dajemy wam żreć, a wam się nie chce nawet tańczyć. Marnujecie nasze pieniądze!

– Utrzymywac takie bydło to obraza dla zwierząt – oficer z wycelowanym karabinem splunął wprost na stojącego najbliżej niego chłopca. – Tańczyć, póki możecie! – I wystrzelił krótką serię, celując kilka centymetrów od nóg.

Przeżalone dzieci zaczęły krzyczeć i pierzchać na boki. Dziewczynka tańcząca z nauczycielką schowała się za jej plecami i zatkała uszy.

– Tańczyć! Tańczyć! – wykrzykiwał jak w transie policjant. Nagle zaczął strzelać. Tym razem nie zamierzał tracić naboju. Celował umiejętnie. Naboje na wojnie to towar deficytowy. Zapamiętał naukę kapitana, który wszystkim pułkującym na ćwiczeniach kazał przez kilka godzin człogać się w błocie.

Kolejne dzieci upadały, krzycząc z bólu i strachu. Nieliczni szczęśliwcy, którzy zdążyli przejść za furtkę, pobiegli ukryć się w szkole. Laura tuliła płaczącą dziewczynkę. Nie czuła płynących po twarzy łez. Słowa więzły jej w gardle. W pewnej chwili chwyciła dziecko za rękę i pociągnęła w stronę wejścia na teren szkoły. Wiedziała, że innym nie zdoła pomóc. Nie wypuszczała z dłoni drobnych paluszków dziecka. Kule świstały wokół. Nie oglądała się za siebie. Biegła tak szybko, jak pozwalała jej na to dziewczynka. Nagle poczuła szarpnięcie. Obejrzała się. Śnieg wokół niej poczerwieniał. Leżące na nim dziecko traciło oddech. Widziała uchodzące życie. Życie, któremu nie dane było rozkwitnąć.

Od śmierci pięciorga uczniów minął tydzień. Za każdym razem, gdy Laura zbliżała się do szkoły, czuła strach. Wciąż przed oczyma miała zakrwawione ciała dzieci i lęk wryty na twarzy malarzkiej dziewczynki tulącej lalkę.

– Kochanie, chcesz rumianku? – spytał Dawid, gdy wszedł do pokoju.

Pokręciła głową mechanicznie. Od feralnego dnia Dawid robił wszystko, by wyrwać żonę z tego stanu otępienia. O pomoc poprosił też braci. Ci bardzo przejęli się zadaniem i ciągle zaczepiali Laurę, usiłując sprowokować ją do rozmowy. Raz niemal się pobili na jej oczach, kłócąc się o to, kto lepiej recytuje wiersze Słowackiego. Kobieta patrzyła na ich poszturchiwania, ale nie miała siły otworzyć ust. Widziała przesuwane obok niej obrazy, ale nie była w stanie zmusić się do działania.

– Przyniosłem trochę cukru. Matka wczoraj kupiła też chleb. Może chcesz pajdę z cukrem?

Laura pokręciła głową i odwróciła twarz do okna.

Dawid patrzył na kobietę, która była dla niego wszystkim i czuł się rozpaczliwie bezradny, nie potrafił jej pomóc. Musiał coś zrobić, dlatego poprosił braci, by nie wracali do domu prosto po lekcjach. Obiecał też kierownikowi w resorcie, że jutro zostanie dłużej w pracy. Dzięki temu ten zgodził się, żeby dzisiaj wyszedł wcześniej.

– Musisz jeść, żeby znowu się nie rozchorować. – Zmarszczył brwi i przyklęknął przed sztywno siedzącą na krześle żoną. – Nie zniosę, jeśli znowu zachorujesz. Tak bardzo się wtedy o ciebie bałem.

– Może lepiej byłoby, gdybym wtedy umarła? – szepnęła, wciąż na niego nie patrząc.

– Co to za bzdury? – oburzył się i złapał jej podbródek, zmuszając, by na niego spojrzała. – Nigdy, przenigdy tak nie mów – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Jesteś moją największą radością. To ty sprawiłaś, że w tym potwornym świecie wciąż widzę kolory, czuję zapach i słyszę śpiew ptaków czy szum wiatru. Uwielbiam twój szczery śmiech. Dzięki niemu mam chęć przeżyć kolejny dzień. Nie mów więc, że żałujesz, że żyjesz.

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, jakby wahała się, czy może pozwolić sobie na wypowiedzenie na głos swoich myśli.

– Nie rozumiesz? – Teraz patrzyła na niego wyzywająco. – One zginęły przeze mnie! Mam na rękach krew pięciorga niewinnych dzieci, które mi zaufały.

– To mogło przydarzyć się każdemu – szepnęła, wkładając za ucho kosmyk zasłaniający jej bladą twarz.

– Inni nie wyprowadzili dzieci na zewnątrz. Nie kazali im śpiewać! – Poderwała się z krzesła. – Nie miałam prawa narażać ich życia! Jestem głupia. Nie powinnam się zbliżać do dzieci!

Dawid podszedł do żony i chwycił ją mocno za ramiona.

– To nie ty pociągnęłaś za spust. To nie ty śmiałaś się ze śmierci.

– Ale to przeze mnie do tego doszło – wyjaśniała, ciężko oddychając.

– Nie wolno ci tak myśleć. Kochasz swoją pracę, kochasz dzieci. I one to wiedzą. Teraz jeszcze ty sama musisz w to uwierzyć.

Laura spuściła wzrok. Nie była już w stanie zapanować nad łzami. Przyłgnęła do piersi Dawida i długo łkała. Chciała, by wraz ze łzami wypłynęły z jej serca ból i gorycz. Nie znosiła tego straszego ucisku w żołądku, od którego nie mogła się uwolnić.

Nie spieszał jej, delikatnie tulił wychudzone ciało. Widział, że nie odzyskała pełni sił po chorobie. Nie zdołała też powrócić do wagi sprzed kilku tygodni.

Od tak dawna się nie przytulali, że teraz Dawid zaczynał czuć budzące się pożądanie. Oparł głowę na ramieniu Laury i wciągnął jej zapach. Pocałował jej szyję. Później powiódł ustami po jej policzku, aż trafił na słodycz warg. Całował je do utraty tchu. Marzył o tej chwili od dawna. Co noc śnił o tym, że zasypiają wtuleni w siebie. Wyobrażał sobie, jak obejmuje i pieści jej ciało.

Moment opamiętania pojawił się niespodziewanie. Mężczyzna odsunął się o krok i ze strachem spojrzął na ukochaną. Powoli otworzyła powieki i wtedy dojrzał w nich pożądanie. Nie potrzebowali słów. Ich ciała drżały z ekscytacji. Dawid porwał Laurę na ręce i przeniósł na

łóżko. W pośpiechu zdejmowali ubrania spragnieni dotyku swych ciał. Dawid rozkoszował się, słuchając miłosnych westchnień żony. Nareszcie stanowili jedność.

ROZDZIAŁ VII NIEDOMÓWIENIA

Kraciasta chustka leżąca na stoliku z dwóch stron przyciśnięta była małymi kamykami. Wpatrzeni w nie chłopcy nerwowo obgryzali paznokcie, planując ruch, który pogrzyźby przeciwnika. Eliasz jasne kamyki wprawnie przesuwiał po materiale imitującym planszę do gry w warcaby. To już trzecia rozgrywka tego dnia i żadnej nie przegrał. Gdyby nie było z nimi Laury, zdołałby wyciągnąć od Józefa procę, którą ten zrobił wiosną i dzięki niej stał się królem podwórka. Nie znosił brata i jego pomysłowości. Dlatego tak chętnie dawał mu bęcki, gdy tylko miał ku temu okazję. Szczególnie dobrze mu to wychodziło podczas gry w warcaby.

– Nie możesz bić do tyłu – zaprotestował Eliasz, zmrużywszy oczy, gdyż czuł narastającą złość.

– Ale to podwójne bicie, więc mogę – upierał się Józef.

– To niezgodne z zasadami.

– Chyba ich nie znasz. Zawsze tak zbijałem pionki i nie paplałeś głupot.

– Głupoty to ty bredzisz, bo znowu przegrywasz, patałachu.

– Myślisz, że jesteś taki cwany, bo wygrałeś w warcaby? – Józef nachylił się nad stołem, niemal dotykając nosa Eliasza. – Beze mnie na podwórku byłbyś śmieciem, więc przestań się puszyć i wymyślać nowe zasady, żeby tylko wygrać – oświadczył, przesywając go wzrokiem.

– Chłopcy, mama nie byłaby zadowolona, gdyby dowiedziała się o tej kłótni – wtrąciła się Laura, która szykowała się, żeby zrobić pranie. Do kieszeni fartucha włożyła kawałek mydła. Do dużej balii wepchnęła ubrania, a na nich położyła tarę. Wodę wystawioną w wiadrach na podwórku na pewno zdążyła ogrzać lipcowe słońce. Mogła więc zejść na dół.

– Ale to on zaczął – poskarżył się Józef. – Zawsze zaczyna, a później to ja dostaję burę.

– Jeśli nie macie innego pomysłu na wspólne zabawy, to zapraszam do pomocy przy praniu. Przynajmniej zrobicie coś pożytecznego.

– Ale to nie ja zacząłem. – Józef próbował się tłumaczyć.

– Skoro nie zacząłeś, to możesz skończyć – ucięła dyskusję i przekazała chłopcom balię. Sama zaś wzięła tarę i uśmiechając się pod nosem, podreptała do drzwi.

Naburmuszone miny nastolatków nie pozostawiły jej żadnych wątpliwości, że w tej chwili nie należy do ich ulubienic. Wiedziała, że te fochy wcześniej czy później miną i znowu będą chcieli, żeby po raz kolejny opowiedziała im o przygodach Guliwera czy Robinsona Crusoe. Uwielbiali, gdy każdej postaci nadawała inne brzmienie głosu. W długie zimowe wieczory siadali obok Laury na łóżku i otuleni pierzyną słuchali jej opowieści.

A teraz szli po skrzypiących schodach, od czasu do czasu pokrzykując na siebie, bo a to któryś za mocno szarpnął, a to za szybko szedł. Laura szła z nimi jak cień i tylko dlatego, że o tym wiedzieli, jeszcze nie zaczęli się bić. Gdy wyszli na zalane słońcem podwórko, wskazała im miejsce, gdzie rano zaniosła dwa wiadra z wodą. Chłopcy ustawili balię tuż obok nich. Wyjęła z niej ubrania i wlała wodę.

– Co ty wyprawiasz? – usłyszała za plecami głos męża. – Przecież nie powinnaś tego robić.

Cała trójka spojrział na niego pytająco.

– Miałaś uważać na siebie – wyjaśnił, patrząc na nią z wyrzutem. – Tak się umawialiśmy, pamiętasz?

– Kochanie, wszystko jest dobrze. – Podeszła i przytuliła się do niego.

– No nie wytrzymam. – Eliasz odwrócił wzrok z obrzydzeniem. – Naprawdę musicie to robić?

– Przecież nie ma w tym niczego złego – zauważył Józef.

– Ta, jasne – odparł bliźniak.

– Tobie nic nie pasuje.

Tymczasem Dawid pociągnął żonę na bok.

– Być może ojciec żyje – szepnął, kątem oka obserwując braci, by mieć pewność, że nie podłuchują.

– Co?!

– Ciiii. – Zakrył jej usta. – Chodźmy porozmawiać, póki nie ma matki. Nie chcę robić jej nadziei.

– Panowie, pranie należy do was. – Laura uśmiechnęła się przekornie. – Macie szansę się wykazać.

– Co?! – obruszył się Eliasz. – Nie będę niczego prał.

– No trudno, to w takim razie tylko Józef posłucha kolejnej przygody trzech muszkieterów – oświadczyła z udawanym smutkiem. – Tu jest mydło, tylko nie zostawcie go w wodzie, żeby się nie rozpuściło.

Laura określiła się na pięcie i chwyciwszy męża za rękę, weszła na schody. Szła powoli, bo po całym dniu opiekowania się dziećmi na Marysinie była naprawdę zmęczona. Cieszyła się, że i w tym roku może pracować na koloniach dla dzieci, ale ostatnio właśnie to ciągłe zmęczenie bardzo jej doskwierało.

W przedpokoju przywitała ich poszarzała twarz Daniela, która od wiosny gasła w oczach. Nie pracowała, ledwie była w stanie wyjść do wychodka ustawionego w rogu podwórka. Bezradnie patrzyła na wychodzące do pracy dwie najstarsze wnuczki, a kiedy zamykały się za nimi drzwi, płakała bezgłośnie, w duchu przeklinając dzień, kiedy przestała panować nad losem swojej rodziny.

– Zuzanna i Samuel wrócili zachwyceni po dzisiejszej wycieczce na Marysin – powiedziała Daniela i szurając, powlokła się do kuchni.

Laura uśmiechnęła się zyczliwie i pomogła kobiecie usiąść. Od początku wakacji każdego dnia zabierała swoich szwagrów oraz dwójkę najmłodszych wnucząt Baskinów i prowadziła ferajnę w jedyne zielone miejsce w getcie, miejsce, w którym niebo zdawało się bardziej błękitne, a słońce zdecydowanie mocniej grzało. Śmiech dzieci zagłuszał ryk wojskowych samochodów wywożących wyprodukowaną w resortach odzież czy obuwie.

– Czy nalać pani wody? – zaproponowała, ale Daniela myślami była już w zupełnie innym miejscu. W miejscu, w którym istniało pojęcie wolnej woli.

– Lepiej idźmy do siebie – ponaglił ją Dawid i wszedł do ich małego pokoju.

Przez otwarte okno wpadło do środka kilka much wirujących w oszalałym tańcu pod sufitem. Wąska firanka lekko falowała na wietrze, uderzając o doniczki, w których rosła mięta i szałwia. Namiastka ogrodu stanowiła dla Abigaili powrót do wspomnień z mieszkania, w którym na każdym parapiecie stały zdobione gliniane donice z zieleniacyami się pędami pomidorów, gęstym szczypiorem i nacią pietruszki.

Dawid zamknął drzwi i przez chwilę chodził po pokoju, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Laura patrzyła, jak się miota, ale nie ponaglała go. Usiadła na równo zaścienionym łóżku i czekała. Wreszcie przyklęknął przed nią, chwycił jej dłonie i ucałował.

– Wydaje mi się, że ojciec może wciąż żyć – zaczął, patrząc jej w oczy, jak gdyby szukał akceptacji tego szalonego pomysłu.

– Wiesz, że pragnę tego tak samo jak ty, ale wkrótce miną dwa lata, odkąd trafił do więzienia. Myślisz, że tak długo nie dotarłaby do nas żadna informacja o tym, czy żyje? – Pogładziła jego brodę, której od dawna nie miał czym zgolić.

– Nie wiem. Nic już nie wiem, ale pojawiła się nadzieja. Może jestem wariatem, ale zacząłem zadawać sobie pytanie, czy istnieje szansa, że ojciec przeżył. – Gwałtownie wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Wiem, że to szaleństwo, ale ten Niemiec opowiadał o wielu obozach pracy budowanych w Polsce, do których wywożą więźniów skazanych na przymusowe roboty. Przecież ojciec nie był przestępcą. Dlaczego miałby dostać wyrok śmierci? To nielogiczne, prawda? – Zatrzymał się i spojrzał na nią wyczekująco.

– Owszem, ale podczas wojny niczego nie można wykluczyć – stwierdziła i podeszła do niego.

Patrzyła w jego roziskrzone nadzieją oczy. Już dawno go takiego nie widziała. Dotknęła jego dłoni i pociągnęła, chcąc, by usiadł wraz z nią na łóżku.

- Czego jeszcze się dowiedziałeś?
 - Do resortu przyszedł jakiś porucznik Kripo, żeby sam kierownik zdjął z niego miarę na zimowy płaszcz. Widocznie znali się wcześniej, bo ten szwab pytał go o córkę i żonę, a później podsłuchałem, jak opowiadał o nowych obozach pracy. Podobno największy jest pod Oświęcimiem. Niemcy nazywają go Auschwitz. Wielu więźniów tam wywieźli, żeby pracowali, zamiast beczynnie gnić w celach.
 - Masz pomysł, jak się dowiedzieć, czy twój ojciec też tam trafił?
 - Już gadałem z kierownikami, ale on nie chce się w to mieszać. Obiecał mi jedynie, że mogę wejść do biura, gdy ten porucznik przyjdzie do miary i spróbować go wypytać.
 - To już coś. Żeby tylko zechciał z tobą rozmawiać.
 - Szwarc powiedział, że to dobry człowiek.
 - Wierzysz, że któryś z tych oprawców może być dobrym człowiekiem? – zastanawiała się na głos.
 - Nie mam pojęcia, a to, co każdego dnia widzę na ulicach, każe mi wątpić – zamyślił się.
- Próbowała wyobrazić sobie, co teraz dzieje się w głowie Dawida. Jej nie było dane mieć takich dylematów. Na wspomnienie śmierci swoich rodziców poczuła kamień w żołądku. Ostrożnie dotknęła brzucha i powolnymi ruchami zaczęła go masować. Po chwili mięśnie się rozluźniły.
- Myślisz, że powinienem powiedzieć o tym matce?
 - Sądziś, że poradzi sobie z rozczarowaniem, jeśli twoje podejrzenia się nie potwierdzą?
 - Może rzeczywiście lepiej będzie poczekać na jakieś konkretne informacje. – Zasepił się, ale po chwili jakby na nowo się obudził, szybko się otrząsnął i położył głowę na kolanach Laury. – Kocham cię – wyznał. – Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby nas rozdzielić. – Podniósł głowę, a uśmiech wypłynął na jego usta. – Zwłaszcza teraz – dodał szelmowsko.

* * *

Mglisty poranek otulał wilgocią szare ulice getta. Zakurzone budynki w końcu odzyskały blask po nocnym deszczu, który skapał całą Łódź. Kilkudniowy upał wykończył wszystkich mieszkańców miasta. Spływający zewsząd kurz osiadł na dnie kałuż rozlewających się po brukowanych ulicach. Drzewa łączywie chwytały krople deszczu, a o brzasku stroszyły lśniące liście niczym ptasie piórka.

Dawid przyspieszył kroku. Chciał jak najszybciej znaleźć się w pracy. Szulc zapowiedział, że to właśnie dzisiaj w fabryce pojawi się porucznik, by przymierzyć palto. To było źródło nadziei Dawida. Źródło, o którym myślał od kilku bezsensownych nocy. Potrzebował informacji o ojcu. Na razie nie wyjawiał swoich podejrzeń nikomu oprócz żony.

Skręcił z Brzezińskiej we Franciszkańską i ruszył w stronę Źródłowej. Stamtąd już tylko kilka kroków dzieliło go od resortu krawieckiego realizującego zamówienia dla niemieckiej armii. Uśmiechnął się pod nosem, patrząc na swoje oberwane ubrania i pomyślał o tym, jaki los bywa przewrotny. Pracował w miejscu, w którym codziennie szyto setki nowych koszul, spodni i marynarek, a nawet bielizny, ale żaden Żyd nie miał prawa nabyć choćby jednej sztuki. Dawid wiedział, że szwaczki po kryjomu wynosiły ścinki materiałów, żeby załatać dziury w ubraniach rodzin. Sam też raz czy dwa spróbował coś ukraść, jednak tak bardzo się tym denerwował, że wrócił do domu pąsowy i spocony. Wiedział, że to był jedyny sposób, by Józef i Eliasza mieli załatane spodnie.

Przed bramą wejściową do resortu stało już kilkudziesiąt osób. Punktualnie o szóstej zgarbiony cieć pchnął wielkie wrota i pracownicy weszli do środka. Dawid zaczął przed budynkiem, aż szwaczki wejdą do hali. W tym czasie wyjął z kieszeni spodni pogiętego papierosa. Zwykle nie palił, ale dzisiaj nie mógł się opamiętać. Wiedział, że jeśli nie zapanuje nad emocjami, może stracić swoją szansę, a tego by sobie nie wybaczył. Próbował zapalić zapalke, ale trzęsące się dłonie nie ułatwiały mu zadania. Wreszcie się zaciągnął. Duszący dym szybko wypełnił jego płuca. Zakrzusił się, ale nie wyrzucił papierosa. Potrzebował go. Potrzebował informacji. Potrzebował ojca. Jego myśli pogalopowały do Laury. Nie mógł pozwolić sobie na słabość. Nie teraz. Pociągnął ostatni raz i wyrzucił peta pod nogi.

Przydepnął niedopałek i wszedł do budynku. Usiadł za biurkiem i otworzył przepastne księgi rachunkowe. Godziny się dłużyły. Do umówionej wizyty porucznika pozostały trzy kwadranse. Dawid poszukał w kieszeni jeszcze jednego papierosa, choć doskonale wiedział, że go nie znajdzie. Zaczął więc maszerować po biurze, nerwowo spoglądając na zegar. Dwie minuty przed spodziewaną wizytą wszedł do niewielkiego biura, w którym na co dzień urzędował kierownik.

– Mogę zaczekać? – spytał.

Mężczyzna nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Musiał skończyć fastrygować rękaw. Został mu jeszcze spory kawałek do zszycia.

Dawid chwycił pudełko ze szpilkami i zaczął wędrować z nim po niewielkim pomieszczeniu.

– Stop! – oburzył się kierownik. – Czy ty chcesz, żeby ja dostał oczopląsa? – zapytał, kalecząc język polski, którego wciąż do końca nie opanował, choć w Polsce osiedlił się kilka lat temu.

– Nie, nie. Przepraszam. – Dawid nie chciał zdenerwować kierownika.

– Ty lepiej udawać, że wiesz, ile szpilka mi podać – polecił, poprawiając zsuwające się z nosa okulary.

Dawid dopiero teraz dostrzegł, że kierownik ma na sobie fartuch. Na co dzień nie musiał go nosić, gdyż jego zadaniem było pilnowanie produkcji. Dawid czuł, że ten porucznik to ktoś wyjątkowy dla Szulca i stąd jego zaangażowanie.

– Dać dwie szpilki.

Dawid wykonał polecenie.

– Tylko nic nie mówić, dopóki ja nie wybadam teren.

– Zaczekam – obiecał, choć aż kipiał z emocji.

Pół godziny później drzwi otworzyły się i do środka wszedł przystojny, jasnowłosy mężczyzna w oficerskim mundurze. Nie okazał zaskoczenia, ale jedno spojrzenie wystarczyło, by Szulc wiedział, że nie będzie tak jak dawniej, gdy widywali się w Berlinie.

– Dzień dobry, czy mój płaszcz gotowy? – spytał po niemiecku policjant.

– Od wczoraj czeka na porucznika – gładko, w tym samym języku skłamał Szulc, unikając wzroku Dawida.

– Mam nadzieję, że tegoroczna zima w Polsce nie będzie tak ostra.

– Też tego nie znoszę w tym kraju.

– Dupsko odmarza i nie chce się nosa wychylić, ale Hitler nie potrafi zrozumieć, że w tej krainie lodu nie ma warunków do życia dla cywilizowanych ludzi.

Dawid nie wszystkie słowa rozumiał, lecz był w stanie uchwycić ogólny sens wypowiedzi. Zagryzł wargę. Musiał posłusznie zaczekać na swoją okazję.

– Pan porucznik pamięta nasze jesienie i zimy? Więcej było liści na drzewach niż śniegu – roześmiał się Szulc, pokazując braki w uzębieniu.

Przez chwilę milczeli, wygładzając poły płaszcza, nad którym pracował krawiec.

– Dorobił się pan pomocnika? – Dawid poczuł, że to o nim mowa i spuścił wzrok, czekając na znak od Szulca. Zdziwił go jednak szacunek, którego dotychczas nie słyszał w głosie żadnego innego Niemca.

– To nasz buchalter – wyjaśnił. – Ale od czasu do czasu pomaga przy obsłudze wyjątkowych klientów.

Dawid oddychał coraz szybciej, czuł, że w ustach zupełnie mu zaschło.

Chciał mieć tę rozmowę jak najszybciej za sobą.

– Chłopak jest pomocny, ale ma problem, bo jego ojciec trafił do więzienia i wieść o nim zaginęła.

– Przestępcy trafiają do aresztu i nie ma w tym nic dziwnego – powiedział porucznik tak lekko, jakby mówił o wczorajszym deserze, który wyjątkowo nie udał się kucharzowi.

– Jego ojciec nie był przestępcą, tylko wykładowcą – nieco ciszej wyjaśnił krawiec.

– Nie nam osądzać, kto zasługuje na więzienie, a kto nie. Rzesza jest sprawiedliwa dla tych, którzy jej nie szanują.

Dawid cierpiał, gryząc się w język, wiedział jednak, że wszelkie dyskusje są jałowe.

– Wspominał pan porucznik o obozach pracy dla więźniów – ciągnął Szulc niezrażony. – Może jego ojciec tam wyładował?

– Możliwe. – Niemiec pokiwał głową bez większego przekonania.

– Wielu więźniów wysyłacie do takich obozów?

– Z tym bywa różnie.

Dawid niemal natychmiast wyczuł fałszywą nutę w głosie Niemca.

– A do Auschwitz wysyłacie naszych?

– Wysyłamy tam, gdzie akurat zwolnią się miejsca.

Dawid czuł rodzącą się iskierkę nadziei. Skoro były wolne miejsca, to znaczyło, że ktoś musiał opuścić obóz. Wystarczyło się dowiedzieć, czy ojciec do któregoś trafił.

– Czy pan porucznik zechce rozpytać o los mojego ojca? – Dawid odważył się odezwać.

Mężczyzna najpierw spojrzął na Szulca, ale ten unikał jego wzroku. Potem zwrócił się do Dawida.

– Nie mam takich możliwości – odparł stanowczo.

– Błagam, niech mi pan pomoże. – Dawid wpatrywał się w policjanta z nadzieją i wyczekiwał na jego odpowiedź. Ten jednak milczał.

Zegar wiszący tuż przy drzwiach głośno odmierzał każdą sekundę. Te zmieniały się w minuty. Mężczyźni w ciszy mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Dawid doznał olśnienia. W kieszonce koszuli tuż nad prawą pierśią wymacał maleńki przedmiot. W myślach zląął się za kradzież. Tak, musiał nazwać sprawę po imieniu. Zacisnął zęby i wyjął zawiniątko. Rozłożył chusteczkę, pokazując, co kryje w środku.

– To na poczet kosztów związanych z uzyskaniem informacji – odezwał się i wyciągnął bezcenny przedmiot.

Porucznik przez chwilę przyglądał się, jakby nie rozumiał, co ma zrobić.

– Niech pan porucznik przyjmie ten podarunek – zachęcał Szulc. – Dawid to dobry chłopak. Ufa panu i wie, tak jak ja, że dobre serce należy doceniać. Niechże pan porucznik weźmie ten drobiazdek. Żona doceni prezent – dodał ze smutkiem.

Porucznik się wzdygnął. O mały włos jego losy potoczyłyby się inaczej i obecną rozmowę mógłby prowadzić ze swoim teściem. Na wspomnienie dotyku dłoni Elizy, jej zapachu i smaku pięknych ust głośno westchnął. Oszałał na jej punkcie. Wieczorne schadzki, które przedłużał w nieskończoność, skradzione potajemnie przed rodzicami pocałunki, spacer w blasku zachodzącego słońca i niedzielne obiady w towarzystwie rodziny Szulca stanowiły sedno jego młodości. A potem przyznał się matce, że chce się oświadczyć Elizie. Pamiętał wzrok kobiety, którą do tamtej chwili szanował jak nikogo innego na świecie. Jej słowa kłuły niczym gwoździe wbijane w każdy skrawek jego ciała. Kamienna twarz matki nie zdradzała żadnych emocji. Wyrzuciła z siebie lawinę zdań, z których po dziś dzień zapamiętał jedno: „Żydowska kurwa nie zostanie żoną mojego syna”.

Być może był zbyt słaby, żeby walczyć o miłość. A może po prostu nie wierzył, że jest w stanie przeżyć bez majątku matki, hrabiny. I chyba właśnie świadomość tej bezradności mściła się na nim od dziesięciu lat. Piękna żona, rodowita Niemka czekała w domu, który nie kojarzył mu się z ciepłem rodzinnym. To było miejsce, do którego przed wojną wracał codziennie i zastanawiał się, co robi ze swoim życiem. Gdy wybuchła wojna, poczuł, że wreszcie rozwinie skrzydła, oderwie się od ziemi i poszybuję wysoko i daleko od miejsca, gdzie nałożono mu pęta na nogi.

Przypadkowe spotkanie z Szulcem otworzyło stare rany i obudziło głęboko skrywane uczucia. Wiedział, że ośmieszyłby się, gdyby zapytał o Elizę, a jednak za każdym razem pragnął tego jak niczego na świecie. Palto? Mógł chodzić w każdym. Nie potrzebował sztygo na miarę. A jednak, kiedy dowiedział się, że Szulc jest kierownikiem szwalni, zrobił wszystko, by się z nim spotkać. A może łudził się, że w tym miejscu znajdzie również Elizę?

Odgonił tę myśl i zmusił się, by przywołać obraz żony. Czekala na niego w dużej posiadłości nad jeziorem. Na pewno ucieszyłaby się, gdyby coś takiego jej podarował. Pomyślał, że musi poprosić o przepustkę. Musi to zrobić dla żony.

– Niczego nie obiecuję – powiedział porucznik Eryk Braun.

– Nikt tego nie wymaga – pośpieszył z odpowiedzią Szulc.

– Popytam tu i tam – dodał, po czym wziął podarunek i niedbale wrzucił go do kieszeni spodni, by pokazać, że nie dlatego obiecał pomoc.

– Dziękuję, panie poruczniku – zwrócił się do niego Dawid.

– Zapraszam po odbiór płaszcza pod koniec tygodnia – dodał krawiec.

Policjant odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z biura. Natłok myśli wywołał ból głowy. Ruszył różnym krokiem w stronę auta, którym przyjechał. Coś go jednak kusilo, by się odwrócić. Zerknął za siebie. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że w jednym z dużych okien dostrzegł znaną sobie postać. Chciał biec, by chwycić ją w ramiona. Poczuc miękkosć jej włosów i słodki zapach ciała. Wiedział, że to wspomnienie musi odejść w niepamięć. Raz podjętą decyzją skrzywdził siebie i jedyną kobietę, którą kochał całym sercem i duszą.

– Panie poruczniku, dokąd teraz? – usłyszał pytanie za swoimi plecami.

Niespodziewany powrót świadomości nakazał mu jak najszybciej uciec z tego miejsca. Przyspieszył kroku i po chwili wsiadł do auta.

* * *

Abigail oberwała uschnięte liście pomidorów pnących się po wetkniętych w doniczki tyczkach i roztarła je w dłoniach. Uwielbiała zapach roślin. Spojrzała na suszące się na parapecie nasiona pomidorów. Szykowała je do wiosennego siewu. Wiedziała, że wkrótce lato się skończy. Chociaż nie chciała, musiała myśleć o przyszłości. Podświadomie czuła, że nadchodzą zamiany, a ona wciąż tęskniła za przeszłością. Podeszła do łóżka i przesunęła dłonią pod siennikiem. Obudzona nadzieją zaczęła pączkować. Czasem wystarczył jej dotyk. Nie musiała widzieć jedynej pamiętki, którą było jej dane zachować prócz wspomnień. Teraz usiłowała wyczuć maleńkie zawiniątko pod pościelą. Nie zdołała. Przyklękła przy łóżku, przeszukując siennik raz za razem, ale i to nie przyniosło efektu. Niczym w transie zaczęła rozpruwać szwy. Nie zwracając uwagi na sypiącą się wokół słomę, przeszukiwała poszwę. Nie usłyszała zbliżających się kroków. Musiała odnaleźć pierścionek, bezcenne wspomnienie największej miłości, jaką przeżyła.

– Mamo, co się dzieje? – Eliasz podbiegł do matki i chwycił ją za dłoń.

– Nie ma. Nie ma – powtarzała niczym w transie. – Nie ma go!

– Mami, czego? Czego nie możesz znaleźć? – dopytywał Józef, który wszedł do pokoju za bratem.

– Pierścionek zaręczynowego – wyjaśniła łamiącym się głosem. – Powinien gdzieś tu być.

– Może schował się gdzie głębiej. – Eliasz przyklękł przy matce i również zaczął szukać.

– Mami, podnieś się, my poszukamy – namawiał ją Józef.

Kobieta jednak nie zamierzała się poddać. Przeszukiwała znajdującą się wokół niej rozrzuconą na boki słomę, łudząc się, że coś przegapiła. W międzyczasie odgarnęła z czoła kilka srebrnych kosmyków, które wysunęły się z koka upiętego rankiem przed wyjściem do pracy. Jej zmęczona twarz naznaczona licznymi zmarszczkami zdradzała trudy życia w getcie. Dotychczas nie pracowała. To Izrael Lewiatan zajmował się zarabianiem pieniędzy na utrzymanie domu, a że pensja wykładowcy nie była w stanie pokryć wszystkich wydatków, to za pieniądze z posagu żony zakupił kamienicę w centrum Łodzi i wynajmował mieszkania lokatorom. To była opłacalna inwestycja, która przez wiele lat dawała im stały dochód. Teraz nikt nie wiedział, co się stało z ich majątkiem.

Abigail z nadzieją spojrzała na synów, którzy zdołali wyrzucić na podłogę większość słomy. Zwinęła się w kłębek na podłodze i bezgłośnie zaczęła płakać. Józef przytulił głowę do jej pleców i szukał odpowiednich słów.

– Mami, znajdziemy go – obiecał.

– Ktoś musiał go zabrać – orzekł wreszcie zmęczonym głosem Eliasz i otarł pot z czoła.

– Co ty bredzisz? – oburzył się Józef. – Nikt nie mógł wejść do naszego pokoju. A zresztą chyba nie podejrzewasz Baskinów o złodziejstwo?

Eliasz nie odpowiedział. Wolałby nie rzucać bezpodstawnych oskarżeń, ale nie miał żadnych dowodów na to, że nie zrobił tego nikt z domowników. Może i Józef miał dużo za uszami, ale nie byłby w stanie zabrać pamiętki po ojcu. Wiedział, ile ten pierścionek znaczy dla matki.

W tym przypadku szukałyby gdzie indziej. Od blisko półtora roku żyli wspólnie, pomagali sobie w trudnych chwilach. Matka wielokrotnie podkreślała, że mieli dużo szczęścia, trafiając na tak życzliwych ludzi. Być może jednak Baskinowie uśpili ich czujność i wykorzystali otwartość.

Gdy cała trójka trwała zatopiona we własnych myślach, do pokoju wszedł Dawid z żoną. Dzisiaj poszedł po nią na Marysin. Nie mógł się doczekać, by móc ją pocałować i przytulić. Coraz bardziej brakowało mu tej bliskości. Chwile, które mieli dla siebie, były zbyt krótkie.

– Co wy wyprawiacie? – oburzył się mężczyzna, widząc panujący wokół bałagan. – Czy wyście poszaleli? Widzicie? Przez was matka płacze! – nie krył irytacji, podchodząc do leżącej na podłodze kobiety, by pomóc jej wstać.

– Daj spokój, zaraz posprzątam. – Laura ruszyła z odsieczą, wrokiem bombardując szwagrów. – Do wieczora siennik będzie nówka sztuka – spróbowała zażartować.

– Ktoś ukradł pierścionek mamy – nie wytrzymał Józef i zaczął wypychać do siennika słomę.

– Nie ktoś... – wtrącił się Eliasz i znacząco przewrócił oczyma. – Mieszkamy ze złodziejami.

– Przezań! – stanowiący głos Dawida nie pozostawił wątpliwości, że nie zgadza się z tym przedwczesnym osądem. – Bredzisz.

– Tylko ktoś od nich mógł zabrać pierścionek.

– Mówię ci, skończ! – nalegał Dawid, sadzając matkę na krześle. Później ukląkł przy niej, objął jej dłonie i pocałował. Milczała, unikając jego wzroku. Otarł więc wierzchem dłoni jej policzki i zebrał się w sobie. – To ja wziąłem pierścionek – zaczęła, czekając na reakcję matki, która powoli podniosła smutny wzrok, lecz milczała. – Musiałem spróbować dowiedzieć się czegoś o ojcu. Nie chciałem ci robić nadziei, dlatego milczałem. Wiem, że się zdenerwowałaś, ale nie mogłem inaczej.

– O ojcu? – powtórzyła, jakby przebudziła się z długiego letargu. – O czym ty mówisz?

– Okazało się, że... To znaczy mam nadzieję, że uda się odnaleźć ojca – wyjaśnił, a w jego głosie słychać było radość, której tak bardzo brakowało w ich domu. Być może wkrótce to się zmieni. Bardzo tego pragnął. Nie dla siebie, bo jego największa radość właśnie krzątała się obok niego. Każdego dnia widział miotającą się po mieszkaniu matkę, która niczym automat wykonywała wszystkie czynności, choć większość z nich nie sprawiała jej radości. Od czasu do czasu próbowała żartować z dziećmi. Wiedział, ile ją to kosztowało. Tym bardziej czuł wdzięczność dla Laury, która w znacznej mierze przejęła opiekę nad chłopcami. Czasem zastanawiał się, skąd jego żona ma tyle cierpliwości. W takich momentach wyobrażał sobie, jaką sama byłaby matką.

– Ojciec żyje? Skąd wiesz? Gdzie jest? Jak go znalazłeś? – dopytywała, nie dając mu szans na odpowiedź.

– Mamo, na razie czekam na informację, ale istnieje szansa na to, że ojciec przeżył i trafił do obozu pracy razem z innymi więźniami politycznymi.

– Modłę się o to każdego dnia – powiedziała, a jej oczy się rozjaśniły. – Kiedy będziesz coś wiedział?

– Jutro. Muszę poczekać, aż pewien porucznik wróci na przymiarkę do Szulca.

– Niemiec? Im nie można ufać!

– Mamo, to nasza jedyna szansa. Nikt nie wie, co się dzieje za drutami. Tylko ktoś od nich może nam pomóc.

– Ale nie Niemiec ... – dodała bezradnie, a jej twarz znowu pobladła, sprawiając, że cała sylwetka zdawała się jeszcze chudsza i bardziej przygarbiona.

Dawid miał świadomość, że oczekiwał pomocy od człowieka reprezentującego upadek zasad, uciemiężenie i śmierć. Jednak sytuacja, w której tkwiła jego rodzina, nie pozostawiła mu wyboru. Mógł próbować szukać pomocy albo patrzeć na cierpienie najbliższych.

– Dałem twój pierścionek temu porucznikowi, żeby zdobył dla nas informacje.

Przez chwilę milczała. Jej usta drżały, a oczy na nowo zwilgotniały. Jej dłonie, które cały czas chował w swoich, nagle się zacisnęły.

– To dobrze – powiedziała twardym głosem, jakiego nigdy wcześniej nie słyszał. – Zawsze czułam, że ojciec żyje. Jest gdzieś tam za murem i czeka, aż ten koszmar się skończy. Bałam się przyznać przed kimkolwiek, że nie wierzę w jego śmierć, żeby nie rozbudzić płonnych nadziei, ale dzisiaj... Dzisiaj daję sobie takie prawo.

Noc nie należała do najspokojniejszych. Cała piątka mieszkańców małego pokoju przekręcała się z boku na bok, wyczekując poranka. Chłopcy zasnęli jako pierwsi. Ich miarowe oddechy wtórowały skołatany sercem pozostałych członków rodziny. W końcu również Laura znużona długim i wyczerpującym dniem zasnęła. Tylko Abigail w nieskończoność odtwarzała w pamięci oświadczyzny Izraela, ich ślub i narodziny dzieci. Miała wrażenie, że znów czuje każdą z towarzyszących jej wówczas emocji. Przekręcała się z boku na bok aż do świtu. Wstała, zanim nadszedł brzask. Na palcach wyszła do kuchni i przygotowała skromne śniadanie. Na chlebnie położyła plastry pomidorów, które na szczęście obficie owocowały w doniczkach ustawionych na parapecie w ich pokoju.

Kiedy Dawid wstał, zjadł śniadanie i ucałował matkę przed wyjściem. Nie potrzebowali słów. Obydwoje czuli tę samą nadzieję. Abigail patrzyła na zamykające się za nim drzwi i nie mogła się doczekać jego wieczornego powrotu.

Mężczyzna znacznie szybciej niż zwykle dotarł do resortu. Wiedział, że porucznik przyjdzie w porze obiadowej. Kiedy to sobie uświadomił, roześmiał się sam do siebie. O obiedzie marzył od śniadania, które zwykle było zbyt skromne, by wystarczyło do drugiego posiłku. Obiad najczęściej był jednocześnie kolacją, którą coraz częściej z braku wyjścia stanowił chleb z dodatkiem rzepy lub marchwi. Nie narzekał na bóle brzucha. Zdążył się już przyzwyczaić. A jeśli udało mu się znaleźć jakiś lepszy kąsek, oddawał go Laurze.

Dawid nie potrafił skupić się na liczbach. Widział cyferki w księgach rachunkowych, ale nie był w stanie wykonać obliczeń. Już dwa razy skreślił wynik, podliczając produkcję z ubiegłego tygodnia. Próbował zebrać myśli, ale jego wzrok wciąż wędrował w stronę starego zegara z kukułką, zawieszzonego na ścianie wprost przed jego oczyma. Nareszcie drzwi się otworzyły. Dawid podskoczył na krześle. Niemał natychmiast poczuł przyspieszone bicie serca. Nagle stanął jak wryty. Szulc nie był tylko z Erykiem. Tuż z nimi w drzwiach pojawił się znacznie niższy mężczyzna w mundurze oficera Kripo.

– Kapitan pozazdrościł mi szytego na miarę płaszcza i też chciałby taki mieć – wyjaśnił Eryk Braun i zdjął czapkę, a następnie przejechał dłonią po świeżo przyciętych włosach. – Obiecałem mu, że na pewno będzie zadowolony z pana... – zawiesił głos, gdyż uświadomił sobie niezręczność sytuacji. – To znaczy twoich usług – dokończył, patrząc na Szulca.

Przybyły z porucznikiem kapitan zaczął chodzić po niewielkim biurze Dawida, jakby szukał potwierdzenia, że trafił w dobre ręce. Zanim tu przyszedł, nie rozumiał, za co porucznik tak ceni Szulca. W jego mniemaniu Żydzi byli czymś pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem w najprymitywniejszym stadium rozwoju. Tym bardziej postanowił sprawdzić, co takiego miał w sobie Szulc, że rozmowa na jego temat zabrała mu jeden wieczór z życia.

– Podobno znasz się na robocie – zaczął kapitan, nie kryjąc arogancji.

– Coś tam umiem – odparł stary Żyd, lustrując lśniąco czystością buty oficera.

– Sprawdzimy, na co cię stać – stwierdził policjant i usiadł na miejscu, które chwilę wcześniej zajmował Dawid. Wyjął ze srebrnej papierośnicy papierosa i poszukał w kieszeni zapalek. Gdy się zaciągnął, przymknął powieki i rozkoszował się smakiem doskonale wysuszonego tytoniu. Nie rozumiał, dlaczego Hitler, kiedyś zapalony miłośnik papierosów, tak nagle zmienił zdanie i stał się ich przeciwnikiem.

Dawid zaś wciąż był jak sparaliżowany. Jego myśli zaprzętało jedno pytanie, na które najprawdopodobniej dzisiaj nie otrzyma odpowiedzi.

Szulc zdjął z manekina gotowy płaszcz i pomógł porucznikowi go włożyć. W milczeniu strzepywał ostatnie pyłki z grubego flauszu.

– Dobrze leży? – spytał krawiec i poprowadził klienta do ustawionego przy oknie lustra. Ten przez chwilę przyglądał się swojemu odbiciu. W pewnej chwili jego uwagę przyciągnęło to, co działo się za oknem. Kilka kobiet dźwigało ciężkie bele materiału. Nagle jedna z nich upadła. Widział, jak ciężko dyszała. Jej szczupła sylwetka zgięta w pół odziana w szarą sukienkę odcinała się od trawy. Dwie inne kobiety oparły belę o pobliskie drzewo i ruszyły z pomocą. Podtrzymały ją za ramiona i posadziły na ławce. Później dźwignęły belę materiału i ruszyły w stronę hali produkcyjnej. Zastanawiał się, czy jego żona z koleżankami byłaby w stanie podnieść o połowę lżejszy ciężar.

Kiedy odwrócił się, napotkał wzrok młodego Żyda. Wiedział, czego od niego oczekuje. Pozostał tylko jeden problem. Nie było szansy na rozmowę w cztery oczy. Zdjął płaszcz i podał go Dawidowi. Wcześniej zdążył wetknąć do kieszeni niewielki zwitek papieru. Teraz wymownie spojrzął na mężczyznę, dając mu znać, by przed złożeniem płaszcza sprawdził kieszeń. Chłopak kątem oka upewnił się, że policjant wciąż siedzi w fotelu i wyjął kartkę, a następnie ukrył ją w kieszeni swoich spodni.

Szulc zaprosił kapitana do zdjęcia miary. Dawid pospieszył z pomocą, skrupulatnie notując wymiary Niemca. Już nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zostanie sam. Nie słuchał sprośnych żartów opowiadanych przez kapitana. Co chwilę spoglądał na zegar. Za pół godziny kończył pracę. Odetchnął, kiedy dziesięć minut później gabinet opustoszał. Nareszcie mógł przeczytać liścik tkwiący na dnie jego kieszeni. Rozprostował zwitek papieru i zamarł. Na kartce widniało kilka cyfr, których z niczym nie kojarzył. Przeczytał je raz jeszcze, ale i tym razem nie przyszło mu nic do głowy. Ostrożnie złożył kartkę i z powrotem wsunął ją do kieszeni, po czym wyszedł z budynku i pospieszył do domu.

Szedł najszybciej jak potrafił, bezustannie analizując sekwencję cyfr. Wciąż jednak z niczym ich nie kojarzył. Wbiegł po schodach i szarpnął za klamkę. Drzwi ustąpiły. Skierował się do pokoju. Pytający wzrok matki nie pozostawiał wątpliwości, czego oczekuje. Podał jej kartkę. Pozostali domownicy otoczyli ich, z zaciekawieniem zerkając na zwitek papieru.

– Co to jest? – zapytała Abigail, patrząc to na zapisane cyfry, to na syna. – Nic nie rozumiem.

– Ja też – przyznał. – Dał mi tylko to.

– Nie zapytałeś go, co to oznacza?

Skrzywił się. To wystarczyło. Musieli poradzić sobie sami.

– Może to jakaś data? – Józef palnął bez zastanowienia pierwsze co przyszło mu na myśl.

– Głupek, przecież tam jest dziewięć cyfr – obsztorcował go Eliasz.

– Chłopaki, nie dzisiaj. – Laura obrzuciła ich karcącym spojrzeniem. – Szukamy pomysłów, więc każdy jest ważny.

Najmłodszy członek rodziny Lewiatanów zawstydzony patrzyli na siebie spode łba, zastanawiając się nad rozwiązaniem.

– Może to numer akt? – podsunęła Abigail.

– Tylko co nam to da? – zastanawiał się Dawid. – Przecież nie pójdę na posterunek i nie zażądam akt ojca.

Na chwilę zapadła cisza. Żadne z nich nie odważyłoby się nawet zbliżyć do siedziby niemieckich żołnierzy. Tym bardziej podziwiał Laurę i jej odważne wejście do getta. Czasem myślał, że Niemcy słusznie uważali naród żydowski za niezdolny do walki. Jego rodacy akceptowali rzeczywistość, bali się podjąć radykalne kroki. Trwali w rzeczywistości, która uwłaczała ich godności.

– Czy ta wiadomość cokolwiek dla nas znaczy? – spytała Laura smutno.

– Nie mam pojęcia – odparł Dawid i usiadł na łóżku, po czym schował twarz w dłoniach. – Ale zrobię co się da, by moje dzieci poznały swojego dziadka. Odnajdziemy go, musimy tylko poszukać rozwiązania.

Tego wieczoru jeszcze długo analizowali przekazane przez niemieckiego porucznika cyfry, jednak żaden pomysł nie wydawał się trafiony.

ROZDZIAŁ VIII

KROK DO PRZODU I DWA KROKI W TYŁ

Jedynе drzewo rosnące przed wejściem do szkoły wciąż cieszyło oczy zielenią liści. Nieliczne wróble, które pozostały w tym zapomnianym przez wszystkich zakątku Łodzi, skwapliwie klóciły się i w pośpiechu przelatywały z gałęzi na gałąź.

Laura przez chwilę stała, obserwując ich taniec przez otwarte okno w sali, która coraz bardziej świeciła pustkami. Po wakacyjnej przerwie w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku nie wrócili kolejni uczniowie. Z rozrzewnieniem wspominała początki pracy w tej szkole. Wówczas dzieci ledwie mieściły się w pomieszczeniu. Teraz wiele by dała, aby ujrzeć ich twarze. Najgorsza była świadomość, że już nigdy tu nie wrócą. Wzdrygnęła się i odegnała od siebie złe myśli. Musiała zmusić się do pozytywnego nastawienia dla siebie i tych, którzy jeszcze pozostali.

– Chce mi się jeść – odezwał się wątył chłopczyna w za małej koszuli z krótkim rękawem.

– Wiem, skarbie, ale dzisiaj nie będzie obiadku – wyjaśniła po raz kolejny w tym tygodniu. Sama nie mogła uwierzyć, że pozostawiono ich bez pomocy. W większości przypadków talerz ciepłej zupy stanowił podstawowy posiłek dla tych dzieci, ale ostatnio Niemcy do znudzenia powtarzali, że nie będą utrzymywać darmozjadów. Przesyłałi coraz mniej żywności, na dodatek wątpliwej jakości. Większość nadawała się jedynie do wyrzucenia. Dzieci otrzymywały więc posiłki sporadycznie i nigdy nie było pewności, czy dla wszystkich wystarczy.

– To dlatego pani ma taki duży brzuch? – dopytywał małeć, patrząc na nią z wyrzutem.

– Faktycznie – roześmiała się, zastanawiając się nad wyjaśnieniem swojego wyglądu. – Wiesz, małe dzieci, zanim się urodzą, znajdują się w brzuszku mamy. Tam mają ciepłutko i przyjemnie, dlatego rosną i nabierają sił – tłumaczyła, prowadząc chłopca do ławki. – I ja mam w brzuszku maluszka.

Chłopiec przez chwilę lustrował jej krągłości. Rzeczywiście brzuch stał się widoczny i nie miała szans dłużej go ukrywać. Gdy wychodziła z mieszkania, narzucała na siebie kolorową chustkę. Najgorzej było wtedy, gdy na zewnątrz panował upał. Na szczęście tegoroczny wrzesień nie należał do zbyt ciepłych, zatem jej okrycie nie wzbudziło niczyich podejrzeń. Doskonale wiedziała, co niemieccy żołnierze robią z ciężarnymi. Przemykała więc bocznymi uliczkami, unikając patroli.

– A jak on się tam znalazł? – maluch drażył temat.

– Połknęłam go – skłamała i uśmiechnęła się na wspomnienie przyjemnych chwil, których owoc nosiła pod sercem.

– To musi pani uważać, żeby się nie zakstusić, jak będzie go pani wypluwać – poradził chłopiec i usadowił się na wysokiej ławce. Jego nogi nie dotykały podłogi, więc majtał nimi energicznie.

Laura otworzyła podręcznik na tekście, który zaplanowała przeczytać uczniom. Wiedziała, że choć nie są Polakami, to jednak ich rodzice, decydując się na zamieszkanie w tym kraju, choć częściowo utożsamiają się z narodem. Przynajmniej miała taką nadzieję. Pamiętała jednak, jak jeszcze przed wybuchem wojny właśnie Polacy głosili hasła nawołujące do pozbycia się Żydów z kraju. Nie rozumiała wówczas, czemu ma to służyć. Nienawiść rujnuje idee, osłabia więzi i otwiera drogę do wojny.

Odłożyła książkę. Nie potrzebowała jej. Doskonale znała tekst. Poczęła deklamować Mickiewiczowską Inwokację. Dzieci przysłuchiwały się w zaciekawieniu. Dla większości z nich to właśnie Polska była jedyną ojczyzną, jaką znały. Tu się urodziły i spędziły pierwsze lata życia.

Kiedy skończyła, zapytała o ich najważniejsze wspomnienia z wcześniejszego dzieciństwa. Później drukowanymi literami zapisała na niewielkiej tablicy wyraz „ojczyzna”. Każde z dzieci

miało odtworzyć litery, kreśląc je w powietrzu, później kolejno podchodzili do tablicy i wodziły palcem po śladzie. Laura z dumą patrzyła na grupkę dzieci w odbartych ubraniach, które pomimo warunków, świetnie radziły sobie z nauką pisania. Później wyprowadziła klasę na plac za szkołą i poleciła wszystkim zbierać liście, które już zaczęły opadać z drzew. Sama usiadła na ławce i obserwowała poszukiwania. Dłonią masowała brzuch i nieświadomie uśmiechała się do siebie. Razem z Dawidem sprawią rodzinie prezent świąteczny.

Pamiętała, jak bardzo wyczekiwała na upominki pod choinką ustrojoną w najpyszniejsze smakołyki, jakie Maria kupiła na targu i w sklepach. Już miesiąc wcześniej kroili i suszyły na piecu plasterki jabłka i cytryny. Zebrane w lesie szyszki, zanurzały w wapień, by były białe. Na choince nie mogło też zabraknąć uwiązanych na nitkach dzikich jabłuszek, które Maria nazywała rajskimi. Wspomnienie tamtych świąt wciąż było żywe w jej sercu. Ile by dała, by móc spotkać Marię. Wielokrotnie zastanawiała się, czy kobieta żyje. Traktowała ją jak rodzinę. Też skniała do tamtych chwil i do życia, jakie wiodła przed wojną.

Powracające z garściami liści dzieci odegnały wspomnienia. Laura na chwilę odwróciła wzrok, by upewnić się, że nadjeżdżający patrol policji nie zawita do szkoły. Na szczęście głośno warczące auto, plujące kłębamii czarnego dymu, potoczyło się dalej. Laura odetchnęła. Teraz mogła wrócić myślami do dzieci. Poleciła im ułożenie z liści wszystkich samogłosek. Trochę było z tym zachodu, bo litery wychodziły koślawe. Co ambitniejsi uczniowie upierali się, by poprawić kształty. Inni woleli skończyć zadanie, a później co sił w nogach biec, żeby sprawdzić, czy dzisiaj będzie wydawana zupa.

Gdy wreszcie zadanie zostało ukończone, wszyscy wrócili do budynku.

– Cy mogę iść na zakupkę? – spytał sepleniący malec.

Laura chwyciła go za chudziutką rączkę i pociągnęła za sobą. Pozostałe dzieci podreptały za nimi. Gdy weszli na korytarz, wzrok wszystkich przykuły schody do piwnicy. Bez słowa ruszyli w dół. Panujący wokół mrok nie był niczym dziwnym. Małeńkie okienko na końcu korytarza nie dostarczało odpowiedniej ilości światła. Najgorsze było to, że nie czuć było zapachu jedzenia. Nikt jednak nie śmiał odezwać się jako pierwszy.

Laura pchnęła drzwi prowadzące do stołówki. Na tle pobielonych ścian stały równo ustawione w rzędach naprędce zbite z desek stoły, a przy nich równie kiepskiej jakości ławki. Miejsca nie było dużo, ale to akurat nikomu nie przeszkadzało. Nie wszyscy zdążyli donieść na miejsce miszkę zupy. Większość zdążyła pochłonąć część porcji, jeszcze zanim odeszła od wielkiego sagana wypełnionego jedzeniem.

Tym razem w stołówce panowała ciemność. Unoszący się zapach stęchlizny drażnił nozdrza. Idealną ciszę zmąciły kroki tłoczących się w wejściu dzieci. Osiemnaście par oczu emanowało rozczarowaniem. Malec bez słowa zawrócił i tym razem to on pociągnął za sobą Laurę. Ta wymacała w kieszeni pająk chleba i oderwała kawałek. Później wsunęła go w dłoń chłopca. Ten zadarł głowę do góry i bezgłośnie jej podziękował. Wiedział, że gdyby ktokolwiek dostrzegł, co przed chwilą zrobiła nauczycielka, musiałyby oddać chleb. W tej chwili myślał tylko o jedzeniu. Porwał chleb na małe kawałeczki i upewniając się, że nikt się niczego nie domyśla, ostrożnie wkładał je do ust. Połykał, niemal nie gryząc.

W kompletnej ciszy wszyscy dotarli do sali. Popołudniowe lekcje dłużyły się wszystkim, a coraz głośniejsze odgłosy burczenia w brzuchach mąciły ciszę.

* * *

– Wy wciąż nic nie wymyślić o ten numer? – odezwał się Szulc, gdy wszedł do gabinetu, w którym Lewiatan pochylał się nad rozłożoną księgą rachunkową.

Mężczyzna uniósł wzrok i pokręcił głową.

– Myśleć, że Braun przyjść razem z kapitanem po płaszcz, wtedy go podpytać? – ciągnął krawiec.

– Byłoby trudno, bo nikt nie chce się narażać.

– Ale w końcu pierścionka twojej matki to on wziąć.

– To wyłącznie dobra wola porucznika, ile i czy w ogóle coś zechce nam powiedzieć – odparł Dawid i zrezygnowany powrócił do obliczeń.

Starzec pokiwał głową. Może gdyby Braun był jego zięciem, mógłby zrobić znacznie więcej dla rodziny Lewiatanów. Jeszcze przed wojną znał Izraela. Czasem spotykali się na partyjce pokera u wspólnych znajomych. Cenił jego świątły umysł i brak skrupułów przy wyrażaniu osądów. Sam wolał unikać polityki. Prowadził zbyt dużo interesów z ludźmi o różnych poglądach. Jeśli chciał zarabiać, potrzebował sprzymierzeńców, a nie wrogów.

– Na dzisiaj wystarczy – zdecydował krawiec.

Dawid zamknął księgę i schował ją do szuflady w biurku. Przekreślił klucz, po czym wyjął go i oddał Szulcowi. Ten ukrył go w mechanizmie zegara. Teraz mogli zamknąć biuro.

Gdy wyszli na ulicę, minęli ostatnie szwaczki spieszące do domów. Zostali jedynie mężczyźni, którzy czekali na podstawienie wozu, na który zapakują kilkaset nowych spodni i spódnic. Nikt już nie miał wątpliwości, że zakłady produkcyjne w getcie szyły odzież nie tylko dla żołnierzy, ale również dla niemieckiej ludności cywilnej.

Właśnie doszli do skrzyżowania. Kiedy skręcili w boczną ulicę, zaskoczył ich widok czarnego auta z otwartymi drzwiami. Tuż obok stało czterech oficerów w mundurach Kripo. Jeden z nich trzymał nogę na plecach zgiętego wpół mężczyzny i głośno pokrzykiwał na stojącego obok drugiego wychudzonego Żyda. Tamten ścisnął w dłoni urwany z własnej koszuli rękaw i niezdarnie polerował nim but policjanta.

Szulc chwycił Dawida za rękę i pociągnął go na drugą stronę ulicy. Szli szybko, kątem oka spoglądając w stronę zbiorowiska. Dopiero teraz dostrzegli dwie znajome postaci. Jedna z nich głośno się śmiała, obserwując poczynania Żydów. Druga kręciła się niespokojnie, rozglądając się na boki. W pewnej chwili spojrzenia mężczyzn się spotkały. Szulc zamarł.

– Niech go szlag trafi – rzucił nad wyraz poprawną polszczyzną.

Tym razem to Dawid pociągnął Szulca. Widok Brauna i jego przyjaciół nękających Żydów obudził w nim złość. Znowu ludzi jemu podobnych traktowano jak ścierwa, które nic nie znaczą dla ludzkości. A co z Adolffem Beckiem¹⁶, Albertem Einsteinem, Maksymilianem Faktorowiczem¹⁷ czy dziesiątkami innych Żydów, którzy przysłużyli się nauce? Czy życie któregokolwiek z nich stanowiło jakąkolwiek wartość dla Hitlera? Czy ten chory z nienawiści człowiek miał jakieś skrupuły wobec tych, których uważał za podludzi?

W milczeniu dotarli pod kamienicę Dawida. Szulc jedynie machnął do niego na pożegnanie i odszedł. Młody mężczyzna patrzył, jak jego pracodawca dziarsko kroczył do przodu. Poczul nieodparte pragnienie, by raz na zawsze wyostać się z matni, w której utknął półtora roku temu. Może Laura miała rację, gdy mówiła, że Żydzi powinni się zjednoczyć i szukać ucieczki z getta. Ich dziecko nie zasługiwało na życie w miejscu, gdzie za każdym rogiem czyha śmierć.

Po powrocie do mieszkania natychmiast dostrzegł zamieszanie u Baskinów. Jordan głośno się modlił. Najmłodszy z wnuków, dziewięcioletni Samuel, siedział zwinęty w kuchni pod stołem. Nie reagował na pytania Dawida. Chwilę później mężczyzna wszedł do swojego pokoju i usłyszał złe wieści. Daniela zmarła. Od wiosny zmagała się z anemią, często mdlała z niedożywienia, bo oddawała wnukom swoją i tak skromną porcję chleba czy kaszy. Wreszcie serce nie wytrzymało.

Do późnego wieczora modlili się razem z Baskinami. Kilka godzin snu musiało wystarczyć.

Rano Dawid odprowadzał żonę do szkoły. Miał wówczas poczucie, że czuwa nad jej bezpieczeństwem. Wracać jednak musiała sama, dlatego zawsze wtedy spoglądał na zegarek, zastanawiając się, czy już dotarła bezpiecznie do domu.

Gdy ruszył w stronę resortu, powrócił myślami do sceny z wczorajszego wieczoru. Jak to możliwe, że tyle tysięcy ludzi godzi się na niewolniczą pracę, głód i ciągłe poniżanie? Dlaczego tak łatwo oddali swoje życie w ręce oprawców? Ile jeszcze poniżania i bezduszości są w stanie znieść?

Właśnie dołączył do niego Szulc wraz z córką. Skłonili się sobie.

– Jak zdrowie szanownej żony? – zagaił, dotrzymując Dawidowi kroku.

– Dość dobrze. Ma apetyt i w ogóle nie wymiotuje.

– To dobrze być, bo moja żona, jak być w ciąży, to co zjeść, to i wypluć. Tak ją córa wymęczył. A teraz jaka kobita z niej wyrosnąć. I ty się doczekać dzieciaka. – Poklepał przysłego ojca po plecach i uśmiechnął się.

Nagle spojrzął w bok, widząc hamujące tuż przy nich auto. Eliza odskoczyła, odruchowo kryjąc się za ojcem. Drzwi czarnego samochodu otworzyły się, zanim auto zdążyło się zatrzymać. Nieoczekiwanie tuż przed nimi pojawił się Braun. Najwidoczniej zamierzał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów. Stał z na wpół otwartymi ustami i przypatrywał się wyglądającej zza pleców ojca Elizie Szulc. Choć jej niegdyś długie, gęste splecione w warkocze włosy teraz zasłaniała chusta, a zniszczona popielata sukienka swobodnie zwisała z jej drobnej sylwetki, to poznał blask jej oczu. Nigdy ich nie zapomniął, choć nie widział ukochanej od ponad dziesięciu lat. Tak, miał żonę. Tak, posiadał piękną dom. Ale czy to wystarczyło mu do szczęścia? Kiedyś przez chwilę, krótką, szaloną chwilę myślał, że to wystarczy, by zapomnieć o prawdziwych uczuciach. Szybko przekonał się, jak bardzo okłamywał siebie i innych.

– Przepraszam za to, co wczoraj widzieliście – przemówił cicho. – Nie miałem na to wpływu. Upili się i szaleli.

– Jeśli ty nie masz wpływu na to, co robią twoi koledzy, to co my mamy powiedzieć? Jak mamy żyć? Zachowujecie się, jakbyście byli na polowaniu, ale my jesteśmy ludźmi – ciągnął odważnie Szulc po niemiecku. – Zobacz, do czego nas doprowadził twój naród. – Wskazał na swoją córkę. – Chciałbyś, żeby to twoja żona lub matka musiała mieszkać w takim miejscu? – spytał i nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę resortu. Eliza dreptała za ojcem. Pochód zamykał Dawid.

– Poczekaj! – krzyknął oficer i chwycił dłoń dziewczyny. – Myślisz, że marzyłem o takiej służbie? Myślisz, że lubię patrzeć na śmierć? – Pytanie zawisło w powietrzu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jakby bojąc się powiedzieć coś więcej.

– To po co to robisz? – przerwał milczenie Szulc.

– Bo nie mam wyjścia, jeśli chcę, żeby moja rodzina przeżyła – przyznał z rezygnacją w głosie. – Wolałbym nie pamiętać tego, co przeżyłem i co ujrzałem na tej wojnie, ale nie mam wyboru, jeśli chcę sam przeżyć.

Dopiero teraz Dawid dostrzegł w oczach Brauna ból podobny do tego, jaki sam odczuwał, pozostawiając Laurę po drugiej stronie ogrodzenia. Wiedział, że nie ma innego wyjścia, a jednak myśl o rozstaniu paraliżowała go.

– Idź już, bo nas ktoś zobaczy – nalegał Szulc. – Później wszyscy będziemy mieć kłopoty.

– Muszę z tobą porozmawiać – tym razem Braun zwrócił się do dziewczyny.

– Ona nie ma o czym z tobą rozmawiać – hardo odparł starzec w imieniu córki.

– Eliza, błagam, wysłuchaj mnie. – Policjant zdawał się nie słyszeć tych słów. Wpatrywał się w oczy dziewczyny, szukając w nich iskierki nadziei. Ta jednak milczała, bacznie go obserwując. – Nie musisz się mnie obawiać – nalegał. – Chcę tylko porozmawiać, proszę.

Dziewczyna z rozdartym sercem zamknęła oczy, marząc o tym, by w końcu mogła uwolnić się od tej przekłętej miłości. Mimo upływu lat, jej serce nie zaznało ukojenia, a sponiewierana tęsknotą dusza pragnęła czułości. Nie była świadoma ściekających po jej policzkach łez. Patrzyła i przed oczyma miała mężczyznę, który zabierał ją na długie przejażdżki bryczką, a gdy śmiała się z jego dowcipów, kradł jej pocałunki, czym jeszcze bardziej ją rozśmieszał.

– Wejźmy do szwalni – zaproponowała, nie bacząc na karcący wzrok ojca, który po tych słowach zakręcił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył w stronę resortu.

– Może lepiej idźcie do piwnicy. Im mniej osób was zobaczy, tym lepiej dla nas wszystkich – stwierdził Dawid.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Wszyscy wiedzieli, w jak niebezpiecznej sytuacji się znaleźli.

Szulc nawet się nie obejrzał, wszedł do budynku. Dawid udał się do swojego biura i do południa, gdy poczuł doskwierający mu głód, nie wstał od biurka. Kiedy wyciągnął z kieszeni grubą kromkę chleba, przez chwilę przyglądał jej się z uwielbieniem. Później powąchał ją, a na koniec zatopił zęby w czerstwym pieczywie. Chleb mogli kupić raz w tygodniu i to pod warunkiem, że akurat był dostępny. Dzisiaj rano rozkroił ostatni kawałek. Większą część schował do torebki Laury.

Dobiegający końca wrzesień tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku był wyjątkowo mokry. Choć większość liści jeszcze trzymała się gałęzi, to codzienna plucha sprawiała, że dni były ponure i chłodne. O paleniu w piecach mieszkańcy getta mogli jedynie pomarzyć. Wciąż nie przyjechał ani jeden transport węgla czy drewna. Dawidowi udało się wybłągać u zaprzyjaźnionego z Szulcem kierownika resortu szewskiego trzy pary butów dla braci i Laury. Chłopcy od kilku dni pociągali nosami. Jeszcze bardziej martwił się o żonę. Każdego dnia z tym samym zapałem wstawała z łóżka i biegła do szkoły, choć coraz trudniej było jej się poruszać. Nie chciała jednak siedzieć w domu. Potrzebowała pracy jak tlen.

– Gotowa? – spytał Dawid i naciągnął czapkę na głowę, by choć odrobinę osłonić ją przed nieprzyjemną mżawką.

– Chyba musimy zacząć wcześniej wychodzić, żebym nie musiała się tak spieszyć – stwierdziła i wymownie spojrzała na brzuch niemieszczący się pod znoszonym płaszczem, który dostała po śmierci Daniela. Pod brodą zawiązała chustkę. – Łobuziak wcale mi nie pomaga – dodała.

– A skąd wiesz, że to nie ona?

– Po prostu to wiem – odparła przekornie. Wiedziała, że Dawida bardzo nurtowała płeć dziecka. Czuła, że chciałby mieć syna, choć głośno nigdy tego nie powiedział.

Na zewnątrz było chłodno, wilgoć wdzierала się za kołnierze i oblepiała twarze. Laura wsunęła dłoń pod ramię męża i ruszyli w stronę szkoły.

– Jak ci poszło wczorajsze spotkanie? – spytała.

W mieszkaniu musieli uważać na to, co mówią. Ani matka, ani chłopcy nie mogli niczego podejrzewać. Dawid nie chciał narażać nikogo ze swojej rodziny, ale przed Laurą nie potrafił niczego ukryć. Miał świadomość, że jest to niebezpieczne, lecz poprzysiągł, że zrobi wszystko, by ochronić ją i dziecko. Tymczasem od kilku tygodni organizował spotkania młodych gniewnych, którzy tęsknili do czasów sprzed wybuchu wojny. Odarci z godności, z prawa do miłości i wiary w sprawiedliwość powoli budzili w sobie myśl o odwecie. Coraz wyraźniej widzieli, że ludzkość o nich zapomniała. Codziennie patrzyli na tych, co umierali na ulicach, a ich ciała gniły niedbale oparte o spróchniały płot czy kamienicę. W najlepszym razie łądowały w zbiorowej mogile na Marysinie.

– Przyszło kilku nowych. Musiałem wyjaśnić im, co chcemy zrobić.

– Zgodzili się zostać?

– Wyglądali na zdeterminowanych. Mam tylko nadzieję, że odwaga im nie minie.

– Wiesz, że muszą być setki takich jak oni, żebyście mieli szanse?

– Wiem, dlatego długa droga przede mną.

– Wierzę w ciebie. – Laura uśmiechnęła się i wspięła na palce, by dosięgnąć jego policzka. – Jeszcze będziemy cieszyć się widokiem, którego nie będzie ograniczał drut kolczasty.

Tym razem to on ją pocałował i zaczekał, aż wejdzie do szkoły. Szybkim krokiem ruszył w stronę resortu. Zanim jednak wszedł do środka, spotkał Elizę Szulc. Stała przed wejściem i wyraźnie na niego czekała.

– Musimy porozmawiać – szepnęła, łypiąc na boki, by się upewnić, że nikt jej nie słyszy.

– Chodźmy do mnie – zaproponował.

– Nie teraz. Ojciec zaraz przyjdzie, a nie chcę, żeby zaczął mnie wypytywać, gdzie tej nocy spałam – odparła dość enigmatycznie, czym wzbudziła jeszcze większe zainteresowanie Lewiatana.

– Może po południu odprowadzę cię do domu? – zaproponował, czując, że to naprawdę ważna sprawa.

– Tylko żeby ojciec się do ciebie nie przyczepił – ostrzegła.

Dawid pokiwał głową ze zrozumieniem i wszedł do budynku. Skręcił w prawo i wszedł schodami na pierwsze piętro. Otworzył biuro i zakopał się w stercie rachunków. Miał zaległości, bo wiele czasu poświęcał na odtworzenie mapy getta. Właśnie chował do szuflady uporządkowane według dat rachunki, gdy do jego biura wszedł Szulc.

– Gotowy do wyjścia? – odezwał się.

– Mam jeszcze coś do załatwienia. Nie zgodziły mi się obliczenia z ostatniej strony, dlatego muszę jeszcze chwilę zostać.

- Zaczekać na ciebie.
- Nie wiem, ile to może potrwać, a muszę to dzisiaj skończyć, więc może lepiej niech pan wraca sam.

Przez chwilę nie miał pewności, czy te mętne wyjaśnienia zdołają przekonać Szulca. Kierownik jednak pożegnał się i wyszedł z biura. Dawid odetchnął. W pośpiechu wrzucił do szuflady księgę rachunkową i zaczął porządkować biurko. Wtedy usłyszał pukanie. Zanim się odezwał, drzwi uchyliły się i do środka zajrzała drobna szatynka.

- Widziałam, że ojciec właśnie wyszedł – odezwała się Eliza.
- Możemy już iść – poinformował ją Lewiatan i owinął szyję i ramiona długim szalem.
- Lepiej zostanmy tutaj. Nie chcę, żeby ktoś nas podsłuchał. – Eliza dla pewności zamknęła drzwi i podeszła do biurka. – Eryk wyjaśnił mi, co oznacza ten numer, który ci dał.

Dawid zbliżył się do kobiety, czekając na wyjaśnienia.

- To był numer akt sprawy twojego ojca, gdy trafił do aresztu.

- Tak podejrzewałem – oświadczył, nieco rozczarowany, że ta wiadomość niewiele mu dała. Wciąż nie miał pojęcia, gdzie aktualnie przebywa jego ojciec. – A czy powiedział może, czy ojciec żyje?

- W aktach odnotowane było, że w połowie grudnia trzydziestego dziewiątego opuścił areszt. Na początku Niemcy nie prowadzili tak skrupulatnych notatek z przesłuchań jak teraz, dlatego oprócz nazwiska i przewinienia niewiele było zapisane w aktach twojego ojca.

- A wiesz może, co mu zarzucili?

- Hitler nie lubi krytyki. A krytyka z ust Żyda boli go w dwójnasób. – Spojrzała ze współczuciem na mężczyznę.

- Widział, co się dzieje, zanim ktokolwiek zaczął się zastanawiać nad tym, że szalenięc doszedł do władzy. Ojciec dostrzegł mechanizmy rządzące światem i przeczuwał, do czego może doprowadzić podjudzanie i szydzenie z inności. Pytanie, kto jest tym „innym”?

Przez chwilę milczeli, powracając myślami do wydarzeń mających miejsce przed wojną. Powszechne było nawoływanie do pozbycia się Żydów z Europy, co wpływało na relacje pomiędzy sąsiadami, przyjaciółmi czy współpracownikami.

- Eryk obiecał sprawdzić listy więźniów transportowanych do obozów pracy, ale sam wiesz, że to trwa – Eliza przerwała milczenie. – Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Pamiętaj, nie musisz się dla mnie narażać – oświadczył. – Nie rób niczego wbrew sobie.

- Nie muszę. Eryk naprawdę nie jest taki jak inni. Nie miał wyjścia. Musiał iść na wojnę, inaczej by zginął. A teraz chce nam pomóc. – Kiedy to mówiła, jej oczy lśniły. Skrywane przez lata uczucia odżyły i dawały nadzieję na lepszą i bardziej znośną przyszłość. – To dla twojej żony. – Podała mu wyjętą z torby czekoladę i ćwierć bochenka chleba. – Teraz musi jeść za dwoje.

- Skąd to masz?

- Eryk dba o mnie, ale wy bardziej tego potrzebujecie.

- Nie wiem, co powiedzieć – zaczął. – I nie wiem, jak ci dziękować.

- Po prostu to weź. – Wzruszyła ramionami i objęła go. – Muszę lecieć. – Mrugnęła porozumiewawczo.

- Uważaj na siebie.

- Nie inaczej – odparła i wyszła z biura.

Dawid spakował do torby prezenty i opuścił pomieszczenie. Idąc znanymi sobie ulicami, bił się z myślami, czy powinien podzielić się swoją wiedzą z innymi. Tak naprawdę wiadomość przekazana przez Elizę nie miała większego znaczenia. Wciąż nie był pewien, co się stało z jego ojcem. Postanowił zaczekać, aż Eliza przyniesie więcej informacji.

Właśnie przeszedł na drugą stronę ulicy Brzezińskiej i minął drukarnię Przełożonego Starszeństwa Żydów, gdy usłyszał rozmowę wychodzących z budynku pracowników.

- Co im przeszkadzają te szkoły? Dzieci przynajmniej nie szwendają się po ulicy i nie muszą na nie patrzeć – tłumaczył wyższy z mężczyzn z długimi pejsami.

- Ja tam nie wiem, ale to nie oznacza niczego dobrego. Pewno każą wszystkim pracować albo co – odparł niższy z równie długimi pejsami.

– Zamykają szkoły? – zainteresował się Dawid. – Czy to pewne?
– A czy tera cokolwiek na świecie je pewnego? – odparł jeden z mężczyzn, po czy wzruszył ramionami i odszedł.

– Kazali wydrukować plakaty, to drukujemy – dodał drugi i ruszył w ślad za towarzyszem.

Kolejni spieszący do domów mieszkańcy getta mijali Dawida, który stał osłupiały. Bał się, że ta informacja może okazać się prawdziwa. Co z jego braćmi? Przecież mieli zaledwie dwanaście lat. To prawda, że ostatnio podrosli, ale byli tak chudzi, że czasem miał wrażenie, że silniejszy podmuch wiatru może ich przewrócić.

Wreszcie drgnął. Musiał wracać do domu, żeby przygotować Laurę na przykre wieści. Na szczęście miał dla niej prezent, który być może choć trochę poprawi jej nastrój.

Gdy wszedł do mieszkania, poczuł chłód. Palili w kuchni tylko po to, żeby zagotować wodę czy zupę. Bliźniacy siedzieli przy stole, kłócąc się zajadle o to, kto zrobił lepszą procę i z której z nich można celniej strzelać. Matka cerowała koszulę któregoś z synów, puszczając mimo uszu ich swary. Laura, wsparta na poduszce, leżała w łóżku pod kocem i w mizernym blasku świecy naftowej czytała antologię wierszy znalezionych przez jednego z uczniów na strychu kamienicy, do której został przesiedlony.

– Jak się czujesz? – spytał Dawid i pocałował żonę z czoła, po czym przysiadł obok niej.

Odłożyła książkę i się uśmiechnęła.

– Tak dobrze, jak to tylko możliwe w moim stanie – zachichotała i odruchowo pomasaowała swój brzuch.

Palce Dawida podążyły w stronę wyraźnie zaznaczonego wzniesienia. Lubił czuć ruchy dziecka. Wtedy wyobrażał sobie, jak będą się bawić, gdy tylko maluch podrośnie. Może do tego czasu nie będą musieli żyć odgradzeni od reszty świata.

– Mam coś dla ciebie. – Wyciągnął dwa zawiniątka i podał żonie.

Laura powoli odchyliła papier. Jej oczy rozbłyły, gdy rozpoznała dawno niewiedziany smakołyk.

– Skąd to masz? – spytała, sadowiąc się wygodnie.

– Od Elizy.

Jak na komendę przy łóżku pojawili się chłopcy, ochoczo łypiąc na zawiniątko.

– A skąd ona ma takie frykasy? – spytał Józef, nie spuszczając wzroku z łakoci.

– Nieważne – stwierdził Elias, jak zwykle w opozycji do brata. – Grunt, że nam to dała.

Dawid z rosnącą frustracją wodził wzrokiem po twarzach całej trójki. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że zupełnie nie przemyślał tego, co właśnie zrobił. Tak bardzo cieszył się na myśl, że sprawi radość żonie, że przestał być czujny.

– Kochana ta Elizka. Podziękuj jej w naszym imieniu – odezwała się Laura i przełamała czekoladę na dwie części. Jedną starannie zapakowała w papier, drugą zaś połamała na mniejsze kawałki. – Częstujcie się, tylko nie gryźcie – pogroziła szwagrom. Sama włożyła kostkę do ust i rozkoszowała się smakiem, którego nie czuła od prawie dwóch lat.

Abigail również dała się skusić i przyjęła kawałek czekolady. Później z większą ochotą zabrała się do sztukowania spodni, z których chłopcy zdążyli wyrosnąć.

Dopiero wieczorem Abigail rozkroiła podarowany przez Elizę chleb i podzieliła go pomiędzy domowników. Tej nocy żadne z nich nie zasypiało z pustym brzuchem. Kiedy chłopcy wraz z matką wyszli z kuchni, Dawid schował do szuflady nóż, a kiedy się odwrócił i spojrzał na uśmiechniętą twarz żony, zrozumiał, że musi przygotować ją na zbliżający się cios. Nie mógł pozwolić, by jutro przeżyła szok.

– Kochanie, przez przypadek dowiedziałem się, że Niemcy chcą zamknąć szkoły – oświadczył, kłękając przed nią.

– Co? – zdziwiła się. – Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – skłamał, choć miał kilka hipotez, jednak żadna z nich nie należała do przyjemnych.

– Skąd to wiesz? – dopytywała.

– Usłyszałem rozmowę pracowników drukarni. Jutro zawisną plakaty.

– Nie wierzę. To nie ma sensu.

– Wiem, ale mówię, co słyszałem.

– Pewnie się pomyliłeś – ucięła Laura z taką stanowczością, że Dawid nie miał odwagi się jej przeciwstawić.

Wieczorem jeszcze długo nie mógł zasnąć, zastanawiając się, czy dobrze zrozumiał podsłuchane wieści. Może coś pomylił i niepotrzebnie zdenerwował Laurę. Wreszcie wykończony dylematem zasnął.

Rankiem obudził się jako pierwszy. Cicho wstał i zaczął się ubierać. Po chwili jego bracia również się przebudzili. Dawid wciągnął sweter na koszulę i ostrożnie nachylił się nad łóżkiem, by pocałunkiem obudzić żonę. Jej uśmiech zaraz po otwarciu oczu był najpiękniejszym prezentem, jaki mogła mu dać.

Skromne śniadanie szybko zniknęło z talerzy.

Dawid pomógł żonie zejść ze schodów, ale kiedy tylko wyszli na ulicę, natychmiast dostrzegli nowe plakaty rozlepione na słupach informacyjnych. Podeszli bliżej. Laura szybko przebiegła wzrokiem po tekście i spuściła głowę.

– Tylko nie to. Tylko nie to – powtarzała. – Te dzieciaki nie mają szans. Nikt się nimi nie zajmie. Będą włóczyły się po ulicach, niepotrzebnie narażając życie.

– Skarbie, nic na to nie poradzimy... – Dawid próbował pocieszyć żonę.

– Dlaczego oni to robią? Czy naprawdę aż tak bardzo nas nienawidzą?

– Kochanie, pamiętasz, że w twoim stanie nerwy nie są wskazane? – Patrzył na nią wczekująco. – Najwyżej zostaniesz w domu, a kiedy maluch podrośnie, znajdziesz inną pracę.

– Nie rozumiesz? Naprawdę nie rozumiesz? – Powoli wyprostowała się i podniosła na niego wzrok. – Te dzieciaki nie przeżyją. Wcześniej czy później spotka je śmierć, bo same nie będą widziały sensu w tym, żeby walczyć o przetrwanie.

– Dlatego robię to, co robię. Mam dość codziennych wiadomości o tym, kto wyskoczył z okna, kto rzucił się pod niemiecką ciężarówkę, a kto umarł z głodu i wycieńczenia. To obłąd. Wiem o tym i nie chcę, żeby nasze dziecko wychowywało się w takiej rzeczywistości. Ale błagam cię na wszystko, nie narażaj siebie i jego. Możesz mi to obiecać?

Potrzebowała chwili, żeby ochłonąć. W końcu jednak przytuliła się do męża.

– Muszę mieć pewność – odezwała się, odsuwając się od niego. – Odprowadzisz mnie?

Wiedział, że dyskusja jest zbędna. Byli małżeństwem blisko dwa lata, zatem zdążył dostatecznie dobrze poznać tę na pozór delikatną osobkę. Wiedział, kiedy dyskusja nie ma sensu, bo Laura podjęła już decyzję i nie zmieni zdania.

Widocznie wiele osób nie uwierzyło obwieszczeniu o likwidacji edukacji, bo wokół widzieli wiele matek jak co rano prowadzących swoje pociechy do szkół. Nadzieja pączkowała w sercu Laury. Może ta wiadomość była tylko wstrętą manipulacją? Żartem? Kolejną zagrywką pokazującą Żydom, kto jest panem sytuacji?

Choć ciężko dyszała, nie miała zamiaru zwolnić. Dawid kilkakrotnie proponował jej, żeby odpoczęła. Nie zamierzała zwlekać. Musiała mieć pewność.

Wreszcie stanęła pod bramą wejściową. Chciała przestąpić próg, lecz Dawid szarpnął ją za rękaw i wskazał na stojących przed drzwiami szkoły żydowskich policjantów. Głośno ponaglił kierownika wynoszącego kilka bezcennych dla niego książek.

Laura zacisnęła dłonie w pięści i bez słowa ruszyła w drogę powrotną.

ROZDZIAŁ IX POMOCNA DŁOŃ

W niewielkim pokoju panował harmider. Młodsze dzieci uczyły się wyliczanki. Starsze skończyły czytać fragment opisu zimy utwalony na kartach Chłopów. Nie bez powodu właśnie ten tom Laura wybrała do czytania na głos. Grudniowe szarugi i zamiecie nękające mieszkańców getta mogły dawać błędne poczucie, że nigdy wcześniej zimy nie były tak bezlitosne. Reymontowskie Lipce zasypane śniegiem śmiało obalały tę teorię.

Dzisiaj znowu Laura zebrała wszystkie najmłodsze dzieci mieszkające w jej kamienicy i zorganizowała im zajęcia. Mieszkanie Lewiatanów od kilku tygodni każdego dnia tętniło życiem. Czasem było w nim tak głośno, że obawiała się nalotu Niemców. Wówczas starała się zapanować nad dzieciarnią i znaleźć sensowne zajęcia, by nikt się nie szwendał po ulicach i niepotrzebnie nie przyciągał uwagi.

Dochodziła druga po południu, gdy drzwi do mieszkania Lewiatanów otworzyły się i do środka zairzała biała kobieta w czarnej chustce zakrywającej włosy.

– Pani Lauro, w kuchni zostawiłam kubek drewna za Jonasza i Aarona – poinformowała kobieta i nie czekając na odpowiedź, wycofała się.

– Dziękuję – odparła Laura, ale odpowiedziało jej jedynie trzaśnięcie drzwi. – Teraz na pewno nie zmarzniemy – powiedziała do dzieci i ostrożnie podniosła się z krzesła.

Doskwierał jej ból pleców. Co kilka minut musiała wstawać i chodzić po pokoju, a właściwie przeciskać się między rozłożonymi na podłodze dziećmi. Nie przeszkadzało jej to. Musiała być jednak bardzo ostrożna. Kilka razy w ciągu dnia była zmuszona schodzić na dół do latryny ustawionej na podwórku. Wtedy czuła przejmujący chłód.

Dzięki temu, że opiekowała się dziećmi, sąsiedzi podrzucali jej kawałki drewna, ciesząc się, że nie muszą od rana grać w swoich mieszkaniach. Wystarczyło, że napalili w piecu po powrocie z pracy.

Laura nie miała poczucia, że robi coś wielkiego. Po prostu nie widziała innej możliwości. Kilkadziesiąt tysięcy najmłodszych dzieci z dnia na dzień pozostało bez opieki. Rumkowski powtarzał, że jak najwięcej z nich musi zacząć pracować, bo to jedyna szansa na przeżycie, ale ona nie wyobrażała sobie, by kilkuletnie dzieci były w stanie pracować przy produkcji odzieży czy obuwia przez kilka godzin dziennie.

Laura weszła do kuchni i wyjęła dwie szczapy z koszyka, po czym umiejętnie wetknęła je do paleniska i zaciągnęła żeliwne fajerki. Przyjemne ciepło wypełniło kuchnię i przez otwarte drzwi powędrowało do pustego pokoju Lewiatanów i Baskinów. Wszystkie wnuczki Baskina otrzymały przydział do pracy przy szyciu butów dla Niemców. Tylko dziewięcioletni Samuel pozostał pod opieką Laury i mógł cieszyć się namiastką dzieciństwa, choć nikt nie miał pewności, jak długo to jeszcze potrwa, bowiem systematycznie obniżano wiek zatrudnianych dzieci.

Laura spojrzała na zegarek. Jeszcze dwie godziny i będzie mogła się położyć. Dzisiaj wyjątkowo maluszek jej dokuczał. Od rana kopał, przez co nie mogła się na niczym skupić. Poczłapała do pokoju. Widok uśmiechniętych twarzy sprawił jej przyjemność. Tym razem usiadła na łóżku i wyciągnęła nogi. Poprosiła dzieci o ciszę i zaczęła czytać wiersze o przyrodzie. Kiedy skończyła, dzieci zaczęły się z nią żegnać i wychodzić. Kilkanaście minut później pozostało już tylko trzech jej uczniów. Eliasz i Józef siedzieli w dwóch końcach pokoju. Samuel stanowił element łączący chłopców. Trochę bawił się z jednym, ale ciekawiło go też, czym zajmował się drugi, a że każdy z nich robił coś interesującego, najmłodszy Baskin miał nie lada wyzwanie i kursował od stołu, gdzie Eliasz strugał coś w szczapie drewna, do materaca, na którym Józef rozłożył swoją kolekcję kamieni i wybierał te najlepiej pasujące do procy.

Laura się zdrzemnęła. Przyjemne ciepło przypomniało jej letnie spacery wzdłuż Piotrkowskiej, gdy maj pachniał wolnością, a jej ciało drżało na widok ukochanego. Serce szalało, gdy szeptał jej komplementy, a usta czekały na pocałunki. Wtedy nawet przez ułamek sekundy nie pomyślała, że życie napisze dla nich taki scenariusz.

Uchyliła powieki, gdy usłyszała szamotaninę. Wsparła się na łokciu i przekręciła. Wówczas ujrzała sąsiadkę z parteru, która przeproszającym wzrokiem przyglądała się jej.

– Dzieciaki nie odpuszczają – zaczęła kobieta, na oko niewiele starsza od Laury.

– Dzieci to dzieci, mają swoje prawa nawet w czasie wojny – odparła Laura, ostrożnie sadowiąc się na skraju łóżka.

– Od jutra nie będę już przysyłała Janinki i Joachima – stwierdziła i wyjęła zza pazuchy zawiniątko, które podała ciężarnej. – Powiem też innym, żeby przestali przyprowadzać dzieciaki. Musisz odpoczywać, bo wkrótce nie będziesz miała na nic czasu. Wiem, co mówię. – Pokiwała głową z przekonaniem, że jako matka kilkuletnich bliźniąt zna temat od podszewki.

– Bez przesady. – Laura się uśmiechnęła. – To moja jedyna rozrywka, inaczej chyba bym oszalała z niepewności i strachu – dodała i wzięła węzełek. Chwilę na niego patrzyła, nie wiedząc, co począć.

– To dla twojego maluszka – powiedziała sąsiadka, a jej głos złagodniał. – I tak niewiele za to, co dla nas robisz.

Laura rozłożyła zawiniątko. Trzy obszyte ręcznie pieluszki i maleńki kaftanik zawiązywany na dwie cieniutkie wstążeczki sprawiły jej więcej radości niż drogocenna biżuteria. Przytuliła podarunek do policzka i przymknęła powieki, oczyma wyobraźni widząc swoje nowo narodzone dziecko owinięte w pieluszki.

– Miałam nadzieję, że uda mi się zdobyć więcej materiału, ale dranie pilnują jak diabli – utyskiwała kobieta.

– To wystarczy. Naprawdę nie musiałaś.

– Musiałam i bardzo chciałam jakoś się odwdziżyć za opiekę nad moimi brzdącami, inaczej nie wiem... nie wiem, co bym zrobiła. I tak ciągle drzę, że mi je odbiorą – westchnęła żałośnie. Potrzebowała chwili, by się pozbierać. – Postaram się jeszcze przerobić jakieś stare ubrania Janinki i Joachima, tylko wiesz, oni tak szybko rosną, że nie nadążam sztukować, cerować i łątać. Wciąż brakuje mi materiału...

– Rozumiem, a przynajmniej staram się przyzwyczaić do myśli, że wkrótce mnie też to czeka. – Roześmiała się perliście.

– Wszystkiego dobrego, kochana. Dbaj o siebie i dzieciątko. – Na pożegnanie położyła dłoń na brzuchu Laury. – Wiercipięta – skwitowała.

– Podobno też taka byłam – zauważyła Laura, wspominając opowieści swojej matki.

Sąsiadka pożegnała się i wyszła, minąwszy w drzwiach wracającego z pracy Dawida. Mężczyzna skłonił się kobiecie i zamknął za nią drzwi. Podszedł do żony, nachylił się i przez chwilę obejmował ją w milczeniu. Jego wyziębiona twarz i dłonie szybko się ogrzewały jej ciepłem. Laura jednak czuła, że emocje wręcz rozsadzają Dawida.

– Co się dzieje, skarbie? – spytała, odsunąwszy się nieco od niego.

– Od początku tak podejrzewałem, ale łudziłem się... – urwał i usiadł tuż przy niej, choć nie podniósł na nią wzroku. – Miałem złudną nadzieję, a najgorsze, że obudziłem nadzieję w nas wszystkich...

– Ojciec? – spytała cicho i delikatnie wsunęła dłoń pomiędzy jego palce. – Dowiedziałeś się czegoś?

Milczał, choć słyszała, że głośno zgrzyta zębami. Nie naciskała. Wiedziała, że sam musi zdecydować, kiedy będzie gotów, by podzielić się z nią wiadomościami. Oparła głowę na jego ramieniu i czekała.

Dawid patrzył w przestrzeń, choć nie poświęcał uwagi temu, co widział wokół siebie. Wreszcie wytarł wierzchem dłoni twarz i powiedział:

– Zabili go prawie dwa lata temu. Pamiętasz te egzekucje w Lesie Łągiennickim?

Skinęła głową. Cała Łódź aż huczała od plotek, że tuż przed Bożym Narodzeniem wywieziono wszystkich więźniów politycznych i rozstrzelano. Jedni powątpiewali, by ktokolwiek odważył się strzelać do ludzi bez wyroku. Inni twierdzili, że więźniom kazano

wykopać dół, a później się rozebrać i wejść do dołu, który następnie zasypano. W końcu wersji o tym, co zaszło w lesie, było tak wiele, że nikt nie miał pewności, co naprawdę się stało.

– Matka przez ostatnie dwa lata czekała na niego... Wierzyła, że wróci. Nie powinienem jej na to pozwolić.

– Chciałeś znać prawdę.

– I co mi po tym? – Spojrzała na nią. Jego niemal czarne oczy błyszczały od łez.

– Lepiej znać prawdę, nawet jeśli jest ona bolesna, niż żyć w sieci utkanej ze złudzeń.

– Jak ja to powiem matce?

– Wiem jedno – zaczęła. – Wolałabym mieć pewność niż trwać w zawieszaniu.

Patrzył na nią, lecz milczał. Jego myśli galopowały wśród na nowo pisanych scenariuszy rozmowy z matką. W każdym z nich widział ją cierpiącą, zbolaną i samotną. Nie chciał, by w takim stanie świętowała nadchodzącą Chanukę.

– Nic nie mów matce – odezwał się w końcu i spuścił wzrok. – Ona nie może się dowiedzieć.

– Dlaczego chcesz to ukrywać? – obruszyła się.

– To nie jest dobry czas na takie wieści. Teraz wszyscy musimy skupić się na tym, że wkrótce nasza rodzina się powiększy. Będziemy potrzebowali matki.

– Myślisz, że masz prawo ukrywać to przed nią?

– Nie, ale prawda wyrządzi więcej szkody niż pożytku.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Abigail, a za nią jej dwaj synowie.

– Znalazłam tych ancymonów na podwórku, nacierali się śniegiem – poskarżyła się, choć w jej głosie nie słychać było gniewu. – Uszy już im odmarzły, ale żaden nie chciał odpuścić.

– Mami, zabrakło mi dwóch minutek, żebym położył go na łopatki – wszedł jej w słowo Józef i łypnął spode łba na brata.

– Chyba śniesz! – oburzył się Elias. – To ja dałem ci wycisk.

– Zaraz ja z was wycisnę ostatnie soki, jak mi nie nanosicie drewna na jutro – przerwała ich kłótnię matka. – Zdjąć mokre ubrania i do roboty marsz.

Chłopcy bez słowa zaczęli zdejmować przemoczone swetry i spodnie.

– Mamo, nie musisz wysyłać ich po drewno. W kuchni jest cały kosz – wyjaśniała Laura. – Dostaliśmy je od sąsiadów.

– Dzięki tobie tej zimy nie zmarzniemy – pochwaliła ją teściowa i pocałowała w czoło, ale gdy się odwróciła i omiotła wzrokiem synów, jej mina zmarmotniała. – Mokre rzeczy powiesić w kuchni na sznurku – poleciła. – Zobacz, co udało mi się znaleźć – zwróciła się znów do Laury.

Widok białego skrawka materiału wzbudził w dziewczynie zainteresowanie.

– Kawalek mydła za takie чудо. Prawda, że będzie piękny kaftanik?

Laura uśmiechnęła się i spojrzała na milczącego męża. A może miał rację, nie chcąc wyjawiać prawdy o śmierci ojca?

* * *

Spieszył się. Miał do przejścia jeszcze pół kilometra, a godzina policyjna rozpoczynała się za dwie minuty. Zaczął biec, rozglądając się na boki, by mieć pewność, że żaden przypadkowy patrol Schupo go nie namierzy. Szkoda byłoby tego wieczoru wpaść w kłopoty. Zbyt wiele obietnic i planów poczynił chwilę wcześniej. Sam nie mógł uwierzyć, że jednak nie wszyscy ulegli paraliżującemu strachowi przed hitlerowcami i jest garstka odważnych, którzy chcą działać. Najważniejsze było zdobycie ich zaufania i udowodnienie, że ma plan działania.

Pomysł zrodził się podczas rozmowy z Szulcem zadowolonym z tego, że przy szwalni ulokowano oddział straży ogniowej. Teraz wszyscy czuli się znacznie bezpieczniej, bo w razie pożaru pomoc mogła nadejść niemal natychmiast. Strażacy mieli wiadra, ale też małe szpadelki do przekopywania rowów mających stanowić naturalną przeszkodę dla rozprzestrzeniających się płomieni. Sprzęt, który miał służyć do pomocy, mógł zostać wykorzystany znacznie lepiej i o tym lepszym pomysłe Dawid dzisiaj poinformował swoich towarzyszy. Zebrał już około stu osób. Sami młodzi ludzie, którzy pragnęli powrotu do swoich domów i skradzionego im życia. Szczególnie starannie dobierał ludzi. Wiedział, że jeden błąd

może kosztować setki istnień. Miał świadomość, że wokół niego żyli Żydzi, którzy za miskę stawy byli w stanie wydać nawet najbliższych. Byli też tacy, którzy drżeli na samą myśl o przeciwstawieniu się nazistom, ale on wolał się skupić na tych, którzy chcieli oddychać pełną piersią.

Gdy szarpnął za drzwi wejściowe do kamienicy, ledwie łąpał oddech. Zapalił zapałkę i ruszył w górę po schodach, licząc na to, że szybko nie zgaśnie. Właśnie minął pierwsze piętro, gdy drzwi uchyliły się i zobaczył w nich znajomą twarz sąsiada.

– Wszystko załatwiłeś?

– Wszystko według planu.

– Rozmawiałem już z dowódcą – szepnął nieco niższy od Dawida mężczyzna i wyszedł na korytarz, zamykając szczelnie drzwi. Rozejrzał się, by mieć pewność, że żaden inny lokator ich nie słyszy i ciągnął: – Masz jego wsparcie, ale potrzebuje czasu, by wy badać teren. Nie chce niepotrzebnie ryzykować. W jednostce jest kilku nowych i nie wie, czy może im ufać. Trochę ich podpuści i sprawdzi, dokąd zanoszą te informacje. Później będzie jasne, komu może zaoferować udział w twoim planie.

– Rozsądnie – przyznał i poklepał sąsiada po ramieniu. – Ostrożności nigdy za wiele. Drugiej szansy nie będzie.

Sąsiad pokiwał głową. Znali się, odkąd Lewiatan zamieszkał w tej kamienicy. Byli w podobnym wieku i chętnie ze sobą rozmawiali. Szybko okazało się, jak wiele łączy Dawida z Jonaszem. Ta przyjaźń doprowadziła ich aż do działań konspiracyjnych.

– Do jutra – pożegnał się Jonasz i wrócił do mieszkania.

Dawid zapalił drugą zapałkę i wszedł na kolejne piętro. Pchnął drzwi i wsunął się do środka. Światła były już pogaszone. Przemknął na palcach obok drzwi prowadzących do pokoju Baskinów. Odkąd wnuczki Jordana Baskina pracowały, wszyscy chodzili wcześniej spać, by o świcie zwlec się z łóżka i jak o dzień podążyć do resortu szwajcarskiego.

Mężczyzna wślizgnął się do swojego pokoju i ostrożnie posuwał się do przodu. Ciemność rozjaśniał wpadający przez okno blask księżyca. Dostrzegł Laurę siedzącą przy stole. Pocałował ją, gdy odwróciła się w jego stronę.

– Martwiłam się, że nie zdązysz – szepnęła, nie chcąc obudzić domowników.

– Trochę się przedłużyło. – Wsparł dłoń na jej ramionach i przytulił zmarnięte policzki do jej twarzy. – Ale nikt mnie nie widział.

– Musisz mi obiecać, że będziesz ostrożniejszy. Teraz jesteś podwójnie odpowiedzialny – powiedziała i położyła jego dłoń na swoim brzuchu. Dziecko najwyraźniej spało, bo nie poruszało się.

– Kochanie, dla was zrobię wszystko, ale przede wszystkim chcę godnego życia.

– Mam nadzieję, że wreszcie stąd wyjdziemy.

– Musi się udać. Musimy tylko przekonać jak najwięcej ludzi, by przestali się bać i ruszyli do walki. Niemcy nie spodziewają się tego po narodzie żydowskim. Właśnie dlatego nami gardzą i plują nam w twarz. Nie mają pojęcia, że są też tacy, którzy potrafią wstać z kolan i spojrzeć im prosto w oczy jak równym sobie.

– Myślisz, że to ma szansę się udać?

– Gdybym w to nie wierzył, nie biegałbym po mieście, narażając życie najważniejszych dla mnie osób. – Przyklęknął przed żoną i położył głowę na jej kolanach. – Zrobię wszystko, byście byli szczęśliwi.

Jego niedgdyś bujne, modnie przystryżone włosy teraz sięgały ramion i znacznie się przeredziły. Przez to, że schudł, wyglądał na wyższego, a wiszące na nim ubrania dodawały mu lat.

– Najważniejsze, że jesteśmy razem – zauważyła i pocałowała czubek głowy męża.

Dawid podniósł się i pomógł jej wstać. Podprowadził ją do łóżka, ale po drodze potknął się o coś i w ostatniej chwili odzyskał równowagę.

– Co do licha? – warknęła nieco zbyt głośno.

– Ciii – przywołała go do porządku. – To kołyska – pochwaliła się.

– Skąd ją masz?

– Elias z Józefem przytaszczyli ją wieczorem.

– Czy oni oszaleli? – oburzył się, znowu zapominając o tym, że pozostali domownicy zdążyli zasnąć.

– Byli bardzo ostrożni. Rozkręcili kołyskę i nieśli ją w kawałkach ukrytą pod chustami, by w razie czego łatwiej było ją wyrzucić.

– Wiesz, że gdyby natrafili na jakiś patrol, mogliby ich rozstrzelać? – syknął zdenerwowany.

– Wiem, ale nie miałam pojęcia, że chłopcy coś kombinują – próbowała załagodzić sytuację.

– Nie wiedzieli, że tyle ryzykują.

– Oni zawsze kombinują, ale robię z tym porządek, jak tylko się obudzą – ciągnął, a jego wzburzenie nie zniknęło.

– Daj spokój, chcieli dobrze.

– Wyobrażasz sobie, co zrobiłaby matka, gdyby coś im się stało? – Jego głos się załamał. – Najpierw ojciec, a teraz oni... Ona by tego nie przeżyła. Wiesz, że tylko dla nich codziennie znajduje w sobie siłę, by zwlec się z łóżka.

Nie musiał jej tego mówić. Widziała, że jedyną radością Abigail były jej dzieci. Patrzyła na nie z miłością i zbyt wiele wybaczała, zaprzeczając tym samym lata wychowania w dyscyplinie. Czy byłaby jednak w stanie gniewać się na dzieci, dla których od dwóch lat każdy dzień życia był nagrodą, a jednocześnie przekleństwem?

Laura objęła męża i w milczeniu czekała, aż jego emocje opadną na samo dno skołatanej duszy. Gdy poczuła, że ochłonął, pocałowała go tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zostali sami w mieszkaniu jej rodziców.

Pamiętała, że spotykali się już od kilku miesięcy. Dotychczas zawsze ktoś z rodziców albo Maria byli obecni w czasie wizyt Dawida na Kościuszki. Tej niedzieli rodzice zamierzali zjeść obiad w towarzystwie dawno niewidzianego przyjaciela ojca z lat młodości, a Maria wybierała się na mszę świętą za duszę swego męża. Anna Kozłowska długo cmokała i tak energicznie kręciła głową, że Laura niemal miała pewność, iż rodzice zrezygnują z obiadu. Ojciec jednak wyjątkowo mocno naciskał na wyjście. Wreszcie matka opracowała plan niemal idealny. Udało jej się przesunąć godzinę obiadu, by Maria zdążyła wrócić z kościoła. Nie przewidziała tylko jednego. Trzeba jej to jednak wybaczyć, gdyż nie należała do zagorzałych katoliczek. Zbyt rzadko chodziła do kościoła, by pamiętać, że pierwsza niedziela miesiąca to wyjątkowy dzień i msza trwa znacznie dłużej przez dodatkowe nabożeństwo.

Dawid za to był nad wyraz punktualny i zjawił się pod drzwiami dokładnie wtedy, gdy rodzice Laury byli już gotowi do wyjścia. Tymczasem Marii ani widu, ani słychu. W końcu błagalne spojrzenie Leopolda przekonało Annę. Włożyła kapelusz z ogromnym rondem w kolorze pudrowego różu i ruszyła do wyjścia.

Laura zaprosiła Dawida do niewielkiego saloniku i gdy tylko usłyszała trzaśnięcie drzwi, podbiegła do okna. Gdy upewniła się, że rodzice wsiedli do dorożki, podeszła do ukochanego i oparła dłoń na jego torsie. Przez cienką koszulę poczuła bijące od niego ciepło. Uniósła głowę i zatoneła w jego spojrzeniu. Jej dłoń wędrowały w górę. Jego wręcz przeciwnie, przesuwają się wzdłuż pleców. Opuszkami dotknęła jego gładko ogolonej twarzy. Wspięła się na palce i rozchyliła usta. Czuła na twarzy jego przyspieszony oddech. Odruchowo przymknęła powieki w chwili, gdy poczuła, jak delikatnie muska jej wargi. Chciała prawdziwego pocałunku, przywarła więc do niego całym ciałem. Powstrzymał jej zapał i nieco się odchylił. Teraz językiem wodził po jej ustach, czasem lekko je gryząc. Za każdym razem czuła przyjemny ucisk w dole brzucha. Chciała więcej. Potrzebowała więcej. Jej ciałem wstrząsała fala pożądania. Nie mogła dłużej walczyć. Wpiła się w jego usta, dając upust ekscytacji. Nie liczyło się nic więcej. Nie wiedzieli, jak długo to trwało. Nie słyszeli otwierających się drzwi i nie dostrzegli osłupienia wracającej z kościoła Marii. Kobieta jednak szybko przypomniała sobie, jak sama czuła się przed zamążpójściem, dlatego taktownie odwróciła się na pięcie i wyszła z mieszkania, by ponownie do niego wejść, najgłośniejszym jak tylko potrafiła.

Dwa i pół roku później to Laura dręczyła męża muśnięciami i podskubywaniem ust, zanim się w nie wpiła, poddając się namiętności.

– Wskakuj do łóżka – szepnęła. – Bo nie wiem, czy zdołam się opanować.

Zachichotała cicho i dała mu pstryczka w nos. Dawid westchnął, pomógł żonie się ułożyć, po czym sam zasnął.

Śniło mu się, że jedzie pociągiem. Obok niego siedzi Laura i nachyla się nad dzieckiem zawiniętym w becik. Nie widzi jego twarzy. Za to jego żona promienieje szczęściem. Ma na sobie zwiewną białą sukienkę w czerwone maki. Tak pięknie podkreśla jej opaleniznę. Perlisty śmiech Laury faluje nad głowami pozostałych pasażerów. To pierwsze ich wspólne wczasy nad morzem. Był przekonany, że nie ostatnie. Nagle czarny dym wydobywający się z komina lokomotywy dostaje się przez otwarte okno do środka wagonu. Wszyscy zaczynają się dusić. Laura próbuje osłonić dziecko. Dym jest jednak tak gęsty, że szybko przestaje cokolwiek dostrzegać. Twarze rozmywają się, zamieniając się w niewyraźne widma, które niespodziewanie wyrwywają dziecko z jej objęć i rozplývają się w nasiąkniętym strachem powietrzu. Krzyczy, choć z jego ust nie wydobywa się głos. Próbuje biec, ale jakaś siła ciągnie go w dół.

Otwiera oczy i się rozgląda. Słyszy pochrapywania braci. Na łóżku dostrzega zarysowane dwie postaci okryte kołdrą. Koszmar minął.

Noc wlecze się, kpiąc ze snu.

* * *

Podpłomyki najbardziej smakowały z sosem grzybowym. Laura przymknęła powieki, by odszukać w zakamarkach pamięci smak sosu przygotowywanego z młodych borowików. Maria specjalizowała się w daniach z grzybów i dziczyzny. A jej pasztety słynęły w całej kamienicy. Sąsiadki przybiegały do niej po przepisy. Ale jak same wielokrotnie twierdziły, ich mięso tak nie pachniało i nie smakowało.

Laura zdjęła kolejny podpłomyk z blatu kuchni i włożyła do miski. O sosie nawet nie marzyła, wystarczyło, że Abigail przyniosła trochę mąki pszennej. Dzisiaj na obiad mieli co jeść. Chłopcy na chwilę wyszli na dwór, bo przez ostatnie dni szalała śnieżycy, więc musieli siedzieć w domu. Laura wolała nie wychodzić. Brzuch ciążył i przeszkadzał. Czuła, że wkrótce nastąpi rozwiązanie. Marzyła, by jej syn przyszedł na świat w święta. Boże Narodzenie to dla niej wyjątkowy czas.

– To on zaczął! – krzyknął Elias, wchodząc do mieszkania.

– Sam zacząłeś – odgryzł się hardo Józef. – Następnym razem dostaniesz nie tylko śnieżką w łeb.

– Dość! – zagrzmiał prowadzący ich za pałta Dawid. – Jeśli zaraz nie przestaniecie skakać sobie do gardeł, to spędzicie noc w piwnicy. Może tam się nauczycie panować nad językami! Mam już dość waszych kłótni!

Winowajcy spuścili wzrok. Naburmuszeni zdjęli płaszcze i powiesili je przy kuchni, by szybciej wyschły.

– Obiad już czeka – odezwała się Laura i pokazała stojącą na stole miskę z podpłomykami. Podniosła się, by wlać wrzątek do glinianego dzbanuszka, do którego wcześniej włożyła zerwane i ususzone latem liście malin.

Zanim zaszli do stołu, z pracy wróciła też Abigail. Odwiesiła grubą chustkę zdjętą z głowy i zdjęła pałto. Przez chwilę ogrzewała dłonie nad żeliwnymi fajerkami. Wreszcie zaszli do posiłku. Choć nazywali go obiadem, to pora jego spożywania bliższa była kolacji. Tak czy siak, bez względu na nazwę, o kolejnym posiłku mogli pomyśleć dopiero rankiem.

Kiedy zjedli i rozgrzali się herbatą malinową, Abigail sprzątnęła ze stołu i podreptała do pokoju. Jej synowie ze skwaszonymi minami podążyli za nią.

– Jak się czuje moja żona? – spytał Dawid, kładąc dłoń na jej brzuchu.

– Ciężko... Chciałabym już mieć to za sobą – przyznała.

– Eliza obiecała pomóc przy porodzie.

– Gdyby nie wojna, pewnie prowadziłaby aptekę.

– Taki miała plan.

Dawid pomógł Laurze wstać. Gdy wyszli na korytarz, usłyszeli dochodzący zza drzwi hałas. Strzępy rozmów, pokrzykiwania, płacz dzieci i skrzypienie przeciążonych drewnianych schodów. Zanim zrozumiał, co się dzieje, drzwi do mieszkania otworzyły się z hukiem i do środka wbiegło kilku oficerów Kripo. Ich długie płaszcze wypełniły ciasny korytarz.

– Na podłogę! – krzyknął jeden i nie czekając na reakcję, uderzył Dawida kolbą karabinu.

Mężczyzna natychmiast zgiął się w pół i upadł na kolana. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Ciemność przed oczyma przysłoniła mu widok ukochanej. Próbował nabrać powietrza i przysunąć się do żony, ale przez to tylko zwrócił na nią uwagę.

– A co my tu mamy? – Policjant ze szramą na policzku podszedł do Laury i z obrzydzeniem spojrzął na jej brzuch. – Śmierdząca Żydówka będzie miała bachora – podsumował. – Z tobą? Czy puszczała się z połową kamienicy?

Laura drżała, starając się zakryć brzuch.

– Z kim się szlajałaś, suko? – zwrócił się do niej okaleczony, a pięciu innych ruszyło na przeszukanie mieszkania.

– To... moje dziecko – krztusząc się, powiedział Dawid.

Policjant wraz z dwoma towarzyszami, którzy ani na chwilę nie opuścili broni, roześmiał się głośno. Nagle jego twarz stężała. Teraz szrama ciągnęła się od prawej skroni aż do brody wydała się jeszcze szpetniejsza.

– Tak tu sobie dogadzacie? – spytał i splunął. – A nie wiesz, że Żydzi nie mają prawa się rozmnażać? Jesteście ścierwem, które należy skutecznie plenić – oświadczył i z całej siły kopnął Dawida.

Ten zachwiał się i upadł. Zaczął dławić się krwią. Laura przykucnęła przy mężu i wytarła jego twarz rąbkami sukienki.

– Patrzcie, szmata, ale jaka troskliwa – zarechotał jeden z celujących do Dawida. Nosił okulary i był niskiego wzrostu. Być może dlatego wyglądał jak uczniak. Arogancją chciał wzbudzić strach. – Szmato, wytrzymaj to, bo ten gnój obryzgał mi świeżo wypastowane buty!

Laura odwróciła się po wiszącą przy kuchni ścierkę, gdy poczuła ból. Szarpnięcie za włosy kazało jej odwrócić głowę. Okularnik podtykał jej pod twarz swoje buty i mocno przyciskał jej głowę do podłogi. Nie miała siły stawiać oporu. Wiedziała, że musi zrobić wszystko, by jak najszybciej zostawili ich w spokoju. Zadarła sukienkę i zaczęła czyścić nią buty.

– Dobra robota! Tylko do tego się nadajecie. – Zrobił krok w tył, nie opuszczając broni. – A ty myślałaś, że możesz pod naszym nosem coś wykręcić? – zwrócił się do usiłującego podnieść się z podłogi Dawida. – Zachciało ci się wolności?

– Patrz, Hans, a przecież dzięki nam mają tak dobrze – okaleczony zwrócił się do trzeciego z kompanów. – Mają pracę. Zarabiają, a i tak nas nie szanują.

– Co za niewdzięczność. – Hans pokręcił teatralnie głową z niedowierzaniem.

Z pokoju Lewiatanów dochodziły odgłosy przeszukiwania. Po chwili na korytarzu pojawiła się Abigail z chłopcami i Jordan z wnuczkami.

– Niczego nie znaleźliśmy – zameldował jeden z pięciu policjantów oddelegowanych do zadania.

– Taki przywódca powstania i nawet broni nie ma? – Hans roześmiał się, a właściciel szramy przykucnął i zajrzał Dawidowi w oczy z udawanym współczuciem, po czym zapytał:

– Jesteś idiotą czy tylko przyśniło ci się, że możesz być mesjaszem?

– Oni wciąż wierzą, że są narodem wybranym – zagrzmiał Hans i wycelował pięścią w głowę Dawida.

Ten zatoczył się i upadł, wówczas stojący najbliżej niego Niemiec zaczął go kopać, gdzie popadnie. Dawid starał się osłonić głowę, ale ciosy spadały raz za razem.

Laura wyła, odciągnięta na bok przez Abigail. Nie mogła na to patrzeć. Drżała ze strachu.

– Już my się tobą zajmujemy z należytą uwagą, jak na wybrańca przystało – sztychł Hans.

– Gdzie masz broń?! – warknął mężczyzna ze szramą na twarzy. – Nie w mówisz mi, że nic nie masz! Gdzie ją schowałeś?!

Milczenie Dawida się przedłużało. Usiłował się podnieść. Otarł dłonią krwawiący łuk brwiowy, ale tylko pogorszył sprawę. Krew zalewała mu oczy.

– Mów! – ryknął Hans. – Twój ojczulek też zgrywał chojraka, a później wył jak zwierzę, gdy ucieliśmy sobie pogawędkę na temat jego niewyparzonej gęby. Myślał, że może kłapać dziobem, a my będziemy to tolerować.

Laura poczuła, że Abigail osuwa się na podłogę. Stojący obok niej chłopcy z podniesionymi do góry rękoma nie zdążyli zareagować. Laura nachyliła się nad teściową, próbowała ją ocucić.

Delikatne poklepywania nie przyniosły rezultatu. Błada twarz Abigail nie zdradzała oznak życia, jednak Laura się nie poddawała. Czuła na sobie wzrok przerażonych dzieci.

– Nie chcesz mówić? – dopytywał Hans. – A taki byłeś odważny. Myślałeś, że się nie dowiemy o twoich spiskach. Ilu takich śmierzących Żydków udało cię zebrać?

– Zamarzyła ci się wolność? – dołączył do kolegi drugi Niemiec. – Myślisz, że taki motłoch jest w stanie zagrozić potęgde niemieckiej armii z najlepszym strategiem na czele?

– Europa podkuliła ogon pod siebie i skowyczy na sam widok Hitlera, a ty myślałeś, że możesz knuć za naszymi plecami? – dodał Hans i roześmiał się tubalnym głosem, który zupełnie nie pasował do jego smukłej sylwetki.

– Już my ci przypomnimy, gdzie jest miejsce takich gnid jak ty. Zabrać go – zwrócił się do czekających przy drzwiach policjantów.

Laura, zaskoczona obrotem sprawy, poderwała się i ruszyła w stronę Dawida. Nie powstrzymał jej nagły skurcz. Jęknęła z bólu, ale nie zatrzymała się. Złapała męża za dłoń i pociągnęła go w tył.

– A ty co? Chcesz iść z nami? Dobrze żoneczki z tych Żydówek.

– Błagam, zostawcie go – odważyła się odezwać po niemiecku. – On nic nie zrobił.

– I myślisz, że ci uwierzymy? Żydom nie można ufać! – Hans obrzucił ją nienawistnym spojrzaniem i pociągnął Dawida za sobą.

Ten zachwiał się, ale nie upadł. Dotknął brzucha żony i musnął ustami jej czoło, pozostawiając na niej ślady swojej krwi.

– Błagam, błagam – powtarzała, rzuciwszy się pod nogi stojącemu najbliżej niej policjantowi. – On jest niewinny...

– Poszła! Wynocha! – Odganiał ją niczym psa. – Precz, suko!

– Błagam, zostawcie go... – nie przestawała.

Poczuła lekkie, choć stanowcze pociągnięcie. To Elias z próbował ją podnieść z pełnej krwistych plam podłogi. Nie była w stanie drgnąć. Patrzyła na wyprowadzanego męża i nie mogła pojąć, że chwilę wcześniej byli tak bardzo szczęśliwi. Tak się starali, by dać sobie miłość, a teraz kiedy na świat miało przyjść ich dziecko, nie mogli zostać rozdzieleni. Potrzebowała Dawida jak słońca, które dawało ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Jej siła pochodziła z jego miłości.

Zebrała się w sobie i wyrwała z rąk Eliasza, po czym rzuciła się na męża. Objęła jego zgarbione plecy i nie puszczała. Któryś z Niemców zaczął uderzać w jej dłonie lufą pistoletu, ale nie puściła. Inny podbiegł i wykręcił jej ręce. Usiłowała je wyrwać, choć rozrywający ból w podbrzuszu pozbawił ją tchu. Po chwili zaczęła wyc nieczym schwytane w sidła zwierzę i resztką sił napierać na policjanta.

– Dość tego cyrku! – obruszył się Hans i jego ciężki but wylądował na brzuchu Laury.

Upadła bezsilna i przez chwilę się nie poruszała. Elias bał się drgnąć. Najmłodszy z Baskinów schował się za siostrami i płakał. Dziewczeta drżały ze strachu. Bały się patrzeć na to, co się działo. Jordan wciąż trzymał ręce podniesione nad głowę, a jego wzrok spoczywał na Laurze, która leżała nieruchomo. Wokół niej rozlewała się coraz większa plama krwi. Kiedy mieszkanie opuszczało, domownicy ruszyli w jej stronę. Laura otworzyła oczy i nerwowo przetykała ślinę.

– Nie ruszaj się – powiedziała spokojnie Abigail, wracając do siebie. – Dziewczynki, rozdmuchajcie ogień i zagrzejcie dużo wody. Eliaszu, pomóż mi i panu Baskinowi przenieść Laurę do naszego pokoju. Józefie, biegnij i sprowadź tu Elizę Szulc. Powiedz jej, że już się zaczęło. Ona będzie wiedziała, o co chodzi. Samuelu, zamknij drzwi wejściowe i idź posprzątać wasz pokój.

Wszyscy ruszyli do przydzielonych zadań. Laura została przeniesiona do pokoju i ułożona na sienniku. Ból pojawiający się z każdym kolejnym skurczem pozbawiał ją tchu. Wiedziała, że nie wolno jej krzyczeć, żeby nie wzbudzać zainteresowania Schupo. Zaciskała więc zęby, nie panując nad ściekającymi po policzkach łzami bólu i złości. Sukienka kleiła się do jej spoconego ciała. Abigail położyła na jej skroniach chłodny okład.

– Jeszcze chwila – obiecywała spokojnym, kojącym głosem. – Zaraz odetchniesz.

Tymczasem kolejna fala bolesnych skurczów przeniosła Laurę do mrocznej krainy samotności i cierpienia.

Siostry Baskin uwijały się jak w ukropie, donosząc kolejne saganki z gorącą wodą i wynosząc brudną. Sara przyklękła przy sienniku i zaczęła obmywać rozpaloną twarz Laury. Kiedy odłożyła szmatkę na bok, chwyciła dłoń rodzącej i przycisnęła ją do twarzy.

– Dasz radę, kochana – zapewniała.

– Oddychaj. Nie wstrzymuj oddechu – nakazała teściowa, sprawdzając szerokość rozwarcia.

Kolejny skurcz i niemy krzyk Laury, ściskającej dłoń Sary wzmógł niepokój Abigail.

– Gdzie ta Eliza? Musi zdążyć – utyskiwała, płucząc kolejny raz prześcieradło, którym wycierała krew. – Dużo krwi. Bardzo dużo – powtarzała.

– Czy coś nie tak? – spytała Laura, słysząc narzekania.

– Nigdy nie przyjmowałam porodu, więc nie wiem do końca, jak to wygląda.

– Ale rodziłaś, więc chyba pamiętasz? – dociekała Laura.

– To nie to samo. Potrzebujemy pomocy kogoś, kto choć trochę się na tym zna.

– Wszystko będzie dobrze, oddychaj i spróbuj się nie denerwować – włączyła się do rozmowy Sara, która dostrzegła rosnący niepokój Laury. – Pomożemy ci.

Chwilę później do pokoju wbiegła zdyszana Eliza. Zanurzyła dłonie w gorącej wodzie i mocno wyszorowała je mydłem. Wytarła ręce i odwróciła się w stronę Laury. Józef i Eliasz ścierali krew z korytarza.

– To do dzieła, malutka – zachęciła. – Przez ostatnie dwa lata odebrałam tyle porodów, że niejeden lekarz mógłby mi zazdrościć.

Laura odetchnęła. Teraz już mogła być spokojna.

ROZDZIAŁ X

WIOSENNE PRZEBUDZENIE

Nabrzmiałe pąkami liście czekały gotowe, by wystrzelić wraz z nadejściem cieplejszych dni. Marzec tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku był wyjątkowo chłodny. Nocą temperatury wciąż spadały poniżej zera. Przyroda musiała cierpliwie czekać.

Laura, jak co rano, zasiadła przed oknem i wpatrywała się w jeden punkt, choć gdyby ktoś zapytał ją, co widzi, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Przed oczyma miała te same obrazy, w których na pierwszym planie był jej mąż. Tak bardzo tęskniła za jego uśmiechem, dotykiem i zapachem. Od tygodnia nie miała żadnych wieści od Elizy. Już dwa razy czekała pod jej mieszkaniem, żeby dowiedzieć się czegoś o mężu, ale bezskutecznie. Laura wiedziała, jak wiele ryzykuje dla niej Eliza, wypytując Brauna o Dawida, ale nie potrafiła przestać myśleć o tym, jak wyciągnąć męża z aresztu. I choć Eliza nie mówiła, jak solidnie go przesłuchują, to Laura była przekonana, że nikt długo nie wytrzyma rozmów z katem. Dlatego, gdy tylko poczuła się lepiej, sama poszła do Szulca. Miała nadzieję, że wystarczą jego znajomości, by Dawid wyszedł z aresztu. Szybko przekonała się, że Niemcy takich jak on traktują szczególnie ostro i robią wszystko, by dać im porządną nauczkę i wyplenić w innych śmiałkach chęć spiskowania. Szulc nie ukrywał, że Dawid tylko dlatego wciąż jeszcze żyje.

Eliza była nieco bardziej subtelna. Rozumiała, czym jest miłość. Tym bardziej w sytuacji, w której znajdowała się Laura. Nikt inny oprócz Dawida nie mógł ukoić jej rozszarpanego na strzępy serca.

Eryk na początku nie chciał znowu szukać jakiegoś Żyda. Wystarczająco dużo ryzykował, spotykając się z Elizą. Dziewczyna była jednak jak magnes. Potrzebował jej spojrzenia, dotyku i ciepła, by móc przeżyć w tym miejscu. Paradoksalnie nienawidził go, ale nie wyobrażał sobie, że mógłby być gdzie indziej. Od miesięcy nie był w domu. Kolejny raz przełożył urlop, wymawiając się ważnymi zadaniami. Wolał ten czas spędzić z Elizą. Formalnie zatrudnił ją jako sprzątaczkę w mieszkaniu, które, jak podkreślał, było jedynie przejściowym¹⁸. Oficjalnie wciąż czekał na przydział lokalu w mieście. W gruncie rzeczy sam odwlekał moment przeprowadzki, wytykając polskiemu robotnikom odpowiedzialnym za odświeżenie i urządzenie mieszkania ich niedociągnięcia. Eliza odeszła z resortu, a jej miejsce zajęła Laura. Dotychczas jednak nie pokazała się w pracy. Szulc przymykał na to oko, starając się w ten sposób pomóc rodzinie Lewiatanów. Fałszował dokumentację, ale wiedział, że to nie może trwać w nieskończoność. Naciskał na Elizę, by zmusiła Laurę do przyścia do zakładu. Ta wciąż zwlekała, widząc w jakim stanie jest dziewczyna.

Laura ocknęła się, gdy dostrzegła, że bracia Dawida ubierają się w zimowe palta.

– A wy dokąd? – spytała cicho.

– Mama załatwiła nam pracę w pralni – pochwalił się Józef. – Będziemy zarabiać.

– Co? Jak to zarabiać?

– Mami nie zdoła nas wszystkich utrzymać, a skoro Dawida nie ma, a ty nie pracujesz...

– Ciii! – Ełiasz kopnął brata w kostkę tak mocno, że tamten syknął z bólu i stracił watek.

– Jesteście za mali, żeby pracować.

– Niedługo skończymy trzynaście lat, większość dzieciaków w naszym wieku już od dawna pracuje.

– Przepraszam was – wyszeptła, chowając twarz w dłoniach. – Przepraszam.

Ostatnio nie myślała o sprawach przyziemnych. Teraz zdała sobie sprawę, że była na całkowitym utrzymaniu Abigail.

– To nie twoja wina, a mama mówiła, że dzięki pracy w pralni jesteście przydatni dla Niemców i nic nam nie grozi.

– Oby – powątpiewała Laura, próbując wziąć się w garść.

Chłopcy pożegnali się i wybiegli z domu. Znowu byli radośni, jakby nie pamiętali o tym, co się niedawno wydarzyło.

Ona pamiętała. Może zbyt długo? Może zbyt mocno?

Wstała i włożyła znoszoną marynarkę, która drugi rok służyła jej jako palto zimowe. Głową okryła czarną chustą i wyszła z mieszkania. Ostatnio rzadko chodziła po ulicach getta. O tej porze wszyscy mieszkańcy żydowskiej dzielnicy znajdowali się w resortach. Minęła kilka nieotynkowanych budynków i skręciła w ulicę, którą często chodziła z Dawidem do szkoły. Gdy szli razem, nie czuła strachu. Dzisiaj to miejsce stało się obce. Chłód lizał jej policzki. Poprawiła chustkę i przyspieszyła kroku. Dawno tak szybko nie maszerowała. Ciężko dysząc, stanęła przed resortem, w którym powinna pracować. Przystąpiła próg i weszła do środka. Odgłosy turkoczących maszyn do szycia przypominały jej żalobną pieśń. Zastębała się.

– Laura? – Drgnęła, słysząc swoje imię. – Nareszcie być – odezwał się Szulc i poprowadził dziewczynę do swojego kantorka. Kiedy zostali sami, zapytał: – Jak ty się czuć?

Zamiast odpowiedzieć, pokiwała głową, ale nie przekonała go.

– Od jutra będę przychodziła do pracy – odezwała się cicho. – Dziękuję, że mi pan pomógł i tak długo mnie krył.

– Ja być to winien Dawid. Tylko tyle móc zrobić – westchnął niepocieszony.

– Aż tyle... Obydwoje z Elizą bardzo dużo dla nas zrobiliście. Gdyby nie ona – zawałała się.

– Mogłoby być jeszcze gorzej – dodała po chwili drżącym głosem.

Wciąż nie podniosła wzroku. Oparła się plecami o ścianę, jakby w obawie przed upadkiem. Wspomnienia sprawiały jej ból. Ten zaś odejmował jej siłę do działania. Wiedziała to, dlatego unikała wspomnień. Musiała tylko wymazać z pamięci tamten dzień. Otrząsnęła się niczym kot, który przypadkiem wpadł do wody, i skierowała myśli na najważniejszą w tej chwili sprawę.

– Czy Eliza wspominała coś o Dawidzie? – spytała, a jej głos nagle stał się silniejszy.

– Właśnie dzisiaj mieć do ciebie zajrzeć, żeby powiedzieć ci, że on wciąż żyć.

– To już trzeci miesiąc. Nie wiem, jak długo zniesie tę katorgę.

– Najważniejsze, że się jakoś trzymać – zapewnił Szulc i poklepał ją po ramieniu. Sam poczuł, że to za mało, że zbyt oficjalnie, ale bał się jej dotknąć, jak gdyby była porcelanową lalką, którą tak łatwo uszkodzić. Wiedział od Elizy, ile ta dziewczyna wycierpiała. – Gdyby oni chcieli go zabić, już by to dawno zrobili.

– A może wciąż wierzą, że kogoś wyda.

– Zanim zaczęli go przesłuchiwać, już większość buntownicy złapać – przyznał. – Wywieźć już ich do miasta. Ale sądzić, że ich więcej, dlatego mu nie odpuszczają. Niby tacy silni, a bać się nas. – Z dumą spojrział na nią.

– Myśli pan, że go kiedyś wypuszczą?

– Kto to wiedzieć, dziecko. – Wzruszył ramionami.

Czuła, że starzec nic więcej nie wie. Spróbowała się usmiechnąć na pożegnanie. Jeszcze raz podziękowała za dotychczasową pomoc i przyrzekła, że jutro wróci.

W drodze powrotnej analizowała informacje przekazane jej przez Szulca. Może miał rację, twierdząc, że gdyby Niemcy chcieli zabić Dawida, nie zwlekali by z tym tak długo. Ta myśl nappełniła jej serce nadzieją. Przyspieszyła kroku, w jej głowie bowiem zaświtała pewna myśl. Najpierw odegnała ją niczym natrętną muchę. Ta jednak uporczywie powracała. Pomysł może i był genialny, ale pozostawała kwestia jego realizacji. Nie mogła się jednak poddać. Miała coś na początek, lecz potrzebowała więcej, znacznie więcej. I tu pojawił się problem. Sama niewiele zdziałała. Tym razem musi poprosić o pomoc i podzielić się swoim planem z Abigail.

Weszła do mieszkania. Chodziła w kąt, na sto sposobów analizując swój pomysł. Nie znalazła lepszego.

Wieczorem teściowa wróciła do domu razem z synami. Laura nie chciała czekać, aż chłopcy pójdą spać. Nie było sensu nic przed nimi ukrywać. Chodziło o ich brata.

– Musimy zdobyć pieniądze i wykupić Dawida – powiedziały, gdy tylko cała trójka odwiesiła palta. – On żyje i musimy zrobić wszystko, żeby go wydostać.

Abigail patrzyła na nią zaskoczona. Nie miała pieniędzy. Wszystkie, które zdołała ze sobą przemyć do getta, już dawno wydała. Za zarobione rumki¹⁹ niewiele mogła kupić, bo

wszystkiego brakowało. Waluta ta nie funkcjonowała poza gettem, więc nikt z zewnątrz jej nie chciał. Przez to nie mieli szans na szmuglowane towary.

– Dobry pomysł – pochwylił Józef.

– A skąd weźmiemy pieniądze? – spytała Abigail, patrząc na syna.

– Przecież nie zostawimy naszego brata w potrzebie – oświadczył, jakby nie było nic bardziej oczywistego.

– Synku, potrzeba dużo pieniędzy, a nam ledwie wystarcza na chleb i kartofle.

– Mami, jak ty mnie nie znasz – roześmiał się i zaczął pruć swój siennik. Wszyscy w ciszy obserwowali jego zmagania. Wreszcie wyciągnął mały woreczek i podał go Laurze. – Znalazłem to wtedy, gdy zabrali Dawida.

Dziewczyna otworzyła zawiniątko i wyjęła jego zawartość. Przez chwilę patrzyła nieprzytomnym wzrokiem. Wreszcie sięgnęła do swojej kieszeni i podniosła obydwie dłonie do góry. Trzymała w nich obrączki. Mniejszą wraz z pierścieniem zaręczynowym przed przekroczeniem bram getta ukryła w bieliznie i nigdy więcej nie włożyła na palec, choć zawsze miała ją przy sobie. Dawid też nie nosił swojej obrączki na palcu. Zawiesił ją na sznureczku i założył na szyję. Zapomniała o tym. Widocznie w szamotaninie z policjantami sznureczek pękł. Szczęśliwie obrączka nie wpadła w niepowołane ręce.

– Jest warta kilka stówek – ocenił chłopak.

– Sądźcie, że to wystarczy? – powątpiewał Eliasz. – To tylko dwie obrączki i pierścionek.

– Już zazwyczaj – warknął Józef. – Może masz coś lepszego? – zakpił i splunął pod nogi.

Matka zgromiła go wzrokiem.

– A może mam pomysł, jak jeszcze coś zdobyć – odparł poirytowany. Znowu wyszedł na nieudacznika. Miał tego dość.

– To i tak bardzo dużo – zauważyła Laura. – Porozmawiam z Elizą, może uda jej się dotrzeć do kogoś, kto nam pomoże.

– To ty szukaj kontaktu, a ja zajmę się resztą – powiedział Eliasz nad wyraz poważnie, po czym włożył palto i bez słowa wyszedł z pokoju.

Tymczasem Laura ukryła obrączki i pierścionek zaręczynowy w woreczku i tym razem to ona zawiesiła go na szyi.

Kiedy zasypiała, mocno przyciskała do serca złote krążki, marząc o tym, by wkrótce ich miejsce zajął jej mąż.

* * *

Od kilkunastu minut Eliza chodziła po salonie, w którym od czasu do czasu dla niepoznaki musiała posprzątać. Eryk nie był typem bałaganiarza. Nie lubił też bibelotów, dlatego większość z tych, które zastał po wprowadzeniu się do mieszkania, kazał jej schować do pudła w szafie. Sam, jak przystało na żołnierza, miał mało rzeczy, tylko niezbędne ubrania, kilka książek i kosmetyki. Wojna to nie czas na dobrobyt – powtarzał, gdy równi lub wyżsi stopniem koledy zarzucali mu, że żyje jak mnich. Wygodne życie pozostawił daleko stąd. To tu jednak był szczęśliwy, choć nie miał prawa nikomu o tym wspomnieć. Wystarczyło jedno spojrzenie na Elizę, by zapomniał o całym świecie, o niewygodach wojennego życia, o skowycie wydobywającym się z piersi tych, których zmuszony był zabić, o poniżaniu tych, którym odebrano prawo do obrony. Taki musiał być na zewnątrz. Przy niej był wrażliwym kochankiem, tęskniącym za jej dotykiem.

Właśnie wrócił z pracy. Podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Dobrze, że już jesteś – pocałowała koniuszek jego nosa. – Tęskniłam.

– Nie masz pojęcia, co ja przeżywam, wiedząc, że jesteś w moim mieszkaniu, a ja muszę robić te wszystkie ohydne rzeczy. – Zaciśnął powieki i położył głowę na jej ramieniu. – Nienawidzę siebie za to.

– Wiem, kochanie – szepnęła i pocałowała płatek jego ucha. – Żałuję, że nie możemy cofnąć czasu.

– Byłem idiotą. Powiniennem cię zabrać i wyjechać gdzieś daleko. Najlepiej na drugi kraniec świata. Dzisiaj zylibyśmy normalnie i nie kryli się jak szczury po kątach.

– Może kiedyś tak jeszcze będzie – rozmarzyła się i odszukała jego usta. Ta chwila musiała im wystarczyć. W ich życiu pewność jutra nie istniała.

Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, Eryk zdjął marynarkę i usiadł do stołu. Eliza nałożyła na jego talerz ziemniaki i kawałek mięsa, resztę wzięła sobie. Nie jadła tak dobrze od początku wojny. Nie chciała, żeby Eryk pomyślał, że jest z nim tylko dla materialnych korzyści, dlatego początkowo odmawiała, wymawiając się tym, że musi szybko wrócić do ojca. Mężczyzna jednak tak długo nalegał, aż wreszcie uległa. Dzięki temu mogli dłużej ze sobą zostać. Zawsze też była w stanie wytłumaczyć się przed patrolem Schupo, że porucznik Braun późno wrócił i musiała mu podać kolację.

– Zdołałeś znaleźć kogoś, kto może nam pomóc? – spytała, gdy skończyli jeść.

– Wiesz, że to nie jest łatwe?

– Wiem i nawet nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz.

– W ten sposób mogę choć przez chwilę być lepszym człowiekiem.

– Dla mnie jesteś najlepszym.

– Nie wiesz, o czym mówisz. – Spuścił głowę i utkwiał wzrok w pustych talerzach. – Już nigdy nie zasłużę na to określenie. Zbyt dużo zrobiłem przeciwko bliźniemu.

– To on cię do tego zmusił. – Pokazała na portret Hitlera wiszący w każdym mieszkaniu, w którym zakwaterowano niemieckich żołnierzy. – To potwór, który za nic ma ludzkie życie. Jesteś jedną z wielu jego ofiar.

Eryk westchnął i spojrzał na jej pociągłą twarz.

– Lewiatan jest ledwie żywy. Przesłuchują go co kilka dni. Sam zastanawiam się po co, bo jeśli jeszcze ktokolwiek chciał walczyć, to po ostatnich aresztowaniach i przesłuchaniach na pewno stracił ochotę na powstanie. Jego przykład już obiegł całe getto. Lepiej dla chłopaka byłoby, gdyby umarł w spokoju.

– Nie mów tak. – Dotknęła jego dłoni. – Laura jeszcze nie uporała się z jedną śmiercią. Nie przeżyłaby kolejnej.

– Kochanie, nie chcę przed tobą niczego ukrywać, ale wątpię, żeby udało mi się coś wskórać w sprawie tego chłopaka.

– Błagam, zrób wszystko, by go wyciągnąć.

– Znalazłem dojdzie do strażnika, który pilnuje rewiru Lewiatana. Okazało się, że znamy się jeszcze ze szkoły w Berlinie. Później kontakt się urwał, ale rozpoznałem go. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby upewnić się, że nam pomoże.

– Dziękuję, dziękuję! – Rzuciła się w ramiona ukochanego i okryła jego twarz pocałunkami.

Takie chwile nosił w sercu i przywoływał je w pamięci, gdy musiał wykonywać rozkazy, które uwłaczały jego godności. Ostatnio było ich coraz więcej. Zagryzał dęby, nie chcąc o nich myśleć. Przed wojną nigdy by siebie nie podejrzewał, że może posunąć się do takich czynów. Czuł się, jakby to samo ciało, bez udziału woli, wykonywało rozkazy. Starał się nie myśleć, nie analizować i nie rozpamiętywać. Cierpiał na bezsenność, czasem przez cały dzień nie był w stanie niczego przełknąć.

Odkąd spotkał Elizę, zaczął lepiej się odżywiać. Nie chciał sprawiać jej przykrości i odmawiać kolacji. Poprzysiągł też sobie, że w jej obecności nigdy nie będzie myślał o pracy. Nie było to łatwe, ale bardzo pracował nad realizacją tego postanowienia. Gdy zamykał za sobą drzwi, miał wrażenie, że liczy się tylko to, co tu i teraz. Pachnące jedzeniem mieszkanie i ukochana kobieta stanowiły namiastkę szczęścia pośród szarej rzeczywistości.

Niespodziewane pukanie do drzwi zaskoczyło ich. Eliza pierwsza poderwała się na równe nogi. Wystraszonym wzrokiem omiotła stół i stojące na nim nakrycia dla dwóch osób. Żaden z talerzy nie był pusty. Sięgnęła po swój. Głośny brzęk upadających na drewnianą podłogę sztućców sprawił, że obydwójce podskoczyli. Łomotanie do drzwi nie ustawało.

– Idę! – krzyknął Eryk i wyszedł na korytarz. Upewniwszy się, że Eliza weszła do kuchni, przekręcił klucz i uchylił drzwi.

– Już myślałem, że nikogo nie ma – odezwał się przybyły podporucznik. – Mam butelkę francuskiego chardonnay prosto z Burgundii i pomyślałem, że najwyższy czas, żeby ją otworzyć.

Eryk próbował się uśmiechnąć, ale jego usta jedynie wykrzywiły się w grymasie. Wreszcie przesunął się i wpuścił gościa do środka. Niespełna trzydziestoletni mężczyzna o typowej nordyckiej urodzie wszedł do salonu. Ostatnio nie zaglądał tam zbyt często. Eryk ciągle się wymawiał zmęczeniem albo bólem głowy. Kiedyś chętniej topił smutki w kieliszku dobrego wina. Podporucznikowi Francowi Wagnerowi brakowało ich rozmów o amerykańskim kinie, które tak prężnie działało przed wybuchem wojny. Tego jednego nie mógł wybaczyć Hitlerowi. Wieczorami chciał zobaczyć jakiś dobry film i zapomnieć o całym świecie, a odkład zakwaterowali ich w Litzmannstadt, nie miał do tego okazji. Niemiecka propaganda czuwała nad doбором repertuaru, który rzadko mu odpowiadał. Kiedy odkrył, że mają z Erykiem wspólne zainteresowania, coraz częściej spotykali się wieczorami i dyskutowali o obejrzanych w przeszłości filmach.

– Pójdę po kieliszki – oświadczył Eryk.

Wagner powiódł wzrokiem po zastawionym stole. Jeden przedmiot przykuł jego uwagę. Odwrócił się do kolegi.

– Przeszkodziłem ci w kolacji – stwierdził.

– Już skończyłem. – Machnął ręką i otworzył niewielki, choć dobrze zaopatrzony barek. Wyjął dwa kieliszki i korkociąg, po czym zabrał się do otwierania wina. Po chwili jasny trunkę trafił do kieliszków.

– Brakuje tylko sera albo pieczeni z indyka – zauważył przybysz.

– Zaraz coś przyniosę.

– Ale na pewno ci nie przeszkadzam? – upewnił się Franc.

– Skąd ten pomysł? Dobrze, że wpadłeś. I tak nie miałem co robić.

– Masz gościa?

Eryk natychmiast dostrzegł dowód swojej słabości. Było za późno na zaprzeczenia.

– To szklanka sprzętaczki. – Roześmiał się i machnął ręką.

– Masz złote serce, że litujesz się nad tym ścierwem. – Franc pokiwał głową z uznaniem. – Ja bym się brzydził pić z tej samej szklanki co Żydówka, nawet gdyby była niczego sobie. – Roześmiał się rubaszenie.

Jego śmiech zmroził Eryka. Nie lubił tej mrocznej strony kolegi, z którym służył w jednym oddziale.

– Wolę, żeby najpierw spróbowała przy mnie to, co mi podaje do jedzenia – skłamał gładko Eryk, a w duchu modlił się, by Eliza tego nie usłyszała.

– Szanuję. – Spojrzał na niego z uznaniem. – Nie pomyślałbym o tym. Rzeczywiście tym parszywym świniom nie można ufać.

Eryk nawet nie czuł, jak mocno zaciska dłonie. Miał ochotę krzyknąć. Fala gorąca oblała jego ciało. Rozpiął guzik od kołnierzyka i zaczerpnął powietrza. Siłą woli zapanował nad chęcią uderzenia Wagnera w twarz. Wiedział, że to w niczym by nie pomogło. Napytałyby sobie biedy. Wokół pełno było podobnie myślących ludzi, którym on nie potrafił się przeciwstawić. Ta niemoc właśnie do niego dotarła. Poczuł zmęczenie. Chciał zostać sam. Nie miał ochoty na rozmowę, nawet o filmach. A już na pewno nie z Wagnerem.

– Twoje zdrowie – wzniosł toast i wypił duszkiem zawartość kieliszka. Otarł usta i odezwał się: – A teraz wyjdź!

– Co? – Podporucznik zmarszczył brwi i opuścił kieliszek trzymany przy ustach.

– Padam ze zmęczenia i nie dam rady dotrzymywać ci towarzystwa i tempa w picciu.

– Aaaa – odetchnął z ulgą. – Już myślałem, że coś wypaliłem.

– Chłopie, wróciłem z dwunastogodzinnej służby, więc moje zwoje nerwowe pracują w zwolnionym tempie. Nie znajdziesz we mnie kompana do rozmowy.

– To jeszcze po jednym kieliszeczku i już zmykam.

Eryk bez słowa wzniosł kolejny toast, po czym wypił najszybciej, jak potrafił. Franc dotrzymał mu kroku i po chwili ruszył do wyjścia. Eryk odetchnął, gdy zamknął za nim drzwi. Chwilę stał oparty o nie. Miał dość swojego obecnego życia. Gdyby nie znalazł Elizy, pewnie już dawno rzuciłby się z okna jak wielu Żydów. To dzięki niej chciał zostać w miejscu, którego całym sercem nienawidził. A może nadszedł czas, aby zacząć działać. Ta kiełkująca myśl

dodała mu otuchy. Przeszedł wzdłuż korytarza i zajrzał do kuchni. Eliza stała bez ruchu, odwrócona do niego plecami.

– Przepraszam – powiedział i objął ją. Drgnęła, ale się nie odwróciła. – To idiota.

– Powiedział to, co wszyscy Niemcy o nas myślą – szepnęła, ale w jej głosie nie wyczuł strachu czy smutku.

– Nie wszyscy – zaprotestował i odwrócił ją, by móc spojrzeć jej w oczy. – Wiesz, że tak nie jest.

Milczała, unikając jego wzroku.

– Jeśli tak sądzisz, to nie znasz mnie – posmutniał. – W ogóle mnie nie znasz.

Stali tak blisko siebie, a jednak ich myśli galopowały po dwóch różnych torach. Odsunął się. Powoli wyszedł z kuchni i wszedł do salonu, na końcu którego znajdowała się niewielka sypialnia. Zamknął za sobą drzwi i zaczął się rozbierać. Musiał przemyśleć sporo kwestii.

Pogrążony we własnych myślach nie słyszał, kiedy Eliza wyszła.

* * *

– Masz jakieś wieści? – dopytywała Laura, patrząc na Elizę.

Spotkały się w umówionym miejscu zaraz po wyjściu z resortu. Od kiedy Laura zaczęła pracować, rozmawiały niemal codziennie. Jednak od kilku dni Eliza zbywała jej pytania o wieści dotyczące Dawida. Najpierw tłumaczyła, że Eryk wyjechał do Warszawy, później twierdziła, że dał jej wolne, a dzisiaj kaszlała i pociągała nosem, nie mogła więc wrócić do pracy.

Laura była niespokojna, gdyż zdołała powiększyć zbiór biżuterii, za którą zamierzała wykupić męża. Józef w całkiem uczciwy sposób otrzymał pierścionek od rodziny Jonasza, wdzięcznej za to, że Dawid nie wydał ich syna. Chłopak ukrywał się od chwili, gdy Kripo weszło do kamienicy i wywlekło z niej Lewiatana. Niemal nie spał, ale wciąż żył i doskonale wiedział, komu to zawdzięcza.

– Na razie nie mogę nic więcej dla was zrobić – westchnęła i spuściła wzrok.

Laura dopiero teraz dostrzegła, że dziewczycyna posmutniała. Tak bardzo była pochłonięta własnymi problemami, że nie dostrzegła, że coś się dzieje z Elizą. Odkąd pomogła jej przy porodzie, a później do rana siedziała przy niej, tuląc ją, gdy obejmowała martwe ciało swojego synka, narodziła się między nimi bliska więź. Płakały razem, a gdy brakowało już łez, zasnęły. Rankiem to Eliza owinęła dziecko i wyniosła, by je pochować.

– Gdyby nie twoja pomoc... – Laura zacisnęła powieki, pod którymi pojawiły się łzy. – Nie da się słowami wyrazić wdzięczności – dodała i objęła Elizę.

Stały tak na ulicy mijanej przez wychodzących z resortu pracowników. Grupka nastolatków zmęczonych pracą powoli sunęła w stronę furtki. Gdyby nie wojna, mogliby teraz śmiać się i po prostu siedzieć w domu, co najwyżej marudząc nad zadaniami z algebry.

– Jutro też będzie pani recytować Pana Tadeusza? – spytał chudy dryblas w szarym, znoszonym palcie.

– Jeśli tylko będziecie chcieli słuchać – odparła i podniosła głowę, a na jej twarzy zamajaczył uśmiech.

– Już zdążyłaś się zaprzyjaźnić z dziećmi? – Eliza pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Po prostu nie lubię milczeć – odparła i postąpiła dwa kroki do tyłu.

Czekała aż wszyscy ich miną i dopiero wtedy odważyła się odezwać.

– Chcę go zobaczyć.

Eliza zmarszczyła brwi.

– To się nie uda. W więzieniu nie ma widzeń. Nikt nie zdoła tego załatwić, nawet za plik banknotów.

– Wiem, ale...

– Laura, uwierz mi, Eryk robi wszystko, co może, ale nie pozwolę mu ryzykować życia – wtrąciła się.

– Rozumiem i wcale tego nie oczekuję. Chodzi mi... – zawahała się, nie wiedząc, jakich użyć słów. – Chodzi mi o grób – wykrztusiła wreszcie.

Eliza na moment wstrzymała oddech. Wcześniej Laura nie zapytała, gdzie pochowano jej dziecko.

– Chodźmy. – Eliza pociągnęła Laurę za rękaw.

Mrok zdążył już pochłonać getto. Nieliczni przechodnie spieszyli do domów po całym dniu pracy. Przy jednej kamienicy zauważyły martwego mężczyznę. Szły w milczeniu, ale żadnej to nie przeszkadzało. Pogrążyły się we wspomnieniach sprzed trzech miesięcy, po których już nic nie było jak dawniej.

Laura każdego dnia tęskniła za mężem. Nic jej nie cieszyło. Przez kilka dni po porodzie leżała obolała. Siniaki po pobiciu utrzymywały się jeszcze długie tygodnie. Serce krwawiło do dzisiaj. Wiedziała, że ten ból będzie nosiła do końca swoich dni, ale od pewnego czasu dojrzywała do myśli, by zrobić to, na co początkowo nie miała siły. Znowu była sama pośród tłumów. Do getta wciąż przyjeżdżały transporty ludzi z zagranicy. Na ulicach mieszały się różne języki. W zamkniętych szkołach rozlokowano przybyłych z Berlina, Pragi, Wiednia czy Luksemburga.

Skreśliły z Łagiewnickiej i weszły do ogrodów na Marysinie. Później minęły je i udały się na cmentarz przy Brackiej. Eliza szła pierwsza, rozglądając się uważnie, by nie ominąć miejsca, w którym pochowała małe ciało. Minęły kilka zaniedbanych krzewów. Za nimi Laura zobaczyła plac zarośnięty wysoką trawą, którą gdzieś tam ktoś ścinał. Pewnie służyła za rozpałkę w piecach. Wreszcie Eliza zatrzymała się i odsłoniła małe skrawki ziemi, w który wetknięty był krótki patyk. Na jego górnej części powiewała kokardka z czerwonej wełny.

Laura ukłękła tuż obok. Oczywiście wyobraźni widziała małe posiniąłą twarz synka, któremu niemiecki agresor odebrał możliwość zaczerpnięcia pierwszego oddechu, pierwszego płaczu, pierwszego uśmiechu, pierwszych słów czy kroków. Patrzyła na kruszynkę ukrytą w jej ramionach i usiłowała pojąć, w czym to dziecko zawiniło.

Wzięła grudkę ziemi i rozkruszyła ją nad grobem. Później odmówiła modlitwę i położyła dłoń na ziemi. Miała wrażenie, że czuje bicie serca swojego dziecka. Przygryzła wargi usta, by ukryć ich drżenie. Płynące po twarzy łzy skapywały na palto.

Eliza położyła dłoń na jej ramieniu i lekko ją zacisnęła. Wiedziała, że żadne słowa nie będą wystarczającym pocieszeniem. Czekala.

– Nie ma słów, którymi mogłabym wyrazić wdzięczność za to, co dla mnie zrobiłaś – powiedziała Laura i odwróciła się, by spojrzeć przyjaciółce w oczy. – Dla nas – poprawiła się.

– Zasługujecie na znacznie więcej – odparła Eliza, jednocześnie przysięgając w duszy, że zrobi wszystko, by pomóc wydostać Dawida z więzienia. Ci ludzie zasługiwali na szczęście. Sama tyle ostatnio go zaznała. Nie przypuszczała, że właśnie w piekle odnajdzie utraconą miłość. – Wracajmy już, robi się późno – ponagliła przyjaciółkę.

Laura wstała, osłoniła grób. Do domu miała kilkaset metrów. Pożegnała się i podążyła wydeptaną ścieżką wzdłuż trawnika.

Tymczasem Eliza ruszyła w przeciwnym kierunku. Czas nie działał na jej korzyść. Naciągnęła chustkę na głowę i pospieszyła w stronę kamienicy, w której potajemnie spotykała się z Braunem. Gdy tylko dotarła do mieszkania, zadzwoniła do drzwi. Nie miała wątpliwości, że Eryk wrócił do domu, gdyż w mieszkaniu zapalone były światła.

Kiedy otworzył jej drzwi, zadrżała. Nie wiedziała, co ją czeka, ale nie cofnęła się. Przystąpiła próg i zamknęła za sobą drzwi. Wtedy wziął ją w ramiona i zaczął całować bez opamiętania. Łapczywie chwyciła powietrze pomiędzy kolejnymi pocałunkami.

– Nareszcie jesteś – powtarzał, odrywając się na moment od jej ust. – Nareszcie.

Milczała, poddając się chwili. Może zbyt długo zwlekała z powrotem, ale potrzebowała czasu. On najwyraźniej też. Kłamstwa, którymi karmiła Laurę, nie przychodziły jej lekko, ale nie potrafiła przyznać się przed nikim, że kocha faszystę, którego praca polega na mordowaniu jej narodu. Te dni rozłąki pokazały jej, że nie potrafi uspić porywów serca.

Wzięła ją na ręce i zaniósł do sypialni, w której na nowo smakowali swych ciał, zapominając o całym świecie.

Kiedy wtuleni w siebie leżeli okryci jedynie grubym pledem, Eryk gładził jej plecy i wpatrywał się w jej nagie ciało.

– Chciałbym, żeby tak było zawsze – odezwał się cicho.

– Wiesz, że to niemożliwe – odparła smutno.
– Ostatni tydzień pokazał mi, że nie potrzebuję niczego od życia prócz ciebie.
– Nie możesz tak myśleć.
– Mogę – oburzył się. – Pragnę tylko ciebie. A teraz wiem, że bez ciebie nie będę szczęśliwy. Już nigdy. Przenigdy.

Zamilkł na chwilę, patrząc jej w oczy. Widział w nich szczerą przepęloną miłością.

– Musimy stąd uciec. Inaczej nigdy nie spełnią się te marzenia – zauważył.

– Uciec? – Wsparła się na łokciach i spojrzała z zaskoczeniem. – Z getta? Ty zawsze możesz gdzieś się przenieść, ale ja...

– Ty musisz jechać ze mną. Nie dam rady dłużej tu zostać. – Poderwał się na łóżku. – Nie chcę tak żyć. Wiesz, dlaczego tak mało śpię? Nocą przychodzą do mnie wszyscy ci, których musiałem zabić. Przychodzą i pytają, dlaczego to zrobiłem. Miałem służyć ojczyźnie, ale nikt nie mówił o zabijaniu niewinnych, bezbronnych ludzi, których jedynym przewinieniem jest narodowość, z jaką przyszli na świat.

– Masz rację, uciekaj – wyszeptała. – Kiedy się skończy ten koszmar, na pewno się spotkamy.

– Nie! – oburzył się. – Nie zostawię cię tutaj. Musisz iść ze mną.

– Jak? Zabiją mnie, gdy tylko zbliżę się do drutów.

– Już moja w tym głowa, byś bezpiecznie opuściła to piekło, a później wyjedziemy jak najdalej stąd. – W jego oczach pojawił się błysk.

– Czy to prawda, że Hitler chce podbić całą Europę?

– Marzy mu się władza nad światem, ale to wariat, nie przywódca. Morderca, dla którego życie ludzkie nie ma wartości.

– W takim razie, dokąd przed nim uciec? – spytała.

– Daleko, jak najdalej od Europy. Myślałem o Ameryce Południowej. Mam trochę oszczędności. Zaczniemy wszystko od nowa.

Eliza uśmiechnęła się, ale po chwili zmarkotniała.

– A co z twoją żoną?

– Nie martw się, jej nie zabiorę – spróbował zażartować. – Nie lubię trójkątów. Nikt nas tam nie będzie znał, więc możemy wszystkim powiedzieć, że jesteśmy małżeństwem.

– I sądzisz, że to się uda?

– Musi! Inaczej oszaleję – wyznał. – Odkąd zaczęły się masowe wywózki, każdego dnia boję się o twoje życie. Biegnę do domu z duszą na ramieniu, bo nie wiem, czy cię w nim zastanę. Nie da się tak żyć!

– Gdzie oni mieszczą tych wszystkich ludzi? – spytała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Przylgnęła do nagiego ciała Eryka. Tak bardzo pragnęła, by to, co chwilę wcześniej usłyszała, było możliwe.

– Masz jakiś pomysł, jak się stąd wydostać? – spytała.

– Pracuję nad tym. Zgłosiłem dowódcy, że chcę się przenieść na front południowy. W tym tygodniu mam otrzymać nowy przydział. Po drodze do Francji mogę się zagubić czy umrzeć.

– A ja?

– Z tobą nie będzie tak łatwo – ostrzegł. – Musimy się dobrze przygotować do twojej ucieczki. Już kupiłem dużą skrzynię. Jutro wydrążę w niej kilka otworów, byś mogła oddychać, a później schowasz się do niej, a ja na wierzchu ułożę ubrania. Muszę tylko mieć nadzieję, że nikt nie zechce sprawdzić jej zawartości, gdy staniemy przed bramą wyjazdową.

– To się naprawdę dzieje?

– Tak, kochanie. – Pocałował ją. – Będziemy wolni.

Uśmiechnęła się. Znowu był tamtym chłopakiem, którego pokochała. Z którym chodziła na długie spacerunki po parku czy wyjeżdżała poza Berlin, by odpocząć na łonie natury. Czy znowu mogło tak być? Nie mogła zwątpić. Nie miała prawa nie wierzyć Erykowi. Musi jedynie zrobić wszystko, by jego plan miał szansę powodzenia. Nie powie nikomu oprócz ojca. A Laura? Ostatnio zbliżyły się ze sobą. Może przed wyjazdem uda się jeszcze zrobić też coś dla niej.

– A co z Dawidem? Musisz mu pomóc, zanim ucieknemy. Inaczej nie będzie miał szans.

Mężczyzna ciężko odetchnął, jakby dźwigał na barkach olbrzymi ciężar.

- Dawid opuścił Litzmannstadt – zaczął powoli.
- Jak to? – Poderwała się na równe nogi. – Dokąd go wywieźli?
- Do Kulmhof.
- A co tam jest?
- Obóz²⁰.
- Do pracy? To znaczy, że będzie żył – tłumaczyła sobie.
- Obozy pracy są likwidowane, więc trudno powiedzieć – oświadczył wymijająco.
- Jak to likwidowane? A co z tymi, co w nich pracowali? – dopytywała naiwnie.
- Nie są już potrzebni.
- Co to znaczy?
- Pozbywają się ich – powiedział i dotknął jej ramienia.

Stała jak skamieniała, choć serce mało nie wyrwało się z jej piersi. Nie takie wieści chciała przekazać Laurze.

ROZDZIAŁ XI WBREW SOBIE

Maj tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku nie pachniał bzem i kwiatami kasztanowca. Zamiast tego w powietrzu unosił się zapach strachu i płynącej ulicami krwi. Trzecia fala nagonki na mieszkańców getta, mająca doprowadzić do zmniejszenia populacji, w rzeczywistości nie była niczym innym jak wyrokiem śmierci dla setek ludzi. Rumkowski grzmiał o potrzebie działania dla dobra ogółu, ale społeczność cierpiała z powodu utraty bliskich. Tego jednak wielki przywódca getta nie chciał dostrzec. Z uporem maniaka powtarzał wyświechtaną formułkę.

- Tylko bądźcie ostrożni – przestrzegła Abigail synów, jak co rano wychodzących do pracy.
- Jeśli zobaczycie ciężarówkę, uciekajcie.
- Mami, nie jesteśmy dziećmi – zakpił Józef. – Umieemy szybko biegać.
- Przed niemieckimi kulami nie ma ucieczki – zauważyła kobieta smutno.
- Słuchajcie matki. Tu nie ma lepszych i gorszych – dodała Laura, mając w pamięci słowa Szulca, który kilka tygodni temu powiedział jej o śmierci Elizy. Podobno właśnie wracała od Brauna. Miała nawet specjalną przepustkę pracowniczą. Jednak i to nie pomogło.
- Kiedyś jeszcze pokażemy tym świniom, gdzie jest ich miejsce – obruszył się Józef i wcisnął czapkę na głowę, po czym ruszył do wyjścia.

Eliasz wetknął do kieszeni spodni pajdę chleba i pobiegł za bratem.

- Później dam kawałek temu małowłowi – obiecał.

Abigail patrzyła za synami. Dawid w ich wieku mógł się poświęcić nauce i zabawie. Oni zostali zbyt wcześnie ograbienni z tego przywileju.

- Ty też na siebie uważaj – zwróciła się do synowej, która otworzyła drzwi.

Dziewczyna pokiwała głową i wyszła na klatkę schodową. Wciąż powtarzała sobie, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Musiała wierzyć, że Dawid wciąż żyje. Czuła to. Pielęgnowała w sobie tę myśl i wspominała najpiękniejsze chwile ich wspólnego życia.

Ostatnio chętnie chodziła do pracy. Co rano siadała wśród licznej dzieciarni i wraz z nimi zajmowała się zyciem koszul dla żołnierzy. Wtedy starała się nie myśleć, dla kogo to robi. Podróżowała pośród Mickiewiczowskich łąk położonych na Litwie czy Reymontowskich pól w Lipcach. Opowiadała o tym, co widziała oczyma wyobraźni. Obok niej siadało coraz więcej dzieci podążających w ślad za jej opowieściami.

- Podobno mają nas wszystkich stąd wywieźć – zauważyła niespełna jedenastoletnia dziewczynka z długimi warkoczykami. – Za mało pracujemy i za bardzo śmierzimy.

Laura milczała. Jak miała przyznać jej rację? Podskórnie wszyscy przeczuwali, że ten stan rzeczy nie może trwać wiecznie. W końcu ile osób mogą pomieścić obozy pracy? O ile teoria ta miała sens, gdy dotyczyła osób w sile wieku, to ten rok pokazał, że coś tu nie pasuje. Od kilku miesięcy z domów zabierano starców, którzy nie mogli już pracować.

- Lauro, chodź do biuro – z zamyślenia wyrwał ją głos Szulca.

Posłusznie wstała i podreptała za mężczyzną. Gdy weszli do środka, zamknęła drzwi i zwrócił się do niej:

- Musieć cię przeprosić, ale nie móc postąpić inaczej.

Szukała logiki w jego słowach. Gdy pojęła sens, była jeszcze bardziej zdziwiona.

- W czym rzecz, panie Szulc?

- Ja nie móc ci wcześniej powiedzieć. Ona dla mnie najważniejsza. Jedyna na świecie – tłumaczył przejęty.

- Kto?

- Eliza. Meine Tochter²¹.

Laura patrzyła na niego, a w jej oczach malowało się coraz większe zainteresowanie.

- Kazać mi być cicho, ale minąć tyle czasu, że jeśli się wszystko udać, to być już daleko stąd.
- Kto?
- Eliza i... – przez chwilę się wahał, ale wreszcie dodał: – Eryk.

Laura czuła się zagubiona, choć miała coraz więcej informacji. Eliza nie żyła. Płakała po jej śmierci i pocieszała Szulca po stracie jedynaczki. Widocznie ból nie minął i doprowadził go do obłędu.

- Pewnie czuje się pan osamotniony. Może przyjdzie pan do nas. Abigail się ucieszy.
- Słuchać, ja nie kłamać! – obruszył się. – Ona kazać ci to dać. – Wyciągnął z kieszeni spodni mały węzełek i pokazał jego zawartość.

Laura poznała obrączki i pierścionki, dzięki którym miała wykupić Dawida.

- To twoje. Eliza dać mi to przed ich wyjazd.

Teraz Laura w napięciu słuchała wyjaśnień. Dowiedziała się o ucieczce przyjaciółki. To dla jej ochrony Szulc opowiadał o śmierci córki i głośno ją opłakiwał. Tylko tak mógł jej pomóc.

Minęło jednak tyle czasu, że mógł już wyjawić prawdę Laurze. Właśnie jej i tylko jej.

- Dawid pojechać do obozu – powiedział wreszcie. – Eryk nic już nie może zrobić.
- Jak to do obozu? Gdzie? Kiedy?
- Tuż przed ich wyjazd. Chyba do Kulmhof.
- Boże, to znaczy, że jest nadzieja – ucieszyła się. – Dawid jest młody. Na pewno da radę pracować – dodała i rzuciła się na szyję Szulcowi. – Jeszcze nie wszystko stracone.

Mężczyzna poklepał ją po plecach, ale w jego wzroku nie odnalazła radości.

- Może jeszcze nadejdzie czas, że wszyscy razem będziemy świętować Jom Kipur²² – rozmarzył się.

Laura się uśmiechnęła. W myślach widziała siebie pchającą wózek z dzieckiem. Obok niej szedł Dawid. Promieniał szczęściem. Szli dumni z tego, kim są i w jakim kraju żyją.

Wróciła do pracy. Dzisiaj jej zadaniem było przyszywanie guzików. Usiadła wśród najmłodszych pracowników i wraz z nimi zajęła się nawlekaniem igły, zaznaczeniem miejsc, w których powinny znaleźć się guziki i wreszcie przyszywaniem ich. Wciąż się uśmiechała, nawet wtedy, gdy kłuła się w palec. Miała ochotę krzyknąć na całe gardło, żeby wszyscy wiedzieli, że ona też może być szczęśliwa. Dzieci nie musiały długo jej prosić, by opowiedziały im jakąś baśń. Miały już swoje ulubione, ale wciąż do nich wracały. Laurze to nie przeszkadzało. Kiedy opowiadała, żeglowała po krainie fantazji. Czasem zacierały się granice pomiędzy rzeczywistością i fikcją. To, co jeszcze niedawno uważałyby za wymysł szalonego autora, niespodziewanie stało się rzeczywistością, w której przyszło jej żyć. A projektant tej rzeczywistości wciąż zaskakiwał.

Kiedy nadeszła godzina wyjścia z resortu, Laura pożegnała się ze współpracownikami i ruszyła do furgelki. Zaskoczył ją tłum ciągnący środkiem ulicy. Słowa wypowiedane w różnych językach wirowały ponad głowami wychudzonych ludzi.

Laura zastanawiała się, dokąd ci ludzie podążają. Wolała jednak zejść im z drogi, gdyż wśród nich roilo się od Schupo. Skręciła w boczną ulicę i przyspieszyła kroku.

Teraz niemal biegła. Zdyszana dotarła do kamienicy. Serce łomotało jej, gdy weszła do mieszkania. Musiała się upewnić, że wszyscy domownicy są bezpieczni. Szarpnęła drzwi i wzrokiem omiotła pokój. Głośno odetchnęła i weszła do środka.

- Jesteście – powiedziała i ciężko opadła na krzesło.
- Co się dzieje? – spytała Abigail.
- Setki ludzi ciągnęły na północ. Mieli ze sobą tobołki i mówili w różnych językach.
- Podobno Niemcy znowu zarządzili transporty do obozów pracy – wyjaśniła Abigail.
- Tych wszystkich, których przywieźli z Europy, teraz przerzucają dalej²³ – wtrącił Józef dumny, że ma takie informacje. Nie chciał, by uważano go za dziecko, które nie wie, co się wokół niego dzieje.

- I po co to wszystko? – westchnęła Laura, ocierając pot z czoła.
- Tu nie ma dla nich miejsca – zauważył Elias, który nie chciał być gorszy od brata. – Może oddadzą nam szkoły i znowu będziemy mogli się uczyć.
- Oby. – Laura pokiwała głową. Przez chwilę milczała, a potem spytała: – Ale gdzie właściwie oni ich wszystkich trzymają? Jak wiele musi być tych obozów pracy, skoro od wiosny

wywieźli do nich tysiące ludzi?

Abigail się zamyśliła. Dałaby wszystko, by jej mąż trafił właśnie do takiego miejsca.

– Masz rację – odezwała się wreszcie. – Po co ich stąd wywożą, przecież my też mieszkamy tu jak w obozie. Musimy pracować, żeby dostać marne ochłapy.

– Mam tylko nadzieję, że Dawida wysłali do obozu, w którym nie trzeba ciężko pracować.

Teściowa spojrzała na nią zaskoczona i zaczęła dopytywać, skąd ma takie informacje. Słowa Laury nieco ją uspokoiły. Rzeczywiście obóz to nie to samo co więzienie. Teraz powróciła nadzieja.

* * *

– Słyszeliście? – zapytał rozemocjonowany Józef, przekroczywszy próg mieszkania.

– O co chodzi? – Abigail spojrzała na syna zmęczonym wzrokiem i przerwała cerowanie spodni Eliasza.

– Podobno wszyscy muszą zgolić brody. – Jego policzki płonęły. Biegł całą drogę, by dotrzeć do domu przed Eliaszem i przekazać wieści.

– Co ty pleciesz?

– Czytałem obwieszczenia. A starsi cichcem narzekali na Rumkowskiego. Toż nas pokarali tym człowiekiem.

Józef wyszedł do kuchni, by zaczerpnąć z wiadra wody do napicia. W tym czasie do mieszkania wbiegł Eliasz.

– Ludzie wyją po kątach, bo nie wiedzą, co robić – powiedział, siadając przy matce. – Brody i chałaty.

– A co z nimi? – zainteresowała się.

– Mają je skrócić. Mamo, koniec z tradycją. Teraz już koniec z naszym dziedzictwem. Powoli wrywają z nas to, co dla nas najważniejsze.

– I kto im na to przyzwala? Nasz rodak... – zamyśliła się, wciąż odkładając na stół robótkę.

– Mamo, kiedy to się skończy? – Chłopak położył głowę na jej kolanach.

Gładziła włosy syna, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Tak bardzo chciała, by jej dzieci znowu czuły się bezpieczne i mogły spokojnie zasypiać. Sama cierpiała na chroniczną bezsenność. Zaczęło się zimą, zaraz po aresztowaniu Dawida. Najpierw próbowała się zmusić do snu. Mocno zaciskała powieki i w myślach recytowała fragmenty Biblii, których wyczyła się w dzieciństwie. Kiedy to nie skutkowało, zaczęła powracać pamięcią do radosnych wspomnień. Ale i to nie zdołało jej wyciszyć. Teraz przez większą część nocy po prostu leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami i marzyła o wolności dla swoich dzieci. Przyszłość stała się jej przewodnikiem po bezsennych, pogrążonych w samotności nocach.

– Tobie nic nie grozi. – Zaśmiał się Józef, przysłuchując się rozmowie. – Brody u ciebie nie ujrzy.

– Ty! Ty! – Eliasz poderwał się z miejsca i wywracając krzesło, podskoczył w stronę brata. Chwycił go za poły koszuli i zaczął nimi potrząsać.

– Przeście! – huknęła Abigail. – Zupełnie zgłupieiliście? Nie macie większych zmartwień? Ojciec przewraca się w grobie, widząc, co wyprawiacie.

Bracia najpierw opuścili splecione ręce, a potem zawstydzony wzrok.

– W grobie? – spytał zaskoczony Eliasz.

Kobieta zakryła usta, uświadamiając sobie, co zrobiła. Laura przypadkowo przyznała, że wie, co się stało z teściem, jednak Abigail nie chciała, by do chłopców dotarła ta wiadomość. Wystarczająco dużo zła widzieli każdego dnia wokół siebie.

– Tatuś nie żyje? – upewnił się Józef.

Matka jedynie pokiwała głową. Nie była w stanie wypowiedzieć na głos słów, które tak bardzo ją raniły. Panująca wokół nich cisza niemal kłuła w uszy. Nikt nie śmiał się odezwać.

Kiedy wróciła Laura, w milczeniu usiedli do kolacji. Laura miała pewność, że coś się wydarzyło przed jej powrotem, ale wolała nie pytać, w czym rzecz. Sądziła, że to z powodu głodu. Łyżka kaszy bez okraszy na kolację musiała wystarczyć każdemu z nich aż do rana.

Wszyscy jak najdłużej przeżuwali każdy kęs, by oszukać skurczone żołądki. Po posiłku Laura posprzątała na stole i umyła naczynia. Właśnie wychodziła, gdy do kuchni wszedł Baskin.

– Nie, nie zgodzę się! – grzmiał zajadłe.

Laura szeroko otworzyła oczy. Nigdy wcześniej nie widziała sąsiada tak poirytowanego. Poczcwiwy starsuszek niemal kipiał ze złości.

– To skandal! Chałaty jeszcze jakoś przeżyję, ale brody nie oddam! Nawet jednego małego klaczkę nie pozwolę sobie zgolić!

– Panie Baskin, czy warto walczyć z wiatrakami? – spytała życzliwie.

– Wszystko nam zabrali: rodzinę, dom, przyjaciół, pracę, jedzenie, spokój, a teraz pozbawiają osobowości.

– Stracił pan już tak wiele, więc czym przy tym jest broda?

– Mam ją od młokosa. Jest moja! Każdy Żyd musi mieć brodę!

– Życie jest ważniejsze.

– A co to za życie? To powolna śmierć na oczach oprawców, dla których jesteśmy kupką nikomu niepotrzebnego łajna.

Laura westchnęła. Rozumiała ten gniew. Sama wiele razy czuła się podobnie, dlatego miała ochotę zamknąć oczy i nigdy więcej ich nie otworzyć. On jednak opiekował się wnukami, które niedawno przeżyły utratę rodziców.

– Może jeszcze odwołają ten głupi rozkaz – postanowiła zrobić wszystko, by uspokoić Baskina. – Macie co zjeść na kolację?

– Mamy jeszcze trochę czerstwego chleba. Musi wystarczyć – powiedział i wyjął nóż, by rozkroić pieczywo.

Rozmowa była skończona. Laura wyszła z kuchni, pozostawiając mężczyznę pogrążonego we własnych myślach.

Rankiem wszyscy rozeszli się do resortów, w których pracowali.

Niezadowolenie unosiło się w powietrzu niczym kurz nad gettem w upalne czerwcowe dni. Przed południem Szulc nakazał chwilowo przerwać pracę i kazał podejść bliżej wszystkim mężczyznom. Nie było ich wielu, gdyż szyciem zajmowały się kobiety. Mężczyźni potrzebni byli do noszenia bel towaru oraz do załadowania na ciężarówki popakowanych po kilkanaście sztuk gotowych ubrań dla wojska lub dla ludności cywilnej mieszkającej w Niemczech.

Gdy mężczyźni podeszli bliżej, Szulc odczytał obwieszczenie, które wszyscy i tak już znali. Rozkaz nie pozostawił mu wyboru. Musiał to zrobić. Sam też nie chciał się zgodzić z zarządzeniem, ale wiedział, że to nie ma znaczenia.

Laura widziała jego znużenie, jednak nic nie mogła zrobić. Wiedziała, że wraz z ucieczką Elizy stracił sens życia. Cieszyło go, że jedynaczka otrzymała szansę lepszego życia i wierzył, że uda jej się zapomnieć o przeżytym koszmarze, jednak czasem egoistyczna natura krzyczała w nim i dopominała się opieki i uwagi dziecka. Nadzieja na powstanie upadła już dawno. Musiał przyjąć życie takim, jakie było.

Po pracy Laura wróciła do domu. Nikogo prócz niej nie było, dlatego śmiało rozebrała się i umyła w chłodnej wodzie. Zmyła kurz i pot całego dnia. Kiedy się przebrała, poczuła się znacznie lepiej. Teraz już mogła przygotować kolację. Skroiła połowę bochenka chleba, a że zdążył już sczerstwieć, przygotowała wodę, w której można było namoczyć kromkę przed zjedzeniem. Kiedyś nie pomyślałaby, że można tak żyć. Teraz przywykła do takiej codzienności. Właśnie ustawiała na stole gliniane kubki, gdy drzwi do mieszkania gwałtownie otworzyły się, objając ścianę w przedpokoju.

Laura wybiegła z kuchni.

– O Boże – szepnęła i zakryła usta dłońmi.

– Otwórz drzwi do mieszkania Baskinów – polecił Józef.

Laura bez słowa wykonała polecenie. Jej szwagrowie przenieśli zakrwawione ciało Baskina do pokoju i położyli je na łóżku. Dziewczyna poprawiła poduszkę pod jego zmasakrowaną głowę. Krew zdążyła skrzepnąć, malując na jego twarzy ciemne tatuaże. Napuchniętych oczu nie było widać. Włosy pozlepiane krwią bezładnie opadały na ramiona. Jedna ręka ułożona była pod dziwnym kątem, nogi zaś były powyginane w nienaturalny sposób.

– Co się stało? – spytała.

– Nie zgolił brody – wyjaśnił Józef.

Laura przyniosła miskę z wodą i zmoczyła ręcznik, którym zaczęła obmywać jego ciało.

– Trzeba wezwać lekarza – zarządziła i wyczekująco spojrzała na chłopców.

Józef bez słowa wyszedł z pokoju. Eliasz pomógł Laurze zdjąć zakrwawioną koszulę Baskina. Laura delikatnie przykładła mokry ręcznik do jego obolałego ciała. Woda w misce szybko poczerwieniała. Ciche charczenia wydobywające się z ust starca wskazywały na to, że wciąż żyje. Powiększająca się opuchlizna na twarzy coraz bardziej ją niepokoiła.

Wreszcie przybył lekarz, podszedł do Baskina i sprawdził puls. Później obejrzał jego posiniaczone ciało. Na końcu zajął się głową. Wreszcie wstał i podszedł do drzwi. Kiwnął na Laurę, by z nim wyszła.

Kiedy stanęli na korytarzu, głośno odetchnął.

– To nie potrwa długo – zaczął. – Nic nie mogę dla niego zrobić. Ma połamane kości i uszkodzoną wątrobę. Wkrótce się wykrwawi.

Pożegnał się i opuścił mieszkanie.

Laura porwała prześcieradło na wąskie paski i zaczęła bandażować ciało Baskina. Józef z Eliaszem pomagali jej unieść i przekręcić ciało w taki sposób, by nie sprawić mężczyźnie dodatkowego bólu.

Już zaczęli, gdy w mieszkaniu pojawił się Samuel. Natychmiast wszedł do pokoju i stanął jak wryty. Po chwili dopadł do łóżka i objął wiotkie ciało dziadka.

– Samuelu, musisz się odsunąć, żeby nie zrobić mu krzywdy – poleciła Laura.

Dziecko jednak nie reagowało. Laura spojrzała na Józefa. Ten natychmiast odciągnął chłopca i przytrzymał go, choć mocno się szamotał.

– Dziadek jest bardzo chory i nie możesz go dotykać, bo to sprawia mu ból – tłumaczyła Laura.

Chłopiec w końcu opadł z sił i przestał się wrywać. Wtedy Józef go puścił. Malec zbliżył się do łóżka i przyklęknął przy nim. Ostrożnie dotknął twarzy starca. Jego dłoń zadrżała, ale nie cofnął jej. Usta mężczyzny poruszyły się, lecz nie padły żadne słowa. Chłopiec pozostał przy łóżku do wieczora. Nie odszedł nawet wtedy, gdy jego siostry prosiły, by położył się spać. Drzemał w niewygodnej pozycji oparty o łóżko.

Rankiem Samuel wypuścił z dłoni sztywną rękę dziadka i w milczeniu wyszedł z mieszkania. Oprócz sióstr nie miał nikogo. Samotność otuliła go smutkiem niczym matka ściskająca ukochane dziecko. Nie miał pojęcia, co się z nimi stanie. Czy zdołają przetrwać w świecie, w którym pewna jest tylko śmierć?

* * *

Laura położyła na stole duży bochen chleba, który dopiero co kupiła i naostrzyła nóż. Dzisiaj była jej kolej na przygotowanie kolacji. Odkroiła osiem kromek, a resztę zawinęła w lnianą ściereczkę i schowała do nieużywanego piekarnika. Od dawna niczego nie upiekła. Odrobinej mąki, którą udało jej się kupić, już dawno wykorzystano do zrobienia podpłomyków.

Siostry Baskin właśnie wrócili z pracy i w milczeniu weszły do kuchni. Od śmierci dziadka niewiele się odzywały. Samuel w ogóle przestał mówić. Samotnie pałętał się po podwórku. Rzadko zapuszczał się w dalsze rejony ulicy.

– Głodny? – spytała Laura, gdy pojawił się w mieszkaniu.

Pokręcił głową przecząco. Wiedziała, że kłamie. Nie jadł od śniadania, a dochodziła osiemnasta. Przez ostatnie dwa tygodnie znacznie schudł, a jego skóra, choć opalona promieniami słońca, nie wyglądała zdrowo.

– Siadaj przy stole – zachęcała, nie przyjmując odmowy. – Mam dla ciebie najlepsze miejsce i twoją ulubioną piętękę chleba.

Wreszcie głód zwyciężył. Chłopiec zerknął na stół. Poczuł skurcz w żołądku i głośno przełknął ślinę. Laura pozwoliła mu zjeść chleb, zanim wrócili pozostali domownicy. Samuel głośno młaskał, przeżuając kolejne kęsy. Później wybierał wszystkie okruchy ze stołu i wypił cały kubek chłodnej wody.

– Chcesz posłuchać opowieści o pewnym królu, który zamieniał wszystko w złoto? – spytała Laura, gdy chłopiec odstawił kubek.

– Był bogaty – stwierdził i wytarł wierzchem dłoni usta. – Miał pewnie dużo jedzenia i nie musiał słuchać Niemców – dodał, wstając z miejsca.

– Wcale nie – powiedziała.

Chłopiec zatrzymał się i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Przecież mówiłaś, że był królem. Królowie mają wszystko, czego zapragną. A on jeszcze miał złoto. Moja babcia miała złoty pierścionek, a kiedy tu przyjechalśmy, sprzedała go i wtedy przez tydzień mieliśmy do jedzenia kartofle, marchew i buraki. Pamiętam ich smak, bo wcale nie były zgniłe.

Usiadła obok niego i zaczęła opowiadać o mitologicznym królu Midasie. Chłopiec nie przerywał jej. Niepostrzeżenie oparł głowę na jej ramieniu i przymknął powieki. Wyobraził sobie potężnego władcę opływającego w bogactwo, który umiera z głodu.

– To już lepiej nie mieć jedzenia niż patrzeć na nie i nie móc go zjeść – stwierdził i otworzył oczy.

Laura uśmiechnęła się i poczochnęła jego czarne, zbyt długie włosy. Kiedy mieszkał z nimi Dawid, strzygł Samuela i Jordana. Kolejne osoby odchodziły z tego domu, ale nie mogła zapomnieć o tych, które wciąż tu mieszkały.

– Usiądź spokojnie, to podetnę ci włosy – zaproponowała.

Chłopiec zdjął koszulę i się wyprostował. Laura okryła jego drobne ciało chustką i przeczesła włosy.

– Pamiętam, że kiedy z mamusią chodziłem do fryzjera, to on zawsze potem dawał mi ciągutki – rozmarzył się Samuel. – A gdy byliśmy w Ciechocinku na wakacjach i dostałem ciągutkę od mamy, to wtedy wypadł mi ząb.

– Jeździliście do Ciechocinka?

– Mama mówiła, że tam Sara odzyska zdrowie i nie będzie tyle kaszlała – wyjaśnił.

– Często się przeziębiała?

– Ciągłe chodziła zasmarkana i babcia stawiała jej bańki, ale w końcu i to przestało działać, a doktor zalecił wczasy w Ciechocinku. Tam są takie wielkie drewniane barki ustawione obok siebie i plują mgłą. Podobno to uzdrowia.

– Słyszałam o tym. – Laura odrzuciła na bok kolejny pukiel włosów chłopca.

– Na początku trochę się bałem, że te łodzie zaczną płynąć i nas staranują, ale mamusia mówiła, że one są przyklejone do ziemi i nie muszą się martwić. A ona dobrze wiedziała, bo już raz tam byli z tatusiem zaraz po ślubie i wtedy nic im się nie stało.

– A Sara poczuła się lepiej?

– Tak, przez całe lato nie kaszlała. Jesienią znowu zachorowała i mamusia pojechała z nią do Ciechocinka. My zostaliśmy z dziadkami. Miałem wtedy pięć lat i strasznie za nią tęskniłem, ale babcia mi powtarzała, że muszę być dzielny i modlić się, by Sara wyzdrowiała. Kiedy wreszcie wrócili, obydwie wyglądały na wypoczęte. Aż do wiosny moja siostra nie chorowała. Później znowu długo leżała w łóżku, a latem wszyscy pojechaliliśmy do Ciechocinka i tak co roku, aż do wybuchu wojny.

Laura wiedziała, że Baskinowie należeli do zamożnych mieszkańców Łodzi. Ojciec Samuela z jego dziadkiem zajmowali się handlem przyprawami przywożonymi z Azji i Bliskiego Wschodu. Matka prowadziła dom i wychowywała dzieci. Najstarsze z nich było chorowite, często zapadało na zapalenie oskrzeli przeradzające się w zapalenie płuc.

Odkąd zamieszkali na Bałutach, Sara często niedomagała, dlatego dopóki Daniela żyła, dbała o dziewczynę. Po jej odejściu równie starannie dbał o nią Jordan. Laura poczuła, że teraz jej kolej. Musi pomóc tym dzieciom przetrwać, bo choć Sara skończyła sześćnaście lat, to wciąż wymagała opieki, podobnie jak jej młodsze rodzeństwo.

– Gotowe – obwieściła i strzepała resztki włosów z jego ramion. – Jaki przystojniak, fiuuu, fiuuu – zachwyciła się.

– Mamusia też tak mówiła, gdy wychodziłem od fryzjera – stwierdził, a w jego głosie wyczuła nostalgia. – Mówiła, że tylko dziewczyny powinny nosić długie włosy.

– Długie włosy to wasza tradycja – zauważyła.

– Mamusia nie słuchała tego, co mówili inni. Ona chyba wolałaby nie być Żydówką – zawiesił głos, ale nagle przypomniał sobie coś jeszcze i dodał: – Kiedyś podsłuchałem, jak mówiła tatusiowi, że czuje się ograniczana przez wyznanie, w którym wychowali ją dziadkowie.

– Odważna kobieta – zauważyła Laura i przykucnęła, by pozamiatać włosy z podłogi.

Chłopiec jeszcze bardziej posmutniał. Wyczuła, że rozmowa o rodzicach sprawia mu ból.

– Gdyby nie ten cholerny krwawy czwartek, teraz by żyli – odezwał się poirytowany. – To niesprawiedliwe, że musieli umrzeć! – Tupnął nogą i wybiegł z kuchni.

Laura czuła to samo, gdy jej rodzice zostali zamordowani. Rozumiała więc chłopca doskonale. Złożyła chustkę i weszła za nim do jego pokoju. Leżał na łóżku z głową wciśniętą w poduszkę. Jego ciałem wstrząsały spazmy płaczu. Przysiadła na skraju siennika i położyła dłoń na jego ramieniu. Wiedziała, że potrzebuje tej chwili, by wyrzucić z siebie emocje, a jednocześnie powinien czuć wsparcie. Siedziała w ciszy, nie przerywając mu. Był dzieckiem, które najpierw musiało pożegnać rodziców rozstrzelanych w czasie łapanki na Piotrkowskiej, a później zaakceptować utratę babci i ukochanego dziadka. Chłopiec tracił kolejne osoby, którym ufał.

– Wiesz, że tamtego dnia bardzo chciałem zobaczyć niemieckie motocykle dla trzech osób. Nigdy takich nie widziałem, a Zuza widziała je już dwa razy i śmiała się ze mnie, że jestem maluszek i dlatego nie wolno mi wychodzić z domu. A przecież ona jest ode mnie tylko dwa lata starsza – powiedział i nagle usiadł na łóżku.

– Czasem dajemy się łatwo sprowokować – zauważyła Laura i uśmiechnęła się do chłopca.

– Ciągłe mi powtarzała, że jestem maminsynkiem i dlatego siedzę w domu. One wymykały się z naszą gospodynią, a mama przyszykała na to oczy, ale mnie nie odpuszczała.

Teraz patrzył przed siebie, jakby myślami przeniósł się do ich dawnego domu.

– Chciałem uciec. Wyszedłem na palcach i myślałem, że zdążę wrócić, zanim mama zauważy, że mnie nie ma. Wybiegłem z bramy, ale nigdzie nie było widać motocykla z koszem. Szedłem Sienkiewicza, ale aż do Narutowicza nie spotkałem żadnego pojazdu. Później skręciłem w Piotrkowską i dotarłem do placu Wolności. Tam poszwendąłem się między kamienicami. Rzeczywiście widziałem kilka motorów, ale chciałem zobaczyć jeszcze więcej.

– Każde dziecko chciałoby zobaczyć taki pojazd – zapewniła, czując, że dłoń Samuela stała się niemal lodowata. – Nie było w tym niczego złego.

Spojrzała na nią z oburzeniem.

– Nie było?! – krzyknął. – Właśnie, że tak! To przeze mnie ich zabili. Przeze mnie! Jestem głupkiem i to moja wina – powiedział i skrył twarz w dłoniach. – Mamusia i tatuś szukali mnie pół dnia, aż wreszcie weszli na Piotrkowską. Po chwili pojawili się żołnierze i zaczęli wyłapywać wszystkich mieszkańców, żeby zamknąć ich do getta²⁴. Moi rodzice byli tam przypadkowo. Widziałem ich, gdy tłumaczyli, że tu nie mieszkają, ale nie chcieli ich słuchać. Tatuś pociągnął mamę za sobą, ale żołnierz strzelił do niego. Później inni dołączyli i zaczęli strzelać. Mamusia leżała obok i trzymała tatusia za rękę. Chciałem do nich biec, żeby im pomóc, ale wtedy ktoś mnie złapał i wyniósł stamtąd. Broniełem się, kopałem i krzyczałem, że to moi rodzice, ale nie mogłem się uwolnić – zamilkł.

– Nie mogłeś nic zrobić – spróbowała go pocieszyć.

– Później zemdlałem i nie wiem, jak znalazłem się w domu.

– Teraz to nie ma znaczenia.

– Nigdy nikomu nie powiedziałem – dodał ciszej. – Nikomu.

Przysunęła się i objęła chłopca. Początkowo siedział bez ruchu. Wiedziała, że potrzebuje czasu, ale ona nie zamierzała się cofnąć. Wreszcie lekko się przybliżył i oparł głowę na jej ramieniu.

– Tak po prostu musiało być – szepnęła.

– Gdybym nie uciekł, nie musieliby tam iść – wyjaśnił równie cicho.

– Tego już się nie dowiemy – oświadczyła twardo. – Nie jesteś winien temu, że jeden obłąkany człowiek posiadał nieograniczoną władzę. Żadne dziecko nie powinno patrzeć na śmierć swoich bliskich – dodała przyciszonym głosem i pocałowała go w czoło.

Nie odsunął się. Potrzebował tej bliskości. Musiał wreszcie podzielić się swoją historią. Przez dwa i pół roku dźwigał brzemie, które nie pozwalało mu śmiać się i bawić z rówieśnikami.

Kaszel obwieścił im, że ktoś wszedł do mieszkania. Jednocześnie spojrzeli w stronę wejścia. Sara ledwie stała o własnych siłach, podtrzymywały ją młodsze siostry.

– Co się dzieje? – Laura poderwała się i podbiegła do dziewczyny.

– Chyba się przeziębiła, bo ciągle kaszle i ma temperaturę – wyjaśniała Tamara.

Laura dotknęła czoła dziewczyny. Rzeczywiście była rozpalona.

– Połóżcie ją do łóżka, a ja przygotuję zimne okłady. Musimy nieco schłodzić jej ciało – stwierdziła Laura i wyjęła z kredensu czystą ściereczkę. – Samuelu, przynieś ze studni zimnej wody – poleciła, wręczając chłopcu wiadro.

Dziecko bez słowa wybiegło na schody. Tymczasem Laura pospieszyła do pokoju Baskinów i pomogła dziewczynkom rozebrać Sarę, a potem ułożyć ją do łóżka, w którym do niedawna sypiał Jordan. Samuel zapukał i postawił pod drzwiami wiadro. Najmłodsza z sióstr wniosła je do środka i zanurzyła w wodzie ściereczkę. Później położyła ją na głowie siostry. Laura wypłukała kolejny kawałek materiału i schłodziła nim klatkę piersiową dziewczyny. Nachyliła się nad nią i posłuchała świszczącego oddechu. Teraz była już pewna, że to nie jest zwykłe przeziębienie.

ROZDZIAŁ XII

POMYŁKA

We wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku już nikt z mieszkańców getta nie miał nadziei na posłanie dzieci do szkół.

Teraz walka toczyła się o coś znacznie ważniejszego.

Od kilku dni krążyły pogłoski, jakoby naziści upomnieli się o kolejne osoby do wywózki. O ile dotychczas zabierano ludzi w różnym wieku, o tyle teraz coraz częściej mówiono o dzieciach i starcach. Nikt nie miał pewności, czy opuszczając getto kiedykolwiek do niego wróci. Nie pozwalano zabierać dobytku, jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. Ludzie wsiadali do bydłowych wagonów i słuch o nich ginął. Nie przysyłali kartek ani listów. Znikali wraz z odjazdem pociągu.

– Dlaczego chcą zabrać dzieciaki? – spytała Laura i spojrzała na Szulca, z którym spędzała krótką przerwę. – Przecież one nikomu nie przeszkadzają. Starsze pracują na swoje utrzymanie, a młodsze siedzą w domach i nie wchodzi nikomu w paradę.

– Też mnie to dziwić – zaczął. – Otoczenie Rumkowskiego powtarzać, że to najlepsze wyjście i wszyscy powinni się cieszyć.

– Z tego, że do obozów trafią najmłodszy? Przecież to małe dzieci, które nie mają siły pracować.

– Niemcy już dawno przewrócić świat do góry nogami. – Szulc machnął ręką i pokazał, że czas wracać do pracy.

Laura podreptała za nim do resortu. Obecnie szyli spodnie dla wojska i spódnice dla Niemek, które nawet w czasach wojny chciały się stroić. Laura odruchowo spojrzała na obszarpane ubrania, które nosiła od ponad dwóch lat i poczuła złość. Jak ludzie mogli zgotować sobie nawzajem taki los?

Usiadła do maszyny i zaczęła zeszywać nogawice, myśląc o tym, gdzie teraz przebywa i co robi Dawid. Oddałaby wszystko, by mieć pewność, że wciąż żyje. Choć wcześniej nie była gorliwą katoliczką, to ostatnio często się modliła, prosząc Boga, by czuwał nad jej mężem. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby umrzeć. Potrzebowała go jak tlenu. Niedawno śmierć znowu do nich zawitała. Sara przez kilka tygodni cierpiała na gruźlicę. Długo ukrywała chorobę, twierdząc, że to zwykłe przeziębienie, a kiedy wreszcie trafiła do szpitala, było już za późno na ratunek. Zmarła w połowie sierpnia. Nawet nie mieli okazji się z nią pożegnać. Laura widziała posępne miny Baskinów, którzy stracili kolejnego członka rodziny. Wiedziała, że dzieci musiały szybko dorosnąć, by zadbać o siebie. Razem z Abigail pomagały im, jak mogły. Nieformalnie przejęły nad nimi opiekę, dbając o to, by przynajmniej raz dziennie coś zjadły.

Laura martwiła się, jak zdołają przetrwać zimą. Na każdego lokatora przypadał odpowiedni przydział opału, a od poprzedniej zimy ubyło ich troje. Będzie musiała porozmawiać z Szulcem, może on zdoła im jakoś pomóc. Odkąd Eliza wyjechała, często z nim rozmawiała. Zdarzało im się wspólnie wracać z pracy. A raz zaprosiła go nawet do domu. Oficjalnie nigdy by się nie przyznała, że chciała go poznać z Abigail. Wiedziała, że teściowa potrzebuje towarzystwa i chwili ucieczki od zmartwień.

Tamten wieczór był wyjątkowy. Co prawda na kolację Laura mogła podać jedynie ziemniaki, ale mimo to śmiechom i rozmowom nie było końca. Szulc łamaną polszczyzną opowiadał o przeprowadzce do Polski i swoich pierwszych pomyłkach językowych, gdy chciał coś załatwić w urzędach. Szybko zrozumiał, że język polski jest skomplikowany, a jeden wyraz może mieć kilka znaczeń. Nigdy nie był w stanie opanować odmiany czasowników. W końcu zarzucił chęć dalszej nauki języka.

Choć zbliżał się wieczór, to słońce nie przestawało palić. Laura wyszła na ulicę i podążyła w stronę mieszkania. Nagle dostrzegła sznur ciężarówek. Jechały szybko, podskakując na

wybrukowanej ulicy. Tylko jedna miała do połowy opuszczoną plandekę. Laura zatrzymała się i przyjrzała ładunkowi. Dostrzegła ludzi ciasno upchniętych na podłodze. Liczyła kolejne wozy. Było ich kilkanaście. Wszystkie pędziły w stronę stacji kolejowej. Kiedy samochody odjechały, ruszyła do domu.

– Mijałam ciężarówkę wiozącą chorych – powiedziała Laura, gdy weszła do kuchni, w której krzątała się Abigail. – Chyba wysiedlili jakiś szpital.

– Podobno nie jeden, a wszystkie – odparła Abigail, miesząc gotującą się kaszę w saganie.

– Powiedzieli, że potrzebują ich, żeby zwiększyć produkcję.

– Przecież i tak pracujemy ponad siły – westchnęła Laura. – Wciąż im mało i mało.

– Może tam, gdzie ich zawiozą, będzie im lepiej – dodała Abigail.

– Myślisz, że Niemcom zależy na tym, by komukolwiek było dobrze?

– Już sama nie wiem, co mam myśleć. Ale wolę mieć nadzieję.

Zapadła cisza. Każda z kobiet pograżyła się we własnych myślach. Krążące po getcie plotki i nieudomowienia malowały wypaczony obraz. Jedni twierdzili, że poza murami toczy się normalne życie, a Niemcy trzymają ich tu po to, by funkcjonowała ich gospodarka. Inni upierali się, że wszędzie lepiej, byle nie tutaj, ale bywali też tacy, którzy szeptali, że za drutami czeka tylko śmierć. Trudno było ustalić, jak jest naprawdę.

Ich zamyślenie przerwało pojawienie się powracających z pracy Eliasza i Józefa.

– Wywożą ludzi ze szpitali, bo podobno Niemcy kazali Rumkowskiemu pozbyć się wszystkich chorych z getta²⁵ – obwieścił Józef i usiadł przy stole.

– I gdzie ich przenoszą? – zainteresowała się Laura.

– A kto to wie. – Józef wzruszył ramionami. – Czekają na stacji. Podobno płaczą z bólu, bo nie dostają lekarstw.

– Podłość – wtrąciła Abigail. – Chorych ludzi tak męczyć.

– Mówią, że to dopiero początek – dodał Eliasz.

– Początek czego?

– Jakiegoś większego planu – wyjaśnił i nieco zniżył głos. – Podobno chcą zmniejszyć liczbę mieszkańców getta.

– Nie rozumiem – wyznała Abigail. – Z jednej strony chcą zwiększyć produkcję, ale z drugiej pozbywają się ludzi.

– Mami, nie pozbywają się balastu – oświadczył nad wyraz dojrzały Józef.

– Do czego jeszcze się posuną? – zastanawiała się na głos, nakładając do misek porcję kaszy.

– Zawołajcie pozostałych na kolację – zwróciła się do synów.

Chwilę później Józef wpatrywał się w posępną twarz Zuzanny Baskin rozgrzebującej łyżką kaszę. Nie widziała spojrzenia chłopaka, bo jej myśli zajmowała zasłyszana w drodze do domu plotka. To nie mogła być prawda. Nie po tym wszystkim, co spotkało jej rodzinę. Zabrakło kilku miesięcy. Przecież muszą to wziąć pod uwagę. Muszą, zanim go zabiorą.

* * *

Tłum topniał. Posępne miny powoli drepzczących ludzi świadczyły o tym, jak wielki ciężar dźwigali na swych barkach. Każdy miał kogoś bliskiego, kto był zagrożony.

– Najpierw brać chorych, a teraz reszta – warknął Szulc. – Jak na polowaniu.

– Dwadzieścia tysięcy ludzi w kilka dni? – odezwała się Laura i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Wybierac najślabszych, bo po nich nikt nie zapłakać – utyskiwał.

– Ale i chorzy, i starzy, i dzieci mają rodziny. Jak mają pozostawić tych ludzi na pastwę losu? To nieludzkie.

– Dobrze, że chłopcy być starsi – zauważył Szulc, oddalając się z placu, na którym chwilę wcześniej Rumkowski²⁶ ogłosił straszne wieści.

– Oni na razie są bezpieczni – odparła Laura – ale mieszka z nami Samuel, który jeszcze nie skończył dziesięciu lat.

– Musieć uważać – poradził i poklepał ją po ramieniu na pożegnanie.

Laura skręciła w przeciwnym kierunku i ruszyła w stronę kamienicy, by przekazać zasłyszane wieści. Nie należały one do dobrych. Z obawą weszła do mieszkania. Na szczęście Baskinowie siedzieli w swoim pokoju. Skinęła więc na Abigail i wyszły do kuchni.

– Rumkowski chce oddać Niemcom wszystkie dzieci poniżej dziesiątego roku życia – szepnęła, spoglądając za siebie, by się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Jak to? – Abigail patrzyła z przerażeniem na synową.

– Twierdzi, że dzięki temu uratuje setki pozostałych, bo wojna wymaga poświęceń.

– Niech poświęci swoje dzieci! – warknęła. – A nie! On ich nie ma, więc nie rozumie, czym jest ból rodziców. To drań! Chce nas wszystkich oddać, żeby on i jemu podobni mogli przeżyć. Jakim okrutnym człowiekiem trzeba być, żeby dopuścić się takich czynów! – grzmiała coraz głośniejsze.

– Ciii – Laura się przestraszyła. – Jeszcze nas usłyszą – dodała i znowu spojrzała za siebie.

W tej samej chwili na korytarzu dostrzegła Zuzannę, która nie wyglądała na zaskoczoną.

– Nie oddamy go – stwierdziła chłodno, wręcz wyniośle. – Mamy tylko siebie. Brakuje mi dwóch miesięcy, by skończył dziesięć lat. Musimy go ochronić.

– Co zamierzacie zrobić? – spytała Laura.

– Ukryjemy – poinformowała ze stanowczością.

– Przecież każda rodzina musi oddać dzieci.

– Ale my nie oddamy!

– Gdzie chcecie go ukryć?

– Lepiej, żeby nikt nie wiedział.

– To nie jest dobry pomysł – wtrąciła Abigail i usiadła przy stole ze zwieszoną głową.

– Nie ma innego! Nie możemy go oddać. Mamy tylko siebie! – krzyknęła Zuza i wybiegła z mieszkania.

Kobiety patrzyły na siebie, nie wiedząc, co powinny zrobić. Od dawna traktowały Samuela jak członka rodziny.

Laura zaczerpnęła wody z wiadra i wypła duszkiem, ale to nie pomogło ukoić nerwów. Ciężko opadła na krzesło, analizując słowa wygłoszone przez Rumkowskiego. Jak śmiało prosić o wyrozumiałość i wsparcie? Kto bardziej potrzebuje współczucia? Ich świat właśnie staczał się w głęboką przepaść, z której oni sami nie byli w stanie się wydostać, a nikt nie spieszył z pomocą. Oto jak następuje koniec człowieczeństwa.

* * *

Zuzanna i Tamara na zmianę pilnowały Samuela. Już dwa dni temu otrzymały pismo z nakazem doprowadzenia brata do szpitala stanowiącego punkt zbiorczy. Termin mijał dzisiaj o szesnastej. Do tego czasu miały jeszcze godzinę. Nie chciały słuchać niczyich pouczeń. Unikaly rozmów z Lewiatanami. Wiedziały, że narażają wszystkich, ale nie mogły inaczej. Zuzanna przysięgła Sarze na łożu śmierci, że zaopiekuje się bratem i nie zamierzała złamać obietnicy. Kiedy się tutaj wprowadzili, Zuza znalazła całąkniem sporą wnękę w ścianie, którą zasłaniała trzydrzwiowa szafa i to właśnie tam ukryła brata.

Siostry dbały, by małe miał co jeść, odbierały też od niego kibel z nieczystościami.

– Jeszcze kilka tygodni i będziesz bezpieczny – zapewniła Tamara, zmuszając się do uśmiechu.

Duże oczy chłopca zdradzały zmęczenie.

– Nie wytrzymam. Tam jest ciemno i duszno – skarżył się cicho, a jego głos drżał.

– To jedyne miejsce, gdzie możesz przeczekać to szaleństwo – odparła Zuzanna. – Świetnie ci idzie.

– To dopiero dwa dni, a ja już nienawidzę tego miejsca – tłumaczył coraz smutniejszy.

– Wiesz, że to jedyne rozwiązanie. Rodzice byliby z ciebie dumni.

– Nie powinienem się chować. Zasłużyłem na to, żeby iść do Niemców.

– Co ty pleciesz? – oburzyła się starsza z sióstr. – Nigdy tak nie mów.

– Rodzice zginęli przeze mnie, a teraz wy się dla mnie narażacie – szlochał.

– Jesteś zmęczony i nie wiesz, co mówisz – ucięła Tamara. – Musisz odpocząć. Spróbuj się zdrzemnąć.

– Może pośpiemy? Będziesz słyszał i zaśniesz – wtrąciła młodsza.

– Zuziu, ja ich zabiłem... – Samuel drążył temat. – Gdyby nie poszli mnie szukać, nie trafiliby na Piotrkowską i mogliby nadal żyć. – Teraz już zaniósł się płaczem.

– Kochany, to nie ty do nich wycelowałeś i nie ty pociągnąłeś za spust. – Tamara objęła wąskie ramiona brata i mocno go przytuliła.

Zuzanna rozłożyła ramiona i objęła rodzeństwo. Wszyscy szlochali. Stali tak przez chwilę, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Drgnęli, słysząc kroki na korytarzu. Tamara wepchnęła brata do wnęki. Mocno naparła na szafę. Zuzanna dołączyła do niej. Jak na komendę odskoczyły na bok, gdy drzwi do ich pokoju otworzyły się.

– Podobno mają rozstrzelać każdego, kto nie wykona rozkazu i nie odda wyznaczonych do wywózki – powiedział Józef z nadmierną szczerością.

– Myślisz, że o tym nie wiemy? – zaperzyła się Zuzanna i ciężko usiadła na łóżku.

Józef przygryzł wargę i wyszedł zawstydzony.

– Ty jak coś palniesz. – Eliasz, depcząc mu po piętach, postukał się w czoło. – Mogłeś ugryźć się w język.

– Chciałem dobrze – jękał się Józef, wciąż czerwony ze wstydu.

– I wystraszyłeś je na amen.

Józef usiadł przy stole i schował twarz w dłoniach. Nie taki miał zamiar. Po prostu wypadło niezręcznie. Wieczorem spróbuje je przeprosić. Szczególnie zależało mu na przebaczeniu Zuzanny. Coraz bardziej lubił tę dziewczynę i nie chciał sprawiać jej przykrości.

Wieczorem jednak w powietrzu wyczuwalna była napięta atmosfera wśród domowników i Józef nie znalazł okazji na szczerą rozmowę, a półsłówkami mógłby tylko pogorszyć nastrój Zuzanny. Postanowił zaczekać do rana.

Jednak i ten plan się nie powiódł, bo tego dnia do pracy szła tylko Tamara. Zuzanna postanowiła zostać z Samuelem. Józef musiał zaczekać z rozmową do wieczora.

Tymczasem Zuzanna siedziała w pokoju i śpiewała piosenki, które poznała w dzieciństwie. Wtedy śmiała się i podśpiewywała z matką i siostrami. Ojciec wyklaskiwał rytm. Czasem w ten sposób spędzali cały wieczór. Doskonale pamiętała, jak bardzo byli szczęśliwi. Teraz drżała, słysząc najmniejszy szelest. Na przemian modliła się za Samuela i za siostrę. Z każdym dniem ryzyko rosło, ktoś mógł się zorientować, że nie chodzi do pracy.

Wyczerpana śpiewaniem zasnęła. Kiedy się obudziła, południe już dawno minęło. Poderwała się z łóżka i zapukała w drzwi szafy.

– Idę zrobić coś do jedzenia. Zaraz wróci Tamara, więc zajrzemy do ciebie – szepnęła na tyle głośno, by ją usłyszał.

– Chcę wyjść – odezwał się głos zza ściany.

– Wiem, malutki, ale nie możesz.

– Już nie chcę tu siedzieć.

– Ciii. Zaraz wracam – obiecała i wyszła.

Nie mogła dłużej słuchać narzekań. Dlaczego Samuel nie mógł zrozumieć, że to jedyna droga do ocalenia? Staray się go ochronić, a on marudził. Musi zaakceptować rzeczywistość i przestać się mazgać.

Odgłosy otwieranych drzwi wejściowych kazały jej sprawdzić, kto wszedł do mieszkania. Wyrzała na korytarz i odetchnęła.

– Całe szczęście, że to tylko ty – odezwała się zmęczonym głosem.

– Na ulicach pełno ludzi. Płaczą i modlą się za dzieci i starców – relacjonowała Tamara, nie kryjąc przejęcia. – W szpitalach już nie ma chorych. Teraz tłoczą się w nich ci, których chce się pozbyć Rumkowski.

– Widzisz, nie mamy wyjścia – odezwała się Zuzanna i weszła do kuchni. – Musimy ukrywać Samuela.

Starsza z sióstr przysiadła na krześle zrezygnowana. Jak długo zdołają to ciągnąć? Jutro to ona zostanie w domu, żeby Zuzanna mogła pokazać się w resorcie.

Patrzyła na młodszą siostrę krzątającą się po kuchni. Wczoraj kupiła trochę mąki, miały też nieco kaszy, którą mogły wrzucić do zupy. Właśnie miała zacząć jeść, gdy do kuchni weszła Abigail.

– Mam chleb – obwieściła zwycięsko.

– Będzie uczta – głos Zuzanny pobrzmiwał radością.

– Może rzeczywiście teraz będzie trochę więcej jedzenia dla tych, którzy pozostali w getcie – zastanawiała się na głos Tamara.

– Wolałabym głodować niż patrzeć na cierpienie tysięcy dzieci wyrwanych z rąk rodziców – stwierdziła Abigail i pokroiła chleb.

Krzyk i nawoływanie przyciągnęły je do okna. Na ulicy zaparkowały dwie ciężarówki, z których wyskoczyło kilku uzbrojonych niemieckich policjantów. Dołączyli do nich policjanci żydowscy i pospiesznie wbiegli do pobliskiej kamienicy.

Zuzanna rzuciła się w stronę pokoju. Upewniła się, że szafa stoi we właściwym miejscu. Poprawiła kilka starych ubrań zawieszonych w środku i wepchnęła do niej dwa koce, by wypełnić pustą przestrzeń.

– Samuelu, musisz siedzieć cichutko, bo Niemcy przeszukują domy – powiedziała. – Na pewno przyjdą też do nas, dlatego pod żadnym pozorem nie wychodź.

– Wszystko będzie dobrze – obiecywała Tamara, pomagając siostrze uporządkować mieszkanie.

Cichy głos chłopca utwierdził je w przekonaniu, że zrozumiał powagę sytuacji. Usiadły w pokoju i czekały. Już dawno straciły apetyt.

Abigail też zamknęła się w swoim pokoju i wyglądała przez okno. Widziała chaos panujący wokół. Wielu ludzi wybiegało z domów, próbując uciec, choć wiedzieli, że to na nic. Ciężarówki się zapełniały. Pilnujący ich mundurowi drwili i pokrzykiwali na niedołącznych starców, którzy nie byli w stanie wdrapać się do środka. Poszturchiwali ich kolbami karabinów. Nagle Abigail dostrzegła mundurowych wchodzących do ich kamienicy. Odskoczyła od okna i pognąła do przyległego pokoju.

– Idą tu! – krzyknęła.

Dziewczęta siedziały na łóżku i niczym zahipnotyzowane patrzyły w jeden punkt na ścianie. Abigail usiadła przy nich i objęła Zuzannę, a potem Tamarę. Wówczas drzwi gwałtownie się otworzyły i stanęło w nich kilku uzbrojonych w drewniane pałki żydowskich policjantów.

Żadna z siedzących na łóżku osób nie drgnęła. Jedyne coraz mocniej zaciskające się splecione dłonie świadczyły o tym, że wiedzą, co się za chwilę wydarzy.

– Czy tutaj mieszka Abigail Lewiatan? – zapytał rosły policjant.

Kobieta nie potrafiła zapanować nad zdziwieniem, powoli odwróciła się w stronę przybyłych.

– Tak – potwierdziła. – A o co chodzi?

– Idziesz z nami – oznajmił mężczyzna.

– Ale jak to? Dlaczego? Przecież nie ma mnie na liście – dociekała.

– Właśnie się na niej znalazłaś – wyjaśnił zmęczonym głosem. – Wstawaj, bo nam się spieszy.

– Ale to jakaś pomyłka! – uniosła głos, ale natychmiast została zganiona. Drewniana pałka spadła na jej plecy bez zapowiedzi. Ugięła się pod ciosem i krzyknęła z bólu.

– Zarzucasz nam pomyłkę? – kpił policjant. – Nam? – Omiótł pytającym wzrokiem kompanów i wszyscy wybuchli gromkim śmiechem. – My musimy być bardziej skrupulatni niż Kripo, bo wiesz, co robią z takimi, co kłamią?

Wstrzymała oddech, bojąc się odpowiedzieć.

– Szkada gadać. – Machnął ręką. – Więc jak mówię, że idziemy, to idziemy – dodał.

– Ale ja nie skończyłam sześćdziesięciu pięciu lat – odważyła się zaoponować, choć nie śmiała podnieść wzroku.

– Dzisiaj każdy tak twierdzi. Myślisz, że kłamstwo cię uratuje? Mamy papiery.

– To pomyłka. Wkrótce skończę pięćdziesiąt pięć lat – tłumaczyła.

– Przestań kłamać! – rozkazał i ponownie uderzył, ale tym razem wymierzył w brzuch.

Kobieta nie zdołała utrzymać się na nogach. Leżała zwinięta w kłębek, łapiąc powietrze niczym ryba wyciągnięta z wody. Nie patrzyła na dziewczynki, które wciąż siedziały na łóżku, mocno przytulone do siebie.

– Zabieramy ją – zdecydował policjant.

Dwóch innych chwyciło kobietę pod ramiona i zaczęło ciągnąć ją do wyjścia. W tej samej chwili do przywódcy zbliżył się czwarty z policjantów i pokazał kartkę w notatniku.

– Faktycznie, to tutaj – stwierdził i wyprostował niewidoczne zagniecenia na mundurze. – Macie tu jeszcze jedną osobę, której szukamy – stwierdził zaczepnie. – No, dziewczynki, gdzie znajdziemy Samuela Baskina?

Siostry jeszcze mocniej wtuliły się w siebie, modląc się, by jak najszybciej zostały same.

– Grzecznie o coś pytam. Tak? – Podeszedł do nich i przycisnął pałkę do szyi Zuzanny.

– Nie zgłosił się do szpitala, więc musimy go tam doprowadzić. Albo zaczniecie mówić, albo... – przesunął pałkę pod brodę dziewczyny, a potem zmusił ją do tego, by spojrzała – albo i tak się dowiemy.

Zuzanna drżała na całym ciele. Czuła, że nie wydusi z siebie nawet słowa. Tak bardzo chciała być małą dziewczynką chronioną przez rodziców.

– Nie ma go tutaj – stanowczy głos Abigail wszystkich zaskoczył. – Uciekł wczoraj. Nie mamy pojęcia dokąd.

– Łżesz! – wykrzyknął dowódca i w mgnieniu oka znalazł się przy kobiecie. Znowu pałka poszła w ruch. Teraz już Abigail pluła krwią, zwieszając się przez ramiona podtrzymujących ją policjantów.

Dowódca doskoczył do szafy. Z rozmachem zerwał zawieszane ubrania i rozrzucił je po podłodze. Później nakazał młodszemu policjantowi zajrzeć pod łóżko, sam zaś zaczął badać wzrokiem rozglądając się po pomieszczeniu.

– Skoro go tu nie ma, to możemy się zabawić – zagrzmiał i zaczął na oślep okładać pałką dziewczynki.

Krzyczały i szlochały, turlając się po podłodze, nie zdołały jednak uniknąć razów.

– Nie! – stłumiony krzyk rozniósł się po pokoju.

– Co to było? – Policjant spojrział w stronę szafy. – Co to było? – powtórzył i ponownie wymierzył cios w splecione ciała.

– Zostawcie je w spokoju!

Policjant zbliżył się do szafy. Ponownie zajrzał do środka i przyłożył ucho do drewnianej ściany, po czym skinął na innego mundurowego i wspólnie przepchnęli mebel.

– No, no, no. – Aż młasnął zadowolony z odkrycia. – A co to za miejsce?

Z mroku wyłoniła się drobna sylwetka. Chłopiec miał oczy pełne łez, a gdy zobaczył wijące się po podłodze siostry, dopadł do nich i mocno przytulił.

– To chyba nasza zguba? – odezwał się policjant. – Dobrze, że cię znaleźliśmy, bo zżarłyby cię szczury – zażartował.

Chłopiec nie słuchał jego słów. Całował siostry, głośno szlochając.

– Zabrać ich! Dzięki tobie mamy trzy dodatkowe osoby – uśmiechnął się do Abigail. – Powinnaś być z siebie dumna. Przysłużyłaś się naszemu narodowi. Dzięki wam inni przetrwają.

– Błagam, zostawcie ich w spokoju – prosiła przez łzy.

– Przecież wiesz, że to niemożliwe – odparł i szturchnął Samuela.

Chłopiec się podniósł. Wciąż trzymał dłonie sióstr. Szli razem. To miał być ich kres.

Gdy wyszli z budynku, słońce już zachodziło. Poprowadzono ich do ciężarówki, ale nie było w niej już miejsca. Musieli przejść do drugiej. Kątem oka Abigail dostrzegła jakiś ruch. Lekko przekręciła głowę. Ból przenikał całe jej ciało. Była niemal pewna, że w oddali ujrziała swych synów. Odwróciła wzrok i przyspieszyła kroku. Nie miała prawa ich narażać. Musieli przeżyć chociaż oni. Wyciągnęła dłoń do kogoś znajdującego się na ciężarówce i z jego pomocą wdrapała się do środka. Teraz musiała pomóc dziewczynkom i Samuelowi. Widocznie to było jej pisane.

Patrzyli na wyładowane ludźmi samochody. Nie wierzyli, że to się działo naprawdę. Stali kilkanaście metrów od miejsca załadunku ciężarówek. Myśli Laury powędrowały do Samuela. Obawiała się o jego życie. Niestety wejście do kamienicy było zastawione przez policjantów. Odczekali, aż wszyscy mundurowi opuścili ulicę, wtedy co sił w nogach pobiegli do mieszkania.

Laura zajrzała do ich pokoju, chłopcy zaś weszli do pokoju Baskinów. Porzucane wokół szafy ubrania oraz otwarte drzwi do schowka nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości co do przebiegu zdarzeń.

– Nikogo nie ma – zauważył Józef.

– A mama? – zaniepokoił się Eliasz. – Powinna już być w domu.

– Nie ma jej – odparła Laura, stając obok chłopców. – Zapytam sąsiadów. Może coś widzieli – dodała i pobiegła na dół.

Józef schylił się i dotknął chustki leżącej na drewnianej podłodze. Podniósł ją i przycisnął do twarzy. Wciąż pachniała Zuzanną. Przymknął powieki, chcąc przywołać obraz ledwie rok młodszej od niego dziewczyny, którą tak bardzo polubił. Wciąż jeszcze słyszał jej dźwięczny głos. Jakże zazdrościł Samuelowi, że to dla niego śpiewa Zuzanna. Siadał na korytarzu pod drzwiami do pokoju Baskinów i słuchał. Nic sobie nie robił z docinków Eliasza. Po prostu trwał, delektując się głosem dziewczyny, która z każdą chwilą stawała się mu bliższa.

– Zabrali ją razem z Baskinami – obwieściła Laura lodowatym głosem.

Józef drgnął i niczym przebudzony ze snu poderwał się na równe nogi.

– Musimy ją znaleźć! – krzyknął. – To pomyłka, przecież mamy nie powinna znaleźć się w tym transporcie!

– Nie wiem, dlaczego zabrali ich wszystkich, ale nie mam wątpliwości, że nie zdołamy ich odebrać.

– Nie ma mowy! Nie zgadzam się! – grzmiał Józef. – Rozumiesz? Nie zgadzam się!

Jego twarz niemal płonęła, a w oczach tliła się nienawiść. Mocno zaciśnięte dłonie i naprężone do granic wytrzymałości mięśnie sprawiały, że wyglądał znacznie doroślej niż jego brat.

Tymczasem Eliasz podszedł do Józefa i z całych sił go spoliczkował.

– Co jest?! – wrzasnął zaskoczony. – Odbiło ci?!

– Raczej tobie odbija! Nic już nie możemy zrobić!

Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Wystarczyła iskra, by drzemiące w nich emocje wybuchły. Laura stanęła między nimi.

– Wasza mama nie chciałaby widzieć was w takim stanie. Macie tylko siebie... i mnie. Zostaliśmy sami i nie pozwolę, żebyście skakali sobie do gardeł. – Milczała dłuższą chwilę, aż w końcu powiedziała: – Chyba wiem, dokąd ich zabrali.

Reakcją była natychmiastowa.

– Idziemy?

Kiwnęła na znak, że się zgadza.

– Ale musicie mi coś obiecać. Inaczej nigdzie was nie zabiorę.

Tym razem to oni ochoczo pokiwali głowami.

– Słuchacie mnie i w żadnym razie nie robicie niczego głupiego. Jasne?

Nie oponowali.

– Posprzątam ten bałagan i zaczekamy do zmroku.

Gdy zapadł zmrok, Laura poleciła chłopcom, by włożyli ciemne ubrania, sama też zakryła włosy chustką i ostrożnie wyszli na ulicę. O tej porze musieli szczególnie na siebie uważać, wiedziała jednak, że kolejnej szansy nie będzie. Codziennie ze stacji Radegast odjeżdżało kilka transportów z mieszkańcami getta.

Przemykali bocznymi ulicami, aż dotarli pod szpital. Stali w cieniu, obserwując stłoczonych starców i pałętające się wśród nich dzieci. Ci, dla których zabrakło miejsca w budynku, musieli spędzić tę noc na dworze. Wokół nich krążyli żydowski policjanci.

– Zostańcie tutaj – poleciła Laura.

Niemal bezzwłocznie przekradła się pod ogrodzenie. Po chwili już szeptała coś do znajdującego się najbliżej niej chłopca. Widziała, jak zgarbiony przemyczał w głąb podwórka.

Z zapartym tchem czekała na jego powrót.

W końcu malec pojawił się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i szepnęła coś do niej. Teraz to Laura z nosem przy ziemi ruszyła z powrotem przez ulicę.

– Jest – szepnęła z zadowoleniem. – Idziemy, tylko trzymajcie się blisko mnie i ani słowa, dopóki wam nie pozwolę.

Trzy niewyraźne cienie przesunęły się w stronę ogrodzenia i w napięciu czekały na odpowiedni moment. Laura ostrożnie wychyliła się zza drewnianych sztachet i przez wąską szparę śledziła poruszające się postacie. Nie zwróciła uwagi na wbijające się w palce zadry z drewna. Czekała zdrtwiła na właściwy znak. Wreszcie go ujrzała. Wcisnęła dłoń pomiędzy sztachety. Poczwała uścisk.

– Nie wierzę, że tu jesteś – usłyszała szept Abigail.

– Jesteśmy – odpowiedziała Laura i szturchnęła depczącego jej po piętach Józefa. Chłopak oszołomiony wściubił nos pomiędzy ogrodzenie i aż westchnął.

– Mami? To naprawdę ty? – spytał podejrzliwie.

– Tak bardzo się cieszę, że mogę się z wami pożegnać.

– Nie mów tak – poprosił jeszcze ciszej. – Zabierzemy cię stąd.

– Pomylili datę mojego urodzenia, ale nie umiem tego udowodnić – wyjaśniła. – Nie słuchają mnie, a każda próba wyjaśnienia kończy się... – przerwała, chcąc oszczędzić dzieciom szczegółów. – Nie zdołam stąd uciec, a muszę się zaopiekować Samuelem i jego siostrami. Oni nie mają nikogo oprócz mnie.

– Mami, musisz do nas wrócić. Potrzebujemy cię – teraz głos Józefa zupełnie się załamał.

– Zostaniecie z Laurą. Wiem, że ona się wami dobrze zajmie.

– Chcemy iść z tobą. – Elias z hardo spojrzał na stojących kilkadziesiąt kroków dalej policjantów, którzy palili papierosy i głośno się o coś kłócili.

– Nie ma mowy! – odparła Abigail zdecydowanie. – Nie wiem, dokąd mnie zabiorą, ale obiecuję wam, że zrobię wszystko, byśmy się spotkali po wojnie.

– Naprawdę w to wierzysz? – Elias z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Tylko wiara mi pozostała. Jestem przekonana, że gdy się to wszystko skończy, wrócimy do Łodzi i zamieszkamy razem w naszym mieszkaniu, a Laura i Dawid będą mieć dużo dzieci, które co rano będą się kłócić i hałasować – ciągnęła, ale jej usta coraz mocniej drżały.

Chwilowe poruszenie wokół szpitala kazało im zamilknąć. Abigail przywarła do ziemi. Wilgotna trawa moczyła jej ubranie, ale nie zwracała na to uwagi. Otrzymała wyjątkową szansę i nie miała prawa jej stracić. Zerknęła za siebie. Tuż przy bramie wejściowej kilku policjantów szarpało się z napierającymi na nich ludźmi. Ich okrzyki wskazywały na to, że nie chcą dobrowolnie oddać dzieci. Zawroźnienie kobiet nie wzruszyło wartowników. Mocne szarpanie za bramę jedynie ich rozwścieczyło. Na osłep uderzali pałkami. Jazgot się wzmagał. Teraz już nie można było rozróżnić słów.

Nagle ze szpitala wybiegło kilku niemieckich policjantów. Zmierzali prosto do bramy, starając się przekrzyknąć tłum. Żydowskie policjanci usunęli się na bok, wtedy padły strzały. Kolejno upadające ofiary cichły. Pozostali, widząc zagrożenie, zaczęli uciekać na osłep. Potykali się przy tym i upadali jedni na drugich. Strzały jednak nie milkły, aż przed bramą pozostały już tylko stygnące ciała.

Józef i Elias, ukryci za płotem, czekali, aż nadarzy się okazja, by znów porozmawiać z matką. Daliby wszystko, by zabrać ją do domu.

Laura ostrożnie wychyliła się zza ogrodzenia, by zobaczyć, czy jest bezpiecznie. Mundurowi znów stali tuż przy drzwiach szpitala i palili papierosy.

– Mamy chwilę – szepnęła i wyrzwała za płot.

Abigail upewniła się, że pozostaje w miejscu niewidocznym dla strażników i podczołgała się bliżej.

– Jesteś wspaniałą osobą i do końca życia będę ci dziękować za wszelką pomoc – zwróciła się do Laury.

– Przecież wiesz, że jesteście dla mnie najważniejsi – odparła.

Abigail wyciągnęła dłoń i mocno uściśnęła rękę synowej, po czym zwróciła się do synów:

– Chłopcy, dbajcie o Laurę. Pomagajcie jej i słuchajcie jej poleceń. Jesteście rodziną, dlatego chronicie ją i traktujcie jak drugą matkę.

– Ale... – próbował wtrącić Józef.

– Dopóki ponownie się nie spotkamy, to ona jest najważniejszą osobą w waszym życiu – odparła tonem nieprzyjmującym sprzeciwu.

– Mami – szepnął Józef, nie wstydząc się łez. – Mami, nie odchodź...

– Wróć... Postaram się... Kocham was całym sercem – dodała i ucałowała ich dłonie. – Nie zapominajcie, że wciąż jesteśmy rodziną i jeśli nie w tym, to w innym życiu, ale na pewno się spotkamy.

– Mami... – jęknął Józef.

Eliasz w milczeniu ronił łzy. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Czuł, że to ich ostatnie spotkanie.

Abigail raz jeszcze spojrzała na rodzinę i odeszła od ogrodzenia.

Laura chwyciła dłonie chłopców i pociągnęła ich za sobą. Poczowała opór.

– Na nas już czas – szepnęła i zrobiła krok w przód.

W milczeniu chyłkiem przemykali wzdłuż ulic, uważając, by omijać patrole. Każde z nich na swój sposób usiłowało sobie poradzić z dojmującym bólem i odpowiedzieć sobie na pytanie o to, jak zdołają przetrwać piekło zgotowane na ziemi przez szaleńca trawionego żądzą panowania.

DRODZY CZYTELNICY,

W Wasze ręce oddaję powieść, w której zmierzyłam się nie tylko z historią łódzkiego getta, ale również z własnymi emocjami.

Nie opuszczały mnie zarówno w czasie zbierania materiałów, jak i później podczas ubierania w słowa opowieści o miłości, oddaniu, marzeniach i strachu. Przez tych kilka miesięcy „wchodziłam” do getta wraz z moimi bohaterami i towarzyszyłam im w codzienności, która nie miała prawa zaistnieć.

Powieść składałam do druku w chwili, gdy Europa stoi u progu kolejnego konfliktu zbrojnego. Wierzę, że wydarzenia z czasów II wojny światowej nigdy więcej nie będą miały miejsca, dlatego zdecydowałam się o nich przypomnieć.

Serdecznie dziękuję Wydawnictwu Jaguar za zaufanie i wiarę, że ta historia zasługuje, by ujrzeć światło dzienne. Jestem wdzięczna za skrupulatność, otwartość i życzliwość Paniom: Ewie Holewińskiej, Annie Salwie, Annie Pawłowicz i Agnieszce Słowik, z którymi współpracowałam przy wydaniu.

Szczególne podziękowania kieruję do dr. Adama Sitarka pracującego w Centrum Badań Żydowskich Uniwersytetu Łódzkiego, który podzielił się ze mną swoją wiedzą merytoryczną o łódzkiej społeczności żydowskiej i zadbał o to, bym jak najwierniej oddała klimat tamtych czasów.

I wreszcie kłaniam się nisko wszystkim, którzy na co dzień mnie wspierają, a są to ukochani Grupowicze w mojej grupie na Facebooku, fantastyczne Blogerki, z którymi współpracuję przy promocji, skrupulatne Bibliotekarki, które pieczołowicie prowadzą statystyki czytelnictwa i tak chętnie się nimi ze mną dzielą, i oddani Czytelnicy, którzy nie zawodzą. Wszystkim bardzo dziękuję, bo nie sposób każdego wymienić z nazwiska. Czasem dajecie mi motywującego kopa, a czasem głaskacie po głowie, mówiąc, że dam radę. Bez was, Kochani, wiele razy zwątpiłabym w siebie i przestała pisać.

¹ Wagary [z gwary łódzkiej].

² Szupo (Schutzpolizei) – tzw. Policja ochronna, która pilnowała granic getta.

³ (niem.) Stój!

⁴ 8 lutego 1940 r. w „Lodscher Zeitung” ukazało się rozporządzenie Johanna Schafera, prezydenta policji, o utworzeniu w Łodzi wydzielonej dzielnicy mieszkaniowej dla Żydów.

⁵ Wyrwać [z gwary łódzkiej].

⁶ Drobnostka [z gwary łódzkiej].

⁷ Dom rodzinny [z gwary łódzkiej].

⁸ Zupa kartoflana z białym barszczem [z gwary łódzkiej].

⁹ Kromka chleba [z gwary łódzkiej].

¹⁰ W kwietniu 1940 r., na rozkaz Hitlera, Łódź została przemianowana na „Litz- mannstadt” – na cześć generała Karla Litzmanna, który podczas I wojny światowej zatrzymał rosyjską ofensywę w bitwie pod Brzezunami niedaleko Łodzi.

¹¹ Służba Porządkowa (Ordnungsdienst), czyli tzw. policja żydowska, została powołana przez Rumkowskiego 11 kwietnia 1940 r.

¹² (niem.) Schutzpolizei, Schupo – policja

¹³ (niem). Kriminalpolizei, Kripo - policja kryminalna. W łódzkim getcie jej posterunek znajdował się przy ulicy Kościelnej.

¹⁴ Gettowe marki lub rumki – kwity markowe, czyli waluta stworzona w łódzkim getcie i obowiązująca na jego terenie jako jedyny oficjalny środek płatniczy.

¹⁵ W budynku przy ul. Ciesielskiej 7 Mordechaj Chaim Rumkowski uruchomił Bank Skupu Wartościowych Przedmiotów i Odzieży i skupował wartościowe przedmioty i walutę od mieszkańców zamkniętej dzielnicy.

¹⁶ Adolf Beck urodził się w Krakowie w 1863 roku. W 1890 roku obronił pracę doktorską o badaniu mózgu za pomocą elektryczności. Odkrył też jedną z najistotniejszych metod diagnostycznych neurologii wykorzystywaną dziś na całym świecie.

¹⁷ Maksymilian Faktorowicz urodził się w 1872 r. w Zduńskiej Woli, w wielodzietnej rodzinie. Jako nastolatek miał już własną drogerię i perukarnię w Moskwie. Doradzał w kwestii kosmetyki najważniejszemu osobom na carskim dworze, jednak nie czuł się bezpiecznie, dlatego zabrał rodzinę i w 1904 roku uciekł do USA, gdzie założył firmę Max Factor.

¹⁸ Opisana sytuacja nie została potwierdzona w źródłach historycznych.

¹⁹ Od 9 lipca 1940 r. banknoty nazywane powszechnie przez ludność „rumkami” lub „chaimkami” były jedyną legalną walutą w getcie. Za posiadanie innej groziła kara śmierci

²⁰ 16 stycznia 1942 r. nastąpił pierwszy etap wysiedlania Żydów z getta. Do 29 stycznia wywieziono i zamordowano w Chełmnie ponad 10 tys. osób.

²¹ (niem.) Moja córka.

²² Dzień Pojednania to jedno z najważniejszych świąt żydowskich o charakterze pokutnym.

²³ W majowych transportach byli niemal sami Żydzi z Europy Zachodniej. Do 15 maja do wagonów odjeżdżających ze stacji Radegast wsiadło 10 914 osób. W sumie od stycznia do maja 1942 roku wywieziono z getta 57 064 Żydów oraz prawie 4300 Cyganów. Nikt z nich nie przeżył.

²⁴ Marzec 1940 r. „krwawy czwartek”. Naziści zamknęli fragment ul. Piotrkowskiej i nakazali Żydom opuścić mieszkania w ciągu kilku minut. Ci, którzy stawiali opór, zginęli, inni w obawie o życie przenosili się na Stare Miasto, gdzie planowano utworzyć „dzielnicę zamieszkania dla Żydów”.

²⁵ We wrześniu 1942 r. Niemcy wywieźli wszystkich chorych do Chełmna nad Nerem.

²⁶ 4 września 1942 r. Przewodniczący Starszeństwa Żydów w Litzmannstadt Getto Mordechaj Chaim Rumkowski wygłosił przemówienie, w którym zapowiedział „Wielką Szperę”, czyli akcję wysiedleń do obozu, której ofiarami padły dzieci poniżej 10. roku życia, dorośli, którzy mieli więcej niż 65 lat, a także, bez względu na wiek, chorzy i niezdolni do pracy kobiety i mężczyźni.